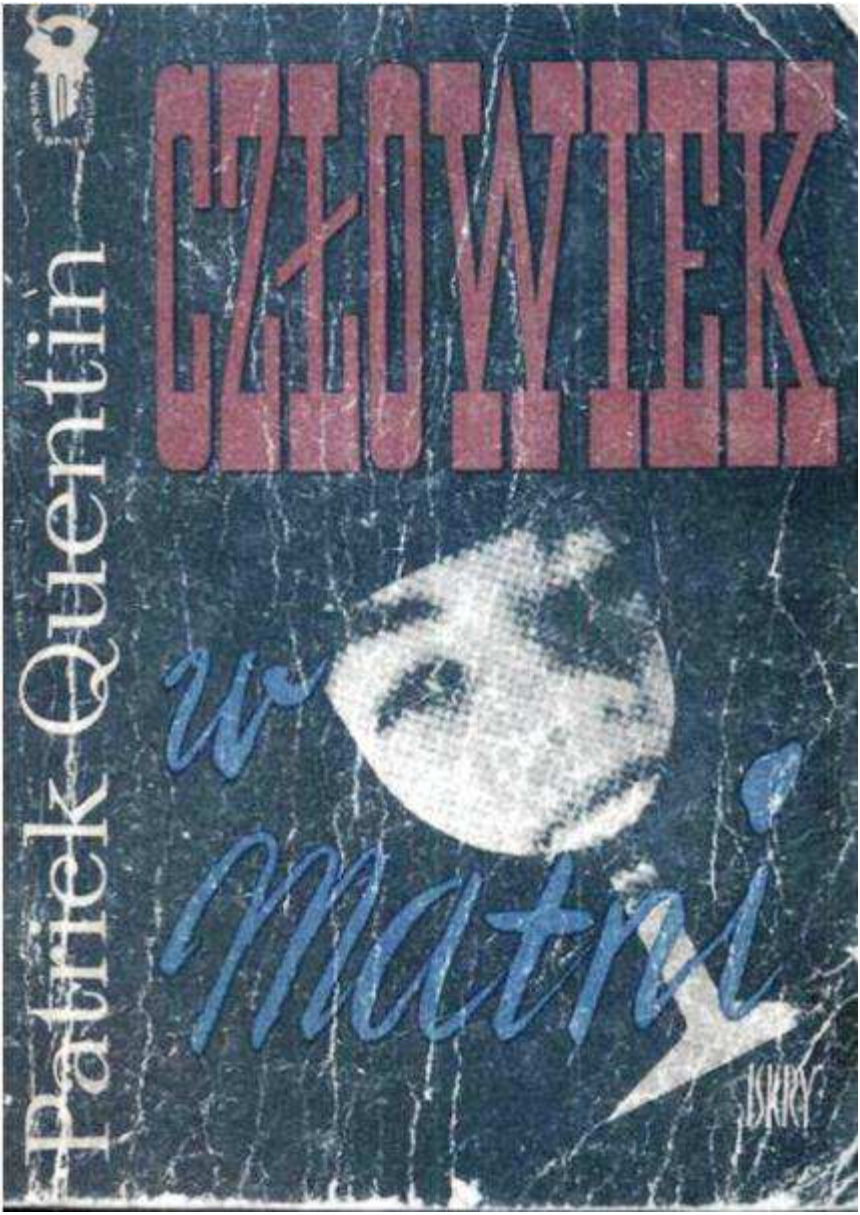
Patrick Quentin
CZŁOWIEK
w matni

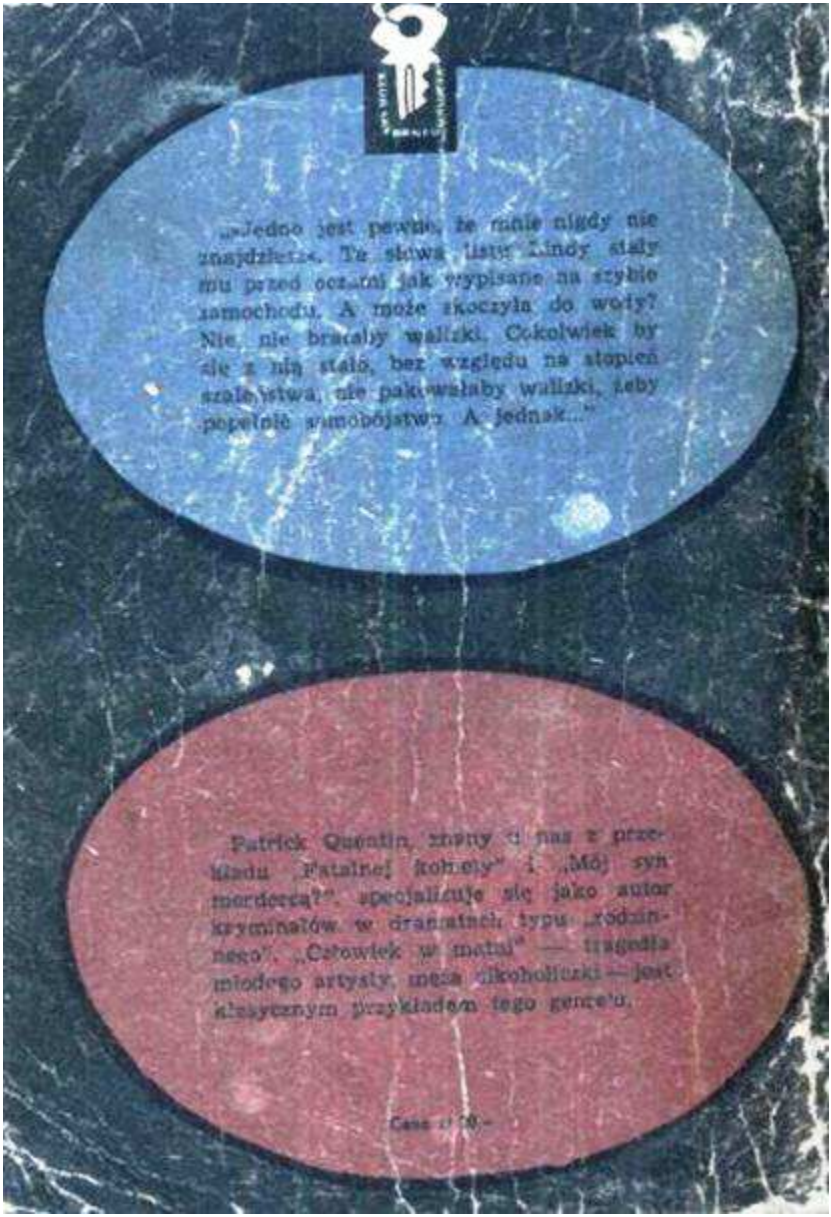

„Jedno jest pewne, że mnie nigdy nie znajdziesz. Te słowa listu Lindy stały mu przed oczami jak wypisane na szybie samochodu. A może skoczyła do wody? Nie, nie bratałby walizki. Cokolwiek by się z nią stało, bez względu na stopień szaleństwa, nie pakowałaby walizki, żeby popełnić samobójstwo. A jednak..."

Patrick Quentin, znany u nas z przekładu „Fatalnej kobiety" i „Mój syn morderca?", specjalizuje się jako autor kryminałów w dramatach typu „rodzinnego". „Człowiek w metalu" — tragedia młodego artysty, męża alkoholiczki — jest klasycznym przykładem tego gatunku.

Cena zł 18.–

Patrick Quentin

Człowiek w matni

Przełożył
Wacław Niepokólczycki

ISKRY WARSZAWA 1965

Tytuł oryginału THE MAN IN THE NET

Copyright © 195« by Patrick Quentin

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1065 r.

Nakład 30 000 + 257 egz.

Ark wyd. 9,5. Ark, druk. 12.25.

Papier druk, mat, kl. VII,

60 g, rot. 75 cm, z f-ki w Myszkowie.

Oddano do drukarni w kwietniu 1965 r.

Druk ukończono w listopadzie 1965 r.

Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego”.

Zam. nr 3062. E-83.

Cena zl 20. —

1.

Zaledwie parę dni przed wydarzeniem, które zapoczątkowało ton koszmar, John szedł skrajem lasu wśród młodych drzewek i wysokich paproci, a przed nim biegły dzieci. Z oddali polną drogą nadjeżdżał samochód. John Hamilton usłyszał warkot silnika; musiała go też usłyszeć Emily Jones, bo nagle krzyknęła:

— Wróg!

Dzieci — cała piątka — przypadły do ziemi, znikając za liśćmi paproci. John ukrył się również. Znał tę zabawę. Sam ją wymyślił. Zresztą nie tylko tę, prawie wszystkie zabawy były jego pomysłu. („Niedoszły ojciec" — jak wyrażała się o nim Linda, chcąc mu dokuczyć). A ta gra powstała któregoś dnia właśnie tu, w lesie. Powiedział do Leroy Phillipsa: „Wyobraź sobie, że jesteś zwierzęciem. Gdy usłyszysz, że nadchodzi jakiś człowiek, wstrząśnij się i powiedz »Wróg«!" Emily Jones, jak zwykle z największą inicjatywą, natychmiast podchwyciła: „Jesteśmy zwierzętami! Każdy człowiek to nasz wróg!"

Było to jeszcze wczesną wiosną, ale odtąd na słowo Emily stawali się zwierzętami, a świat ludzi światem wroga. Leżąc wśród paproci i oddychając grzybnym zapachem ich bujnej zieleni i wilgoci, John niemal zapomniał o liście z firmy „Raines i Raines", który miał w kieszeni, i o czekającym go przejściu z Lindą, Zawdzięczał to dzieciom. Nie pierwszy już raz ich obecność dokonała cudu.

Warkot samochodu stawał się coraz głośniejszy. John widział wśród paproci tenisówkę Angeli Jones. Timmie Moreland i Leroy Phillips ukryli się tak dobrze, że ich wcale nie było widać. Z lewej strony dochodził stłumiony oddech Bucka Rittera. Buck był gruby i zawsze zadyszany. Samochód jechał ze Stoneville i zdążał zapewne do Archertown lub polną drogą, która przebiegała obok jego domu. A jednak teraz nie był to zwyczajny samochód. Napięcie, silna wiara dzieci podziałały na Johna, wrażliwego na cudze nastroje artystę. Nadciągało Niebezpieczeństwo; przybliżało się Nieznane — Wróg.

Samochód wyjechał zza drzew. Była to Linda w ich starej czarnej limuzynie.

Na jeden moment, kiedy przemykał obok nich, samochód nabrał w oczach Johna nienaturalnego jakiegoś znaczenia. Jak przedmiot powiększony groteskowo na ekranie kina. Linda jechała sama, a mimo to miała na twarzy swój oficjalny uśmiech, który tak dobrze znał: proste, szczere i otwarte spojrzenie oczu, które miało świadczyć, jaka jest prosta, szczera i otwarta, i lekko opuszczone kąciki ust dla zaznaczenia, że ta szczerość nie jest zwykłą naiwnością.

Była w Pittsfield, u fryzjera. Wyjechała zaraz po powrocie Johna z poczty, gdzie matka Emily i Angeli pracuje jako kierowniczka; celowo nie mówił Lindzie o liście od Charlie'ego Rainesa, żeby odwlec całą sprawę choć o kilka godzin. Patrząc na nią z tego śmiesznego ukrycia wyobraził ją sobie z głową pod suszarką — jako uroczą Madame Jakąśtam, której wdzięk i szyk tak bardzo wyróżniają ją spośród innych klientek. Wyszła z salonu piękności z tym właśnie uśmiechem, kordialnie machając dłonią. Uśmiech — choć już bez adresata — pozostał. Uśmiechała się dla samej siebie. Była przecież częścią swojej własnej widowni.

Nagle opanowało go współczucie dla niej, współczucie, które tak często zjawiało się w najgorszych chwilach, podyktowane nie tyle chyba miłością, co głębokim zrozumieniem. Linda! — myślał ze ściśniętą krtanią. Biedna Linda. Złuda

wyzwolenia, którą zawdzięczał dzieciom i zabawie, prysła. Na nowo podjął swój ciężar.

Samochód znikł na drodze do domu. Przez chwilę wokół były tylko liście paproci, kołyszące się i lśniące w południowym słońcu. Nagle rozbrzmiał głos Emily, wysoki i zawodzący w jakimś mistycznym zaśpiewie.

— Bracia zwierzęta, wiewiórki, świstaki, polatuchy! O bracia zwierzęta leśne, słuchajcie! Niebezpieczeństwo minęło, wróg odszedł!

Wyskoczyła z paproci, a za nią inne dzieci: Buck, tłusty i z czerwoną buzią, Timmie Moreland, chudy i nerwowy jak foksterier, i Leroy ze śnieżnobiałymi zębami i złotobrązową skórą. Angela Jones, która zawsze tak bardzo dbała o ubranie, zaczęła pilnie czyścić dżinsy. Obróciła do Emily swoją okrągłą, pucołowatą twarz, wykrzywioną ciągle zazdrością o starszą siostrę.

— To jest głupia zabawa. To wcale nie był wróg, tylko pani Hamilton. Każdy o tym wie.

— Wcale nie, głuptasie. — Emily potrząsnęła długim, ciemnym warkoczykiem. — To był wróg. Oni wszyscy są wrogami. — Zwróciła się do Johna: — Prawda, John? Wszyscy ludzie, wszyscy bez wyjątku są wrogami. Ojcowie, matki, żony — wszyscy.

— Tak — powiedział John, czując się trochę głupio i nie na miejscu. — Kiedy wy jesteście zwierzętami, oni są wrogami.

Właściwie co on tu, u licha, robi? Dorosły człowiek błaznujący z kupą dzieciaków, i to jeszcze w takiej chwili.

— Ja jestem bóbr! — krzyknął Buck Ritter.

— Ja jestem stary piżmoszczur! — wrzeszczał Leroy.

— A ja wielki czarny niedźwiedź! — darł się cienkim, ostrym głosem Timmie Moreland.

Angela Jones dała się nagle porwać ogólnemu nastrojowi i zaczęła tańczyć zapamiętale, machając rękami i robiąc zabawne miny.

— Jestem skunks! Patrzcie, dzieci, jestem skunks!

— No, dzieci, muszę iść do domu — rzekł John.

— Nie! — zaczęły wykrzykiwać. — Nie! Emily objęła go ramionami w pasie.

— John, kochany, najmilszy, powiedziałeś, że pójdziesz się kąpać.

— Tak — rzekł Timmie — obiecałeś.

— Obiecałeś — mówiła Angela. — Brzydki, paskudny, stary kłamczuchu. Obiecałeś iść się kąpać.

Leroy Phillips wstydliwie wziął Johna za rękę. Jego paluszki były ciepłe i suche jak łapa zwierzęcia.

— Proszę z nami iść...

John pobiegł między paprociami na drogę, skąd pokiwał dzieciom ręką.

— Do widzenia, dzieci! Zobaczymy się może jutro!

— Jutro! — wrzasnęły. — Spotkamy się jutro. Obiecałeś. Jutro!

— Patrz, Buck — usłyszał piskliwy, podniecony głos Angeli. — Jestem dzięcioł. Jestem wielki dzięcioł z takim długim dziobem.

John ruszył do domu.

Nie było daleko. Wielkie milczące lasy, prawie tak samo dzikie jak w czasach, gdy polowali w nich Algonkinowie, ciągnęły się po obu stronach szosy. Musi przejść drogę wiodącą ze Stoneville — jakieś ćwierć mili pod górę — i skręcić na drewniany mostek nad strumieniem. Wtedy już będzie w domu.

Współczucie dla Lindy nie opuszczało go. Będzie koniecznie chciała wrócić do Nowego Jorku. Bez wątpienia. Zawsze umiała zapomnieć to, czego nie chciała pamiętać. Nowy Jork będzie dla niej teraz upragnionym Eldorado. Idąc w oślepiającym słońcu lata i szykując się do nieuniknionego starcia, był już w części pokonany — bo nie nauczył się jeszcze być twardym, nawet w stosunku do żony. Nie dlatego, żeby wciąż pamiętał, jaka była lub jaka mu się wydawała, kiedy się w niej zakochał, i chyba nie dlatego, że

był jej niezbędny, bo prócz niego nie miała żadnej podpory — nawet prawdziwych przyjaciół — mimo całej swej zabawy w wielkie przyjaźnie. To było coś więcej — świadomość, że bez niego byłaby bezradna. Kiedy kłamała i chełpiła się, i oszukiwała samą siebie, a nawet w najgorszych chwilach pijaństwa, gdy tak nieubłaganie usiłowała go zniszczyć, wiedział, że cierpi męki potępieńca. Nie chciała być taka, jaka jest, chciała być taka, za jaką ją większość ludzi brała — wesoła, serdeczna, czuła i dobra.

Teraz, kiedy jego miłość zmieniła się w coś znacznie bardziej skomplikowanego, właśnie świadomość jej samotności i strachu wiązała go z Lindą. Zdawał sobie sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw tego stanu rzeczy. Linda jednak była jego żoną, a John Hamilton zwykł brać stosunki międzyludzkie poważnie.

Doszedł do zakrętu drogi. Przed nim, za drewnianym mostkiem, stał wśród sędziwych jabłoni dom, który dziesięć miesięcy temu wydawał się symbolem nowego życia. Kiedy go ujrzał, doznał pokusy. Po co w ogóle mówić Lindzie o liście? Czemu nie odpisać Charlie'emu Rainesowi, nic jej o tym nie wspominając? Po co jeszcze pogarszać sprawy, które i bez tego miały się źle? Ale natychmiast odrzucił tę pokusę. Prędzej czy później Linda będzie musiała się dowiedzieć. Pani Raines albo ktoś inny do niej napisze. Poza tym utrzymywanie tego w tajemnicy byłoby jeszcze jednym krokiem wstecz. Wiedział, jak odpowiedzieć na propozycję firmy „Raines i Raines". Niczego w świecie nie był tak pewien. Jeżeli ma zachować szacunek dla siebie czy też pozostać w jakichś znośnych stosunkach z żoną, będzie musiał wyłożyć karty na stół bez względu na to, jak Linda to przyjmie.

Zaczął wyobrażać sobie oczekującą go scenę i poczuł rodzący się strach. Żeby się uspokoić, pomyślał o piątce dzieci — Emily, Timmie'm, Leroyu, Bucku, Angeli — tych

nieprawdopodobnych sprzymierzeńcach, którzy wtargnęli przypadkowo w jego życie i uczynili tak wiele, aby miniony rok stał się znośny. I znów dziecięcy czar poskutkował.

Obszedł dom i dopiero przy kuchennych drzwiach spostrzegł jakiś samochód zaparkowany obok jego limuzyny przed starą stodołą, którą przerobił na studio. Poznał samochód Steve'a Rittera. Ojciec Bucka był właścicielem miejscowej stacji benzynowej i lodziarni, a w tym roku został obrany na stonevillskiego stróża prawa. Podobnie jak większość mieszkańców miasteczka Steve był wielbicielem Lindy. Narzekała, że nabrał zwyczaju wpadania do niej na piwo. (Czemu mnie zadręczają ci straszni nudziarze?) Ale, oczywiście, sama była sobie winna. Gdy przyjechali do Stoneville, zanim jeszcze zawarli znajomość z miejscową śmietanką — starszym panem Careyem, młodymi Careyami, Morelandami i Fisherami — stała potrzeba uwielbienia skłoniła ją do nawiązywania kontaktów ze skromniejszymi ludźmi. (Wpadaj, kiedy tylko zechcesz. My nie jesteśmy wielcy państwo na wywczasach. Mój mąż to tylko skromny, usiłujący się wybić artysta, a ja — jego żona).

Ponieważ przygotował się do natychmiastowej rozmowy z Lindą, a w dodatku czuł obezwładniającą nieśmiałość wobec ludzi, których ona oczarowała w swej przewrotności, John zaklął pod nosem. Wszedł do kuchni, a stamtąd do saloniku.

Steve Ritter, wysoki i pewny siebie miejscowy Don Juan w niebieskich dżinsach i starej roboczej koszuli, był sam i przeglądał właśnie płyty i pudełko z taśmami magnetofonowymi.

— Witaj, John. Masz tego z parę setek. Że też ci się nie znudzi cała ta muzyka...

Jego bystre spojrzenie przebiegło po ścianach, na których wisiały obrazy Johna, właśnie odesłane z wystawy w Nowym Jorku. Starał się na ich temat nie wypowiadać, ale John i tak dobrze wiedział, co miasteczko myśli o jego malarstwie. Dla

Stoneville jego obrazy były dziwnym acz nieszkodliwym żartem, tak jak i on sam: „Zwariowany facet, który rzucił ciepłą posadkę w Nowym Jorku, żeby siedzieć na wsi i malować obrazy, których nikt nie chce kupować".

— Zawoziłem Careyom akumulator i postanowiłem przy okazji odwiedzić twoją piękną żonę. Jest na górze, robi się na bóstwo. Kazała mi zaczekać. — Jego ciemna, przystojna twarz miała ów kpiący, pełen zabawnej pobłażliwości wyraz, który był powszechnym sposobem traktowania Johna przez mieszkańców Stoneville. — No, co tam słychać w sztuce? Słyszałem, że niedawno miałeś wielką wystawę w Nowym Jorku. Mówią, że coś nie bardzo ci poszło...

— Nie za dobrze — rzekł John. A więc Linda rozpowiedziała już w miasteczku, że jego druga wystawa w Galeriach Denhama była fiaskiem.

Steve rozwalił się na fotelu wyciągając nogi.

— No, cóż? Pieniądz to nie wszystko. Zawsze mówiłem. Żeby tylko człowiek był zdrów i mógł swojej małej kupić od czasu do czasu parę szmatek, to już wystarczy. Nie można żądać za wiele, nie, John? Nie poczęstowałbyś mnie piwem?

John przyniósł dwie puszki piwa z lodówki i postawił na stoliku barowym w salonie. Nalewając piwa do szklanek zauważył butelkę dżinu i butelkę bourbona na dolnej półce. Schować je? Nie. Niezręcznie by to wyglądało przy Steve'ie. I Linda też by zauważyła. Odgadłaby natychmiast, dlaczego je schował, i to by tylko pogorszyło sprawę.

Sam fakt, że musiał powziąć tę decyzję, przywiódł mu ponownie na myśl koszmar całej tej zabawy w kotka i myszkę, na którą był skazany. Niosąc piwo Steve'ovi zastanawiał się: jak by on to przyjął, gdyby mu powiedzieć, co się naprawdę dzieje w tym domu. Na pewno by nie uwierzył — nikt by nie uwierzył. Chyba że zobaczyliby to na własne oczy. A sam starał się, jak mógł, żeby nie zobaczyli.

Steve Ritter pociągnął duży łyk ze swojej szklanki.

— Och, jak to dobrze robi. Nie ma nic lepszego jak małe piwko. Po kilku piwkach nie ma dla mnie problemów. Mógłbym chyba nawet malować takie obrazy jak ty — takie rozmazane linie w jedną stronę i rozmazane linie w drugą.

Usłyszawszy stukot pantofli Lindy na schodach, przerwał raptownie i wstał wpatrzony w drzwi. Wyglądał jak parodia bohatera komiksów zdążającego ku pięknej kobiecie.

— Oto jest. Jest nasza piękna, urocza pani Hamilton.

Linda weszła do pokoju, świeża i niezwykle młoda w swojej prostej sukience, w której sprawiała bardzo szykowne wrażenie. Johna zdumiewała zawsze jej umiejętność maskowania się. „Jeden z tych okropnych nudziarzy?..." Gdzie tam! Steve Ritter to najmilszy przyjaciel. Podeszła, do niego uśmiechnięta, z wyciągniętymi dłońmi, w klasycznym filmowym geście wdzięcznej gospodyni. Na lewym ręku miała złotą bransoletę z wisiorkami, której John nigdy przedtem nie widział. Zapewne kupiła ją w Pittsfield.

— Steve, jak to miło, że wpadłeś. Wybacz, że kazałam ci czekać. Jazda do Pittsfield zawsze mnie męczy i jak nie wezmę natychmiast po powrocie gorącej kąpieli, jestem nieżywa. Och, John. — Jakby go dopiero zauważyła, Linda przesłała mężowi uśmiech specjalnie zarezerwowany dla niego przy obcych, czuły, trochę pobłażliwy uśmiech przeznaczony dla niepraktycznego artysty, bujającego w chmurach. Jednocześnie zsunęła bransoletę z ręki i wrzuciła do kieszeni sukni. A więc istotnie kupiła ją w Pittsfield i czuła się winna tej ekstrawagancji, czekała na „właściwy moment", aby mu o tym powiedzieć. — Wróciłeś już, kochanie. Sądziłam, że jeszcze jesteś z dziećmi.

Odwróciła się znowu do Steve'a.

— John jest taki kochany. On po prostu żyje dla tych dzieci. Dla twojego Bucka i tych wszystkich malców. Stoneville powinno mu nadać jakiś oficjalny urząd — harcmistrza albo coś podobnego. Siadaj, proszę cię. Nie zwracaj uwagi, że ja stoję.

Steve usiadł, a Linda usadowiła się na poręczy jego fotela, gawędząc poufale, śmiejąc się i gestykulując ręką z papierosem. Patrząc na nią John nagle pomyślał: Czy aby trochę nie za dużo tego wszystkiego? Czy jej oczy nie są za bardzo błyszczące? Czy żart na temat jego przyjaźni z dziećmi nie był odrobinę zbyt złośliwy? Piła czy nie piła w Pittsfield?

Ale w tej samej chwili znienawidził siebie za tę myśl. Wiedział, że ta ciągła podejrzliwość to ich wspólny wróg. Gdy jednak robak nieufności raz zaczął go toczyć, nic już nie pomagało. Od tygodnia, kiedy niepowodzenie jego wystawy przestało budzić wątpliwości, wiedział, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Znał doskonale wszystkie symptomy.

Steve wyszedł zdumiewająco szybko, wymawiając się od drugiego piwa. Linda odprowadziła go do drzwi kuchennych.

— Jak przykro, że musisz już iść. Odwiedzisz mnie wkrótce? Obiecaj, Steve.

John słyszał z saloniku niemal pieszczotliwy, pełen kokieterii głos żony, a potem zatrzaskujące się drzwi siatkowe. Linda nie wróciła od razu. Zapewne stała i machała Steve'owi ręką na pożegnanie.

Trzymając w dłoni szklankę, John usiadł na poręczy fotela. Przyszło mu na myśl, wraz z powracającą falą strachu, że to jest prawdopodobnie najważniejsza chwila w jego życiu. Jeśli załamie się teraz z tchórzostwa, fałszywej pokory albo chorobliwej troski o Lindę, będzie skończony.

Boże, oby to była nieprawda, że piła — myślał. A potem z pogardą: Co się ze mną dzieje? A może ja tylko udaję, że mi żal Lindy? Może się jej po prostu boję? Czyżbym naprawdę był aż tak bliski załamania?

2.

Słyszał, jak samochód Steve'a przejeżdża obok pracowni. Wreszcie Linda wróciła. Z jej ust zwisał papieros, a czoło

miała zmarszczone w komicznym grymasie.

— Ach, ci beznadziejni nudziarze! Czym ja sobie zasłużyłam na ich względy? — Grymas znikł i zastąpił go żywy, czuły uśmiech. — Kochany, lepiej zacznij się już przebierać. O szóstej mamy być na przyjęciu u Vickie.

Zapomniał o przyjęciu urodzinowym Vickie Carey. Dlaczego zawsze coś musi mu, przeszkodzić? Miałby więc wszystko odłożyć na później? Nie. Do diabła z przyjęciem!

— Spójrz, kochanie. Spójrz. Popatrz na mnie. — Dotknęła jego ręki, potem przytrzymując obiema rękami fałdy spódnicy zrobiła przed nim pirueta. — Podobam ci się? Co myślisz o moim nowym uczesaniu.

Leciutka chrypka powiedziała mu wszystko. Zaczęło się. Teraz już nie miał wątpliwości. Poczuł przygniatające zmęczenie. Linda zaczęła tańczyć wokół wyplatanych mebli.

— U *madame* Helene jest nowa dziewczyna. Dziś mnie pierwszy raz czesała. Mówi, że znalazła kilka siwych włosów. — Puściła fałdy spódnicy i podeszła do niego. — Widzisz je, kochanie? Spójrz, widzisz u mnie siwe włosy? O, tutaj? — Podniosła rękę do skroni. — Ja nie widzę. Słowo daję. To od słońca, prawda? Przecież wiesz, że mi latem słońce wybiela włosy.

On jednak widział. Nieliczne i trudne do dostrzeżenia, ale były. A więc to dlatego piła. Wystarczyła przypadkowa uwaga nietaktownej dziewczyny. I dlatego tak kokietowała Steve'a. Chciała zadać kłam dziewczynie, upewnić się, że to nieprawda. Czemu zawsze musiał ją tak dobrze rozumieć? I dlaczego nadal wydawało mu się to takie wzruszające? Inne kobiety też siwieją. Nie trzeba im kłamać, uspokajać, pokrzepiać.

— Powinni wylać tę dziewczynę — rzekł pogodnie, obracając sprawę w żart. — Jeżeli masz siwe włosy, mogę je zjeść.

— Och, bo ty nie chcesz ich zobaczyć. Jesteś strasznie miły. A ona mówiła, że znalazła. Niewiele, ale kilka. — Wzruszyła ramionami. — Wielkie zmartwienie! Mam dwadzieścia dziewięć lat. Mnóstwo kobiet siwieje przed trzydziestką.

Miała trzydzieści trzy. Widział kiedyś jej metrykę i ona o tym wiedziała. Ale nie przestawała podtrzymywać tej bajeczki. Wyjął z kieszeni list, zanim zdążyła zawieść go zbyt daleko w krainę fantazji. Tak czy tak, czekało go nieszczęście. Nie ma co owijać w bawełnę...

— Linda, dostałem list od Charlie'ego Rainesa — rzekł.

— Od Charlie'ego? — Przez chwilę nie okazywała zaciekawienia, potem zainteresowała się. Szybko, podejrzliwie powiedziała: — Ale przywiozłeś pocztę przed moim wyjazdem do Pittsfield. Czemu mi wtedy nie powiedziałeś o tym?

— Potrzebowałem trochę czasu, żeby pomyśleć.

— Pomyśleć? O czym pomyśleć? Co on pisze? Wyciągnął do niej rękę z listem.

— Chcesz przeczytać?

— Oczywiście. Albo nie. Ty mi przeczytaj.

Zapomniał, że nienawidziła wkładać okularów. Drżącymi palcami wyjął list z koperty i wygładził go.

— Jest długi — rzekł nie wiadomo po co. — Typowy dla Charlie'ego. — Zaczął czytać.

DROGI JOHNNY!

JAK CI ŻYCIE PŁYNIE NA WSI? NIE MYŚL, ŻE ZAPOMNIELIŚMY O TOBIE. BARDZO O TOBIE MYŚLIMY. DO TEGO STOPNIA, ŻE DZIŚ PO POŁUDNIU ODBYLIŚMY DŁUGĄ, UROCZYSTĄ KONFERENCJĘ NA SZCZYCIE NA TWÓJ TEMAT. PO PIERWSZE, CHCEMY WSZYSCY, ŻEBYŚ WIEDZIAŁ, JAKIE ŻYWIMY UCZUCIA W ZWIĄZKU Z WYSTAWĄ W GALERIACH DENHAMA. ZDAJEMY SOBIE SPRAWĘ, ŻE POŁOWA TYCH KRYTYKÓW NIE MA POJĘCIA, CO MÓWI, I ATAKUJĄ CIĘ TYLKO DLATEGO, ŻE TWOJA PIERW SZA WYSTAWA, KIEDY JESZCZE BYŁEŚ Z NAMI, ODNIOSŁA TAKI SUKCES. ALE ZDAJEMY SOBIE RÓWNIEŻ SPRAWĘ, ŻE MUSIAŁO CIĘ TO UDERZYĆ FINANSOWO, NIE MÓWIĄC JUŻ O INNYCH WZGLĘDACH, BO ROZUMIE MY, ŻE ODCHODZĄC OD NAS MUSIAŁEŚ LICZYĆ NA STAŁĄ SPRZEDAŻ SWOICH OBRAZÓW, JEŻELI MASZ WYTRWAĆ PRZY MALOWANIU.

MAM NADZIEJĘ, ŻE ZNAMY SIĘ NA TYLE DOBRZE, ŻE MASZ DO NAS ZAUFANIE. NIE CHCĘ TE? WYSTĘPOWAĆ W ROLI KUSICIELA, KTÓRY WYBIERA MOMENT SŁABOŚCI. TAK SIĘ PO PROSTU SKŁADA,

że stary H.C., dyrektor działu sztuki, poszedł na emeryturę. Parę tygodni rozpaczliwie szukaliśmy kogoś na to stanowisko. Ci,, co łączą cechy organizatora i artysty, nie rodzą się, jak wiesz, na kamieniu, i choć uważałeś kiedyś nasze warunki za zbyt krępujące Twoją swobodę, my ze swej strony uważamy Cię za jednego z najwybitniejszych ludzi na tym polu.

A więc, Johnny, przejdźmy do rzeczy. Ten list jest szczerze mówiąc prośbą, żebyś do nas wrócił. Proponujemy ci pensję, jaką otrzymywał H.C., plus normalne premie etc, czyli dwa razy tyle, co dostawałeś przed odejściem. Nie lubię wtykać nosa w cudze sprawy, ale myślimy, że może po dziesięciu miesiącach masz już troszeczkę dość tej „nędzy na poddaszu" (czy na wsi bywają poddasza?) i zechcesz się zastanowić nad powrotem do rodziny „Raines i Raines", która się Ciebie nie wyrzekła.

Przemyśl to, Johnny, i daj nam znać jak najszybciej. Osobiście sądzę, że to wcale niezła posadka, że mógłbyś przecież w wolnych chwilach nadal uprawiać swoje „poważne" malarstwo. Wpadnij któregoś dnia do biura, to sobie pogadamy. Ogromnie chcielibyśmy Cię zobaczyć.

Pozdrowienia dla Lindy.
Twój...

Czytając starał się nie myśleć o żonie stojącej przy kominku. Zmusił się do skoncentrowania na sprawach istotnie ważnych — na fakcie, że wbrew opinii krytyki, mimo kłopotów z Lindą stopniowo zbliżał się do chwili, gdy jego praca zostanie uwieńczona powodzeniem; na fakcie, że powrót do potwornego komercjalizmu firmy „Raines i Raines" zniszczy w nim to, na czym mu w życiu najbardziej zależało; i jeszcze jedno — niemal równie ważne — że z Lindą było dużo gorzej w Nowym Jorku niż tu, na wsi. Zapomniała o tym oczywiście bo się nudzi i gra rolę męczenniczki na wygnaniu. Ale jeszcze jedna próba rywalizacji z takimi paniami Raines czy Parkinson, bezlitośnie wytwornymi i wyrafinowanymi damami Manhattanu, złamałaby ją ostatecznie.

Doktor MacAllister, jedyny człowiek, w którym pokładał zaufanie, wyraźnie to podkreślił,

— Ponieważ Linda nie chce być moją pacjentką, John, mogę się tylko oprzeć na własnych obserwacjach. Ale uważam, że jak nie wywieziesz jej z tego młyna, za parę lat będzie nieuleczalną alkoholiczką.

Położył list na stole i dopiero teraz popatrzył na żonę. Spodziewał się gwałtownego wybuchu, myślał nawet, że przerwie mu czytanie. Ale i tym razem się pomylił. Zapaliła nowego papierosa i stała patrząc na niego, bardzo spokojna, z rozpaczliwą godnością kogoś, kto porzucił nadzieję, bo na nic mu się ona nie zda.

— A ty nie zamierzasz wracać — powiedziała.

Zaskoczyła go, odczuł wdzięczność i ukłucie winy. Czyżby jej nie doceniał?

— To znaczy, że mnie rozumiesz?

— Oczywiście, rozumiem. Wiem, że potrafisz malować. Żaden krytyk tego nie zmieni. I chcesz malować. Tylko tego chcesz i tylko to jest dla ciebie ważne.

— Nie mógłbym wrócić, Lindo. Chyba żebyśmy głodowali, a nie głodujemy. Mamy dość, by żyć tak jak teraz przynajmniej z pięć lat. Wiesz o tym. — Ponieważ nie sprzeciwiała mu się, całe dawne, niewygasłe jeszcze uczucie zaczęło powracać. Podszedł do niej i wziął ją w ramiona. — Powrót oznaczałby koniec. Ty to rozumiesz, prawda? Rozumiesz, jaki to podstępny list. Charlie wie doskonale, co to za praca. Tkwiłbym w niej po uszy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Malować w wolnych chwilach! Nie zrobiłbym nic! „W wolnych chwilach" nie da się malować. Jutro pojadę do Nowego Jorku i wytłumaczę mu. Charlie zrozumie. — Świadomość, że wbrew wszystkiemu może z nią jeszcze szczerze rozmawiać, uderzyła mu do głowy. — Zresztą już raz powziąłem decyzję. Pamiętasz, prawda? Zdecydowaliśmy to razem. Ty i ja. Wiesz, że to było słuszne. Nie tylko ze względu na mnie. Ty...

— A co, może ze względu na mnie? — Nagle stężała. — Co ty masz na myśli?

— Miałaś tak samo dość Nowego Jorku jak ja...

— Ja miałam dość Nowego Jorku! Czyś ty oszalał? Nowy Jork to moje życie.

Wrażenie, że wszystko jest dobrze — to absurdalne, złudne wrażenie zaczęło się rozpływać.

— Nie ma takiej chwili — powiedziała — ani jednej chwili, żebym nie marzyła, że może kiedyś wszystko to się skończy i że znajdę się z powrotem w swoim mieszkaniu, ze swoimi przyjaciółmi, że znowu zacznę żyć. Nie mówiłam nic. Rozpaczliwie starałam się nic nie mówić. I teraz nic nie powiem. Ale skoro twierdzisz, że to ze względu na mnie, że tylko ze względu na mnie znaleźliśmy się tutaj...

— Lindo, nie powiedziałem, że tylko ze względu na ciebie. Wiesz dobrze. Powiedziałem...

— To nieważne, coś powiedział. Nic nie jest ważne. — Usta, w których trzymała papierosa, drżały. — Ja się i tak nie liczę Zawsze o tym wiedziałam. Jestem po prostu kuchtą do gotowania i sprzątania. Taka jest moja rola, prawda? A ty idziesz i zamykasz się na cały dzień w tej, ponurej stodole, żeby malować swoje obrazy. Gdzieś — Bóg wie gdzie — w jakimś swoim własnym świecie. A potem, kiedy masz trochę czasu, kiedy moglibyśmy być razem, starać się bardziej zbliżyć do siebie, siadasz i nastawiasz adapter na cały regulator albo idziesz w te cholerne lasy z tymi bachorami jak... jak... — Nagle opadła na fotel i ukryła twarz w dłoniach. — O, do diabła! Do diabła! do diabła!...

— Linda! — Znów dał się nabrać, znów nie docenił działania alkoholu i nagle całe jego uczucie dla niej znikło. Patrzył na nią znużony, niemal z nienawiścią.

— Tobie się zdaje, że umiesz malować! — powiedziała

głosem ochrypłym z wściekłości. — To jest jedyna rzecz, której ci nigdy nie mówiłam. Przysięgłam sobie, że ci nigdy nie powiem. I nie powinnam ci teraz mówić. Nie umiesz malować. Nie masz pojęcia o malarstwie. Wszyscy to wiedzą — nie tylko krytycy — wszyscy. Zapytaj byle kogo w Stoneville. Kogo chcesz. Wszyscy się z ciebie śmieją. I ze mnie. Ty, mówią, ty, taka urocza, taka inteligentna...

Wstała z podrygiem, jak marionetka. Nie patrząc na niego i nie przerywając bełkotliwego potoku słów, szła przez pokój.

— Taka czarująca, taka pociągająca. Czemu, na miłość boską, związałaś się z tym wariatem — z tym beztalenciem — który cię ciągnie za sobą w dół, który...

Słowa — stare, zwietrzałe słowa słyszane już po wielekroć — padały jak krople wody na jego nerwy.

— Mogłam wyjść za wielu innych. Za George'a Krasnera, właściciela Agencji Modelarskiej Krasnera. Mogłam wyjść za...

Była teraz przy barze. Obojętnie, jakby nieświadoma tego, co robi, schyliła się po butelkę z dżinem.

— Linda! — zawołał.

Stała nadal pochylona.

— Linda! — zawołał jeszcze raz.

Wyprostowała się gwałtownie.

— Czego na mnie wrzeszczysz?

— Nie rób tego. Na miłość boską, nie rób.

— Nie rób, nie rób! Czego mam nie robić? O czym ty, do diabła, mówisz?

— Linda, proszę cię. Posłuchaj mnie. Wcale nie musisz tego robić. To nie pomoże.

— Co nie pomoże? — Na jej twarzy malowało się teraz zdumienie i oburzenie. — Boże, chyba nie będziesz teraz we mnie wpierał, że chciałam się napić! Ustawiałam po prostu butelki.

Nie odrzekł nic, stał tylko z rękami zwieszonymi.

— No, co? — Jej głos podniósł się o parę tonów. — Chcesz się w ten sposób mną zasłonić? Pewnie jeszcze powiesz, że się napiłam w Pittsfield, bo jakaś idiotka nagadała bzdur o moich włosach. Sprytny jesteś. Umiesz sobie poradzić. A ja ci powiem, że już od miesięcy nie miałam w ustach alkoholu. O ile o tym mowa, nie wiem, czy mi się zdarzyło w życiu wypić więcej niż... parę cocktaili na przyjęciu albo...

Nagle załkała i podbiegła do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła twarz na jego piersi.

— Och, pomóż mi. Pomóż mi, John. Kochany, pomóż mi.

Był to prawdziwy krzyk z głębi duszy. Wiedział dobrze. To już nie była gra. Ale gdy objął ją wpół, czuł tylko panikę zwierzęcia w matni.

— To by nic nie pomogło — rzekł głaszcząc jej włosy. — Powrót do Nowego Jorku nic by nie zmienił.

— Ja też tak myślę.

— Wiem.

— John. Wcale nie chciałam tego powiedzieć. Nie chciałam.

— Wiem.

— To wszystko nieprawda. Wcale nie chciałam tego powiedzieć. Och, John, gdybyś mi pomógł...

Ożyła w nim nadzieja. Spróbuje jeszcze raz.

— Gdybyś zechciała porozmawiać z Billem MacAllisterem...

Zaczęła drżeć.

— Nie — powiedziała. — Nie rób mi tego. Nie możesz mi tego zrobić. Nie możesz kazać mnie zamknąć w...

— Wiesz przecież, że nic podobnego ci nie grozi. Ze strony Bilia? Bill jest moim starym przyjacielem. On rozumie, że...

— Nie. Nie mówmy o tym. Nie. — Cała rozmowa na ten temat miała tylko tę wartość, że Linda trochę oprzytomniała. Jej palce przestały wpijać się kurczowo w jego koszulę.

— Nic mi nie jest. Naprawdę, nic mi nie jest. Tak mi przykro, kochany. Jak mogłam powiedzieć coś takiego? Oczywiście, rozumiem, że musisz odrzucić ofertę Charlie'ego. Lepiej nam tu. Obojgu nam tu lepiej. Rzeczywiście wypiłam kieliszek. Tylko jeden. Przysięgam. Ale to mi nie zaszkodzi. Nie ma się o co martwić.

Odsunęła się od niego uśmiechnięta, z oczami błyszczącymi, jakby się miała rozpłakać.

— Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby się z tym oswoić. Rozumiesz mnie? To spadło tak nagle. Nie było mi łatwo tak od razu... pogodzić się z tym. Wiesz, że to niełatwe dla mnie. Gdybyś zrobił to inaczej, gdybyś okazał trochę więcej taktu...

Podniosła rękę i zaczęła głaskać go po szyi. Przerabiała w duchu całą scenę. Już widziała się w roli czułej żony, która zachowała się troszkę nierozsądnie, bo mąż niezręcznie ją potraktował.

Nawet w tej sytuacji zdolna była wsadzić mu szpilkę.

— Kochany, musisz się spieszyć z przebraniem. Powinieneś już wyjeżdżać, żeby zdążyć na czas do Vickie.

— Ja? A ty nie jedziesz?

— Och, ja nie mogę... w tym stanie.

— To ja też nie pojadę.

— Ale musisz jechać. Jedno z nas musi. Co ona sobie pomyśli? To jej urodziny. Mamy przecież nawet prezent. Pozdrów ją ode mnie i powiedz, że mam migrenę. A ja się położę na chwilę. Zaraz mi to przejdzie.

Stał na wprost barku i nieświadomie wzrok jego powędrował do butelki z dżinem.

— Zaufaj mi, John — powiedziała Linda ostro. — Zaufaj mi ten jeden raz. To takie ważne, żebyś mi zaufał.

I oto znowu — krzyk z głębi duszy i dylemat. Jeśli zadzwoni do Careyów i powie, że oboje nie przyjadą, okaże wobec niej brak zaufania. Ale jeśli zostawi ją samą...

Popatrzył na Lindę. Jej twarz wyrażała błaganie — twarz małej dziewczynki.

— Ona wie, że miewam migreny. Oni wszyscy wiedzą. Powiedz, że nie dzwoniłam, bo do ostatniej chwili miałam nadzieję, że się poczuję na tyle dobrze, że przyjadę.

Czyż nie musiał jej zaufać? Gdyby nie zaufał, po takiej próbie, czy nie byłoby to przyznaniem do całkowitej klęski ich małżeństwa?

— Naprawdę sądzisz, że będzie dobrze, jak pojadę? Naprawdę tego chcesz?

— Tak, tak. I nie będę... przysięgam, że nie będę...

— Dobrze. Gdzie jest prezent?

— Na górze, w sypialnym. Jest ślicznie zapakowany. Sama go zapakowałam.

Uśmiechnęła się teraz radośnie. Objęła go ramieniem w pasie. Poszli razem na górę. John pamiętał, jak kupowali tacę dla Vickie przed trzema dniami w antykwami. Zapakowała ją starannie w ozdobny papier sama sprzedawczyni.

W sypialnym Linda położyła się. John zdjął robocze ubranie i wziął prysznic. Gdy wrócił z łazienki, żona wciąż leżała z zamkniętymi oczami. Nałożył koszulę, krawat i letni garnitur. Kiedy się czesał, zawołała cicho:

— John, kochany.

Odłożył szczotkę i odwrócił się. Oczy miała otwarte, ramiona wyciągnięte do niego. Podszedł do łóżka.

— Pocałuj mnie, John.

Schylił się. Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Przywarła ustami do jego ust w długim, namiętnym pocałunku. Jej oddech pachniał miętą z lekkim metalicznym posmakiem alkoholu.

— Przepraszam cię, John.

— Nie szkodzi.

— Chcę, żebyś był szczęśliwy. Nic w świecie poza tym mnie nie obchodzi — żebyś osiągnął, co chcesz osiągnąć, i żył tak, jak pragniesz żyć. Wszystko inne jest nieważne.

— Tak, Lindo.

Wciąż obejmowała go za szyję. Jej usta przesunęły się do jego policzka.

— Kochany, jeśli obiecują ci dwa razy tyle, ile dostawałeś, to znaczy, że dwadzieścia pięć tysięcy rocznie, tak?

— Tak. Zachichotała.

— Jesteśmy biedni, ale z gestem, prawda?

Pogłaskała go po głowie i puściła.

— Poleżę tu sobie chwilę, a potem pójdę zrobić coś do jedzenia. Nie śpiesz się z powrotem. Nie chcę ci psuć wieczoru wspomnieniami. Pozdrów ode mnie Vickie. Wszystkich ich pozdrów. Powiedz, że mi strasznie przykro.

— Dobrze.

Ruszył do drzwi.

— Kochanie! — zawołała. — Zapomniałeś tacy. Mojej ślicznie zapakowanej tacy.

3.

Wsiadł do czarnej starej limuzyny, położył obok na siedzeniu tacę, owiniętą w złoty papier i przewiązaną szeroką niebieską wstążką, i ruszył porosłym zielskiem podjazdem do szosy.

Nie wolno się przejmować — mówił sobie. Już od dawna nieustanny lęk był jego największym wrogiem, nadwątlał siły, których potrzebował tak wiele, by stawić czoło oczekującym kłopotom. To całe przyjęcie i tak będzie męką, bez dodatkowej udręki na myśl o tym, co Linda może spłatać w domu.

Może nic nie spłata. Zupełnie możliwe, jak wróci, zastanie wszystko, w porządku. Zdarzało się już tak, że gdy zaczynała pić, potrafiła się opanować. Niedobry to nawyk oczekiwać zawsze najgorszego.

Vickie i Brad Carey mieszkali nad jeziorem Sheldon, w najatrakcyjniejszym punkcie Stoneville. Od starej farmy

Hamiltona dzieliła ich zaledwie mila drogi lesistym zboczem.Brad był jedynym synem starego Careya, właściciela jednego z najstarszych towarzystw papierniczych w Nowej Anglii. Zajmował stanowisko wiceprezesa towarzystwa i był spadkobiercą fabryki, a przed pięciu laty ożenił się z Vickie, bardzo zamożną dziewczyną z Kalifornii.

Aczkolwiek Stoneville leżało w samym sercu Berkshires, tego ruchliwego terenu letnich wywczasów nowojorczyków, było ono właściwie jeszcze nie odkryte. Stary Carey mieszkał tam od lat, a cała rodzina zajmowała pozycję jak gdyby miejscowej samozwańczej szlachty. Jednakże oprócz nich oraz Fisherów, którzy obecnie gościli w Kalifornii, jedynymi ludźmi z pretensjami towarzyskimi byli Gordon i Roz Morelandowie, rodzice Timmie'ego, którzy pisali wspólnie poczytne powieści historyczne, a którzy zimy spędzali w Europie. Pod nieobecność Fisherów na przyjęciach u Vickie i Brada bywali jedynie starzy Careyowie, Morelandowie i od zawarcia znajomości z Lindą — Hamiltonowie.

Szczupłość tego grona czyniła je fanatycznie zwartym. Morelandowie żywo interesowali się Careyami, Careyowie ze swej strony Morelandami, a starzy Careyowie sprawami obu tych rodzin. Zaczynali to wszystko przenosić i na Lindę.

Ta wzrastająca zażyłość dręczyła Johna. Z wyjątkiem Vickie i Brada, którzy byli prości i serdeczni, nikt z tego kręgu mu nie odpowiadał. Starszy pan Carey był w jego odczuciu nudnym despotą, a Morelandowie głupi i afektowani. Dla Lindy jednak fakt, że ją faworyzowano, był ogromnie ważny. Dawał jej dodatkowe zabezpieczenie, którego tak rozpaczliwie potrzebowała, i przez niespełna sześć miesięcy udawało jej się wobec nich zachować nieskazitelną postawę. John jednak wiedział, że te stosunki wisiały na włosku. Gdyby ludzie z kręgu Careyów, ludzie odizolowani od przykrych spraw życia, zaczęli bodaj podejrzewać prawdę, w jednej chwili zerwaliby z Lindą. A wtedy...

Mijając pusty dom Fisherów i jadąc w dół zbocza przez rozległy, pożółkły zagajnik klonowy, tchnący rajskim spokojem w blasku słońca, John poczuł znowu skurcz lęku. Już dwa razy migrena służyła Lindzie za wymówkę. Czy i za trzecim zostanie uznana? W dodatku na przyjęciu urodzinowym... Ci ludzie czynili z urodzin niemal kult, a Linda, która zawsze tak szybko podchwytywała cudze pozy, od tygodnia o niczym innym nie mówiła. „Vickie, kochanie, twoje urodziny! Nie mogę się ich doczekać. To będzie dla mnie wielkie przeżycie. Dopiero wtedy poczuję się przyjęta do waszego grona".

Skręcił na szosę biegnącą brzegiem jeziora i wkrótce znalazł się na podjeździe domu Careyów. Zaparkował samochód na żwirowanym podwórku za domem. Stał już tam cadillac starszych państwa Careyów obok buicka młodych, ale przywiezionego z ostatniej wyprawy do Niemiec mercedesa Morelandów jeszcze nie było. John wziął tacę, wysiadł z samochodu i zadzwonił do drzwi. W tym samym momencie usłyszał z tyłu natarczywy dzwonek rowerowy. Odwrócił się i zobaczył ubranego bardzo schludnie w białą koszulkę i białe spodenki Leroya Phillipsa, który się właśnie ukazał na rowerze u wylotu kamiennego pasażu. Rodzice Leroya byli na służbie u młodych Careyów i, baczni na etykietę, starali się trzymać syna z dala od oczu pracodawców. John rzadko widywał go u Careyów. Chłopczyk podjechał do niego i uśmiechnął się rozbrajająco.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry, Leroy.

Leroy, onieśmielony, spuścił wzrok na kierownicę.

— Pojechaliśmy się wykąpać. Wszyscy. Emily, Angela, Buck i... Timmie.

— Naprawdę?

— No, naprawdę. A Emily i Angela — spojrzał na niego spod długich, czarnych rzęs — mają sekret.

— Jaki sekret?

— Ach, ogromny sekret. Jak pan myśli, czy one mi go powiedzą?

— Chyba tak.

— Ale powiedziały, że nie. Że nikomu nie powiedzą. Timmie ma dostać od ojca skafander kosmonauty i mówił Angeli, że jej da ponosić, jeżeli mu powie. Ale nie chciała. Powiedziała...

Drzwi otworzyły się ukazując promienną postać Alonso Phillipsa w białej kurtce i czarnych spodniach lokaja.

— Dobry wieczór, panie Hamilton. — Zobaczył syna i przybierając żartobliwie groźną minę, rzekł: — A ty co tu robisz? Po coś tu przytaszczył ten rower. Zwiewaj, już cię tu nie ma. Szaleje za panem. Tak jak wszystkie dzieciaki. Proszę wejść. Państwo na tarasie przy cocktailach. Pani Hamilton nie przyjedzie?

— Nie. Rozbolała ją głowa.

— Coś takiego! Wielka szkoda. I to właśnie w dzień urodzin pani.

John poszedł za nim przez salon na kamienny taras.

Taras ciągnął się przez całą długość domu od strony jeziora, które Careyowie uważali za swoją własność, choć od północy jego brzeg należał do miasta. Cała rodzina siedziała na ogrodowych krzesłach z kutego żelaza pod parasolami w niebiesko-białe pasy. Stary Carey, krzepki, wyniosły i nieprzystępny, siedział trzymając w ręku kieliszek martini niby młotek na zebraniu komisji, której łaskawie zgodził się przewodniczyć. Żona, przywiędła i wystraszona kobiecina, siedziała u jego boku w swej wiecznej roli służki. Brad Carey, pełen szacunku syn i dziedzic starego, mieszał cocktaile przy barze ze szkła i niklu. Vickie siedziała za środkowym stołem obładowanym prezentami urodzinowymi.

Starzy Careyowie jak zwykle udali, że nie znają Johna. Jeśli ktoś nie był prawdziwym członkiem ich świty, aż do momentu prezentacji bywał zaszczycany jedynie chłodnym spojrzeniem królewskich oczu. Brad pomachał ku niemu zza

baru. Vickie zerwała się i pośpieszyła na jego spotkanie.

— Jak się masz, John. Bardzo się cieszę. A gdzie Linda?

Jej twarz o nieregularnych rysach była niemal brzydka, ale spontaniczny uśmiech zawsze ujmował Johna. Pokiwała głową, gdy wręczył jej prezent i składał wyjaśnienia.

— Biedactwo. To bardzo przykre.

Podszedł do nich Brad z czupryną na jeża, elegancki, wesoły, niosąc martini dla Johna. U Careyów nigdy nie pytano, co kto chce pić. Nie wyobrażano sobie nawet, by ktokolwiek mógł pragnąć czegoś innego niż martini, przyrządzanego według ścisłej recepty Careyów. Z wyjątkiem Lindy, oczywiście. Wszyscy z grona Careyów wiedzieli, że Linda nie pije. Dla niej był zawsze rytualny sok pomidorowy z kropelką sosu Worcestershire.

— Kochanie, Linda ma znowu migrenę — powiedziała Vickie.

— Przykra rzecz. Biedna dziewczyna. — Brad zwrócił szczere spojrzenie niebieskich oczu na Johna. — A tak bardzo cieszyła się na to przyjęcie. Naprawdę nie mogła wpaść?

— Niestety. Ta migrena zupełnie ją rozłożyła.

Pan Carey, który miał do Lindy słabość starego flirciarza, powiedział głośno do żony:

— Mówią, że nie przyjdzie. Dlaczego?

Pani Carey drgnęła jak zawsze, gdy mąż się do niej zwracał.

— Zdaje się, że ją boli głowa.

— Głowa! — żachnął się pan Carey. — To żadna wymówka przy takiej uroczystości.

— Ona ma migrenę, tatusiu — powiedziała Vickie. — A to dużo gorsze. — Rozwinęła tacę i gorąco podziękowała Johnowi.

— Co oni jej dali? — spytał Carey.

— Zdaje się, że tacę — odparła żona.

W chwili gdy John szedł przywitać się uroczyście ze

starymi Careyami, w głębi domu rozbrzmiało celowo fałszowane „Sto lat, niech żyje, żyje nam...” Cały taras został momentalnie poruszony, kiedy przez drzwi wpadli Gordon i Roz Morelandowie z małym Timmie depczącym im po piętach. Roz niosła ogromną paczkę, uginając się komicznie jakby pod przytłaczającym ciężarem, Gordon — przeciwnie — miał zawieszony na małym palcu uniesionej w górę ręki malutki pakiecik na różowej wstążeczce.

Uzupełnione w ten sposób grono Careyów zaczęło się witać pośród okrzyków i pocałunków.

— Vickie, rozpakuj prezenty. Prędko. Przywieźliśmy je aż z Europy, z cudnego sklepiku w Taorminie.

— Och, Roz, nie powinniście...

Duża paczka zawierała haftowany ludowy strój sycylijski na wieszaku; mała — srebrne kolczyki w kształcie miniaturowych oślich zaprzęgów. Vickie była oczarowana. Starszy pan Carey ryczał ze śmiechu. Wszyscy dostali po kieliszku martini. Pokazano Morelandom prezent, który Fisherowie przywieźli z Kalifornii, i wytłumaczono nieobecność Lindy, ale nie zrobił tego John, tylko pani Carey, która wzięła na siebie rolę biura informacyjnego.

Tylko Timmie pozostał na uboczu. Careyowie i ich przyjaciele wyznawali zasadę, że tam gdzie chodzą rodzice, mogą chodzić i dzieci. Timmie jednak był jedynym dzieckiem na przyjęciu, a ponieważ Morelandowie wyznawali również zasadę, że nie należy się dziećmi zbytnio przejmować, więc mu nie dali prezentu dla Vickie i nikt się nim teraz nie interesował. Chłopczyk zbliżył się do Johna. Nerwowy i niespokojny, był najmniej przedsiębiorczy z pięciorga dzieci i John traktował go specjalnie opiekuńczo. .Timmie opowiadał mu z przejęciem o stroju kosmonauty.

— Tata powiedział, że mi dziś kupi w Pittsfield, ale był bardzo zajęty i nie miał czasu. Pewnie niedługo kupi. To będzie taki kombinezon z wielką banią na głowę, a Buck powiedział, że też taki dostanie. Powiedział, że jeszcze nie wie...

— Timmie, kochanie, przestań pana nudzić. Biedny pan Hamilton wcale nie chce słuchać o twoim stroju kosmonauty. — Roz Moreland spadła na nich jak jastrząb i skierowała do Johna smętny uśmiech, który mówił: „Ach, te matczyne obowiązki". Miała w ustach długą szylkretową cygarniczkę. — Timmie, idź, poszukaj tego małego Murzynka, z którym się tak zaprzyjaźniłeś. Wie pan, my z Gordonem uważamy te wszystkie bariery rasowe za zupełny absurd. W Marrakesh ubiegłej zimy Timmie zaprzyjaźnił się ze ślicznym malutkim Arabem. Miał urocze imię, zupełnie jak z „Baśni tysiąca i jednej nocy", Abdulla.

— Ahmed — rzekł Timmie. — On się nazywał Ahmed.

Roz pogłaskała go z roztargnieniem po głowie.

— Nie nudź, kochanie. Idź, pobaw się ze swoim przyjacielem. Jaka szkoda, że Linda, biedactwo, nie mogła przyjść. Przynieśliśmy nasze przezrocza z Sycylii. Straszne utrapienie z ludźmi, którzy lubią podróżować, zadręczają przyjaciół. Ale pan Carey tak nalegał...

Reszta towarzystwa odeszła od oszklonych drzwi tarasu i rozsiadła się na żelaznych krzesłach. Przyjęcie — typowe Przyjęcie Careyów — było w toku.

Uparcie kryjąc swój nieprzezwyciężony niepokój o Lindę John siedział z kieliszkiem w ręku, a tymczasem rozmowa zeszła na „sprawę jeziora". Przyjęcia u Careyów miały swoje standartowe tematy. Tego lata tematem numer jeden był wypadek samochodowy pana Careya i jego niedawne a całkowite ozdrowienie po kilkumiesięcznym pobycie v' szpitalu oraz porównanie z tymi, co nie potrafią z podobną odwagą spojrzeć nieszczęściu w oczy. Tematem podrzędniejszym była „sprawa jeziora". Otóż nie bacząc na prawo moralne Careyów do odosobnienia i spokoju pewni agresywnie nastawieni radni miejscy dążyli do sprzedania Północnego brzegu jeziora przedsiębiorcom hotelowym i za trzy dni

miało się właśnie odbyć na posiedzeniu rady miejskiej głosowanie nad tą sprawą.

Pan Carey mówił jak wyrocznia.

— Grunt to trzymać się razem. Pójdziemy wszyscy na to zebranie — tak, moi państwo, nawet pan, panie Hamilton. Każdy się liczy. Nie mam najmniejszych obaw. Zawsze potrafię tak czy inaczej wywrzeć nacisk przynajmniej na połowę tych tam radnych. Weźcie za przykład młodego Standona...

Wypili jeszcze po jednym martini i dodatkowo po pół. Te dodatkowe połówki były tradycyjnym urodzinowym zbytkiem. Towarzyszyły im z reguły spory co do sprawiedliwego ich wymierzania. Potem przeszli na obiad, gdzie już zaczynał błyszczeć rodzinny dowcip. Pito za śmierć popleczników hotelowych intryg, a intymny świat Careyów stawał się coraz bardziej i bardziej intymny.

Mimo że John był zarówno z własnego, jak i z ich wyboru tylko chwilowym gościem tego intymnego świata, rozumiał doskonale, jak wiele znaczył on dla Lindy. To właśnie było życie, jakiego Linda pragnęła dla siebie, w którym bogactwo i wygodne przekonanie o własnej wyższości chroniło przed potrzebą współzawodniczenia. Podniecona powodzeniem jego pierwszej wystawy w ubiegłym roku, nakłaniając go do porzucenia firmy „Raines i Raines", prawie na pewno miała na myśli takie życie. Życie, w którym cudownie przemieniona w „żonę osoby sławnej", byłaby na naczelnym miejscu, a on — u jej boku.

Podczas gdy Gordon opowiadał zabawne historyjki o prymitywie hotelu w Agrigento, wtrącając niezrozumiałe zdania w dialekcie sycylijskim, John myślał o Lindzie, leżącej na łóżku w ciemnym pokoju. „Jeżeli to jest dwa razy tyle, ile dostawałeś, to znaczy, że dwadzieścia pięć tysięcy rocznie, tak?" Pewnie się tym zadręcza. Bardziej niż czymkolwiek innym. Myśli sobie zapewne, że mając te pieniądze mogłaby się ubierać lepiej niż Mary Raines, dać po nosie

Parkinsonom, wydawać najelegantsze przyjęcia.

Ta uporczywa myśl wytrąciła go z równowagi. Z pozoru nie było w tych jej marzeniach nic złego. Gordon Moreland na pewno by jej współczuł. Tak samo stary pan Carey. Prawie każdy. Spróbował wyobrazić sobie twarze ich wszystkich, gdyby nagle oświadczył, że właśnie odrzucił propozycję posady z pensją dwudziestu pięciu tysięcy rocznie plus premie tylko dlatego, że postanowił malować obrazy, które w ich sferach uchodziły za tak złe, że nigdy nawet o nich nie wspominano.

Nagle powrócił lęk. A może on jest po prostu podsycającym własne złudzenia egomaniakiem? Może wmawia w siebie tylko, że powrót do Nowego Jorku byłby fatalny dla Lindy? Prawda, że doktor MacAllister go ostrzegał. Ale jeżeli będą mieli więcej pieniędzy, a co za tym idzie większą pewność siebie, czy to nie postawi jej na nogi?

Robak zwątpienia powrócił i zaczął go gryźć.

Po obiedzie pan Carey uparł się, żeby obejrzeć przezrocza. Poodsuwano meble w salonie, z humorem zawieszono ekran i ustawiono projektor. Sprowadzono Timmie'ego i nawet Leroya i usadzono ich po turecku na podłodze. Gdy pogaszono światła, Gordon Moreland donośnym, afektowanym głosem wykładowcy zaczął objaśniać przezrocza. John siedział w ciemności i walczył ze zwątpieniem.

Byli właśnie gdzieś w drodze z Cortiny do Austrii, kiedy usłyszał śmiech. Zabrzmiał gdzieś w tyle, od strony hallu — stłumiony, podniecony chichot. Czyżbym już doszedł do tego stanu, że ją słyszę, gdy jest nieobecna? — pomyślał z niepokojem. Potem śmiech się powtórzył i głos Lindy zawołał wesoło:

— Ju-huuu! Jest tam kto?

Widoczek z Tyrolu zatrzymał się w połowie ekranu. Gordon Moreland wykrzyknął:

— To Linda!

Inni powtórzyli za nim:

— Linda? Czy to ty? Linda!

— Nie przerywajcie sobie. Ja też chcę zobaczyć te przezrocza. Kochani, nie przerywajcie. To tylko ja.

Odwracając się John ujrzał w drzwiach oświetloną sylwetkę żony.

4.

Zapalono światło. Potem drugie. Wszyscy odwrócili się ku drzwiom, ale instynktownie, z poszanowaniem dla teatralności chwili, nie powstali z krzeseł, kiedy Linda schodziła po schodkach. Miała na sobie nową zieloną suknię i szła bardzo ostrożnie, troszeczkę za ostrożnie. Tryumfowała, była ośrodkiem zainteresowania. Tylko jej uśmiech wyglądał jakby przylepiony, a oczy troszeczkę za bardzo błyszczały. Patrząc na nią ze strachem, John wiedział, że znajdowała się w owym niebezpiecznym stanie, kiedy to jeszcze nie była zupełnie pijana, ale kiedy jej złośliwość dochodziła szczytu.

Więc to tak — myślał. Jak mogłem być taki głupi, żeby jej zaufać? A potem z cieniem nadziei: Może się nie połapią, może po prostu pomyślą, że to skutki migreny, jeżeli tylko zdążę ją na czas stąd zabrać.

Wszyscy wstali i ruszyli ku niej. Zbliżywszy się John zobaczył czerwone opuchnięte miejsce pod lewym okiem. Widocznie przewróciła się i uderzyła. Widział ją w duchu, jak stoi przy barku z metalową miarką do cocktaili w dłoni i popijając dżin knuje jakiś plan, potem rusza ku schodom, potyka się, uderza o coś twarzą, chichocze, wstaje, wspina się na schody, żeby się przebrać w zieloną suknię...

— Wszystkiego najlepszego! — Linda zatrzymała się na najniższym stopniu i przesyłała ręką pocałunki. — Kochana Vickie, życzę ci wszystkiego najlepszego. I wam, kochani

Careyowie, wszystkiego najlepszego. Wam też, Morelandowie. Wszystkim wszystkiego najlepszego.

John chciał się do niej przedostać, ale już Vickie ściskała ją i całowała, a reszta towarzystwa stłoczyła się trajkocząc wokół niej.

— Kochanie... to cudownie... ale czemu nie zadzwoniłaś? Brad przyjechałby po ciebie... Jak się tu dostałaś? Przyszłaś piechotą? To niemożliwe... taki szmat drogi.

— Oczywiście piechotą. Przez las. Cudny spacer. Kiedy już się zdecydowałam przyjść, to pomyślałam, że będzie zabawniej, jeśli wam zrobię niespodziankę. A nie mogłam wytrzymać, żeby nie przyjść. Pomyślałam, że byłoby głupio siedzieć w domu tylko dla tego, że...

Urwała i po raz pierwszy poszukała oczyma Johna. Oczy te były bezwzględne, twarde — potwierdzały słuszność jego obaw. Po jego wyjściu leżała i myślała o tych dwudziestu pięciu tysiącach dolarów, podniecając w sobie nienawiść do niego. John to wróg, który pozbawiał ją wszystkiego, do czego miała w życiu prawo. Zeszła na dół do barku. P o w i e d z i a ł , ż e j e s t e m p i j a n a . J a m u p o k a ż ę . Po to właśnie tu przyszła. Był tego pewien. Żeby się na nim zemścić.

Wszyscy na nią patrzyli. Odczuli napięcie, które ze sobą wniosła, choć jeszcze nie zdawali sobie z niego sprawy.

Cichutko, wiedząc, że to i tak nie pomoże, powiedział:

— Lindo, niedobrze, że przyszłaś z tą swoją migreną.

— Migreną! — Na jedną chwilkę oczy jej ujawniły całą kipiącą w niej złość. — Więc powiedział wam, że mam migrenę. Mogłam się tego domyślić. Bardzo ci zależy na zachowaniu pozorów przyzwoitości, prawda, John? — Odwróciła się od niego i obdarzyła całe towarzystwo promiennym, pojednawczym uśmiechem. — Daliście się nabrać, kochani. Wcale nie mam migreny. Nigdy nie czułam się lepiej. Mieliśmy po prostu małe nieporozumienie... Zwykłą domową awanturę. Każdemu może się zdarzyć. — Podniosła wolno rękę do opuchniętego miejsca i na ułamek sekundy w jej

oczach ukazał się tryumfalny błysk. — Biedny, kochany John, on wcale nie chciał. To tak jakoś samo wyszło... Nie macie pojęcia, jak mu było przykro. Ale... postanowił, że lepiej, jak zostanę w domu. Uznał, że to nie będzie szczyt wytworności, jak mnie przywiezie na przyjęcie do Careyów... z sińcem.

Morelandowie stłumili grzecznie okrzyk oburzenia. Pan Carey sprawiał wrażenie rażonego gromem.

Więc taki był jej plan — myślał John. To uderzenie poniżej pasa. Nie martwił się zresztą o siebie. Ci ludzie nic dla niego nie znaczyli. Jeżeli chciała, żeby myśleli, że ją sprał... Proszę bardzo. Najważniejsze teraz zabrać ją stąd co prędzej, nim to całe towarzystwo na zawsze się od niej odwróci.

Wyminęła wszystkich i, wciąż .uśmiechnięta, wzięła go za ręce.

— Nie złość się, proszę, że jednak przyszłam. Oni mi nie wezmą tego za złe. Wiedzą, jak ich kocham, i że guz nie guz nie mogłam się , powstrzymać, żeby nie złożyć Vickie życzeń.

— Świetnie, Lindo — rzekł. — A teraz, skoro je złożyłaś, wracajmy do domu.

— Do domu? Chyba zwariowałeś! Dopiero przyszłam, a muszę przecież zobaczyć przezrocza — śliczne te przezrocza.

Trzymała go za obie ręce. Czuł, jak wspiera się na nich całym ciężarem, zwracając się do reszty towarzystwa.

— Do czego już doszliście. Gordon? Do Sycylii?

Wszyscy do nich podeszli, nawet Timmie i Leroy krążyli wokół z wytrzeszczonymi oczami. Mógł ją, oczywiście, wyprowadzić, siłą, ale to by jej tylko było na rękę. Udało jej się tym razem. Lepiej dać spokój, niech się cieszy. Stojąc teraz wobec nieuchronnej klęski, patrzył zafascynowany na reakcję towarzystwa, która przebiegała zgodnie z życzeniem Lindy. Nie zdawali sobie sprawy, że jest pijana. Tak bardzo

przywykli sądzić, że Linda nie bierze do ust alkoholu, że nie przyszło im to na myśl. Ale wszystkie twarze, prócz Vickie i Brada, wyrażały nienasyconą ciekawość wyzierającą spod powłoki nieśmiałości. Wreszcie pan Carey nie wytrzymał. Jako senior miał przywilej obcesowych i otwartych wypowiedzi.

— Zaraz, zaraz, moje dziecko. — Wyblakłe oczy wpiły się na moment w Johna, przeszywając go na wskroś. — Kłóciliście się, powiadasz? I on cię uderzył?

Brad miał nieszczęsną minę, a Vickie powiedziała szybko:

— Wszyscy się czasem sprzeczają, tatusiu. Nie nasza sprawa, o co im poszło.

— Właśnie że nasza. Jak najbardziej nasza. Linda jest naszą przyjaciółką. Skoro znalazła się w tarapatach..

— Och, na miłość boską nie sądźcie, że ja winię Johna — rzekła Linda. — Cała wina jest po mojej stronie. Tylko.

Wyciągnęła rękę po papierosa. Gordon Moreland skwapliwie podsunął jej srebrną papierośnicę i podał ogień. Wydmuchując dym, Linda obdarzyła Johna krótkim, czułym spojrzeniem.

— Kochanie, jestem głupia. Powinnam była trzymać język za zębami. Ale wiedziałam, że jak zobaczą moje oko, to się zdziwią i... Zresztą, jak już zaczęłam, muszę powiedzieć wszystko do końca. Ostatecznie nie mamy co ukrywać przed przyjaciółmi.

Objęła go ramieniem, ostentacyjnie biorąc w obronę przed opinią publiczną. Czuł, jak drgała z zadowolenia.

— Kochani, pozwólcie mi obwieścić wielki dramat rodu Hamiltonów. Firma, w której John pracował kiedyś w Nowym Jorku, napisała, że chce, aby wrócił i objął kierownictwo działu sztuki. Dwadzieścia pięć tysięcy rocznie plus premie i mnóstwo wolnego czasu na malowanie. Znacie mnie doskonale. Jestem okropną materialistką. Chwilami mam już dość tego liczenia się z każdym groszem, tego

ciągłego oszczędzania, tego bytowania na skraju ubóstwa. Nie mam natury artystycznej, toteż myśl o powrocie do Nowego Jorku, o tym, że moglibyśmy znów zacząć przyzwoicie żyć... tak jak wy tu żyjecie... Ta myśl... — głos jej się załamał.

To wszystko jest wyreżyserowane — myślał John. Wyćwiczone w drodze tutaj do najmniejszego gestu, najdrobniejszego drgnienia krtani.

— Ale to jest tylko mój egoistyczny punkt widzenia — podjęła Linda, tym razem tonem wielkodusznego bohaterstwa. — Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Nie chodzi o mnie, tylko o niego. Jeżeli on chce dalej malować, jeśli wszystko mu jedno, co o nim mówią krytycy, jeśli może mieszkać jak ostatni nędzarz, to... to reszta jest nieważna. I jutro jedzie właśnie do Nowego Jorku, żeby oświadczyć, że rezygnuje... Koniec. Kropka, nie ma o czym mówić. Zresztą inna sprawa, gdybym nie miała tu przyjaciół. Czy mogę się skarżyć na los, kiedy mam Vickie i Brada, i Morelandów, i państwa Careyów, tak bardzo, bardzo kochanych państwa Careyów?

Usta jej zadrżały. Niezdecydowanym ruchem wyciągnęła rękę do Gordona Morelanda, żeby wziął jej papierosa. Niezręcznie, z opuszczoną głową podbiegła do pani Carey i zarzuciła jej ramiona na szyję.

— Och, jaki ze mnie potworny samolub! Jak można komuś tak zepsuć przyjęcie! Jak można z siebie robić takie straszne widowisko. I to o co — o sprawę, która jest już rozstrzygnięta, kompletnie rozstrzygnięta, której w ogóle nie powinno się już poruszać. Mój biedny John. — Ukryła twarz w koronkach na obszernym biuście pani Carey. Jej głos zabrzmiał cienko i żałośnie. — Powinnam była zostać w domu. Wiem, że powinnam. Ale gdy zostałam sama, zaczęłam to sobie przeżuwać w myśli i oko mnie tak bolało, i... napiłam się whisky. — Zachichotała. — I dlatego jestem teraz taka.

Golnęłam sobie. Kochani, wasza Linda jest zalana w pestkę.

Rozległ się śmiech, który przeszedł powoli w głęboki szloch.

Tak, to jest numer. Przeszła samą siebie. Wykorzystała nawet swoje pijaństwo dla wzbudzenia współczucia. Niepotrzebnie się obawiał. Wcale się nie spaliła u Careyów. Bardziej niż kiedykolwiek zyskała w nich sprzymierzeńców i utwierdziła ich w przekonaniu, że ma potwora za męża.

Czuł wokół siebie wrogość. Pan Carey nie ukrywał odrazy; pani Carey stała się niebezpiecznie opiekuńcza w stosunku do Lindy. Morelandowie patrzyli na niego, jakby im się nie mieściło w głowach, że w ogóle mogli mieć z nim cokolwiek wspólnego. Uświadamiał sobie mgliście, jak bardzo kiedyś podobna rzecz by go bolała — właśnie tak, jak Linda tego pragnęła. Kiedy? Przed trzema laty? Kiedy to się pierwszy raz zaczęło w Nowym Jorku, gdy wciąż jeszcze był zaślepiony i naprawdę wierzył, że namawiając ją, by zaprosiła na obiad jego siostrę albo poszła z nim na oficjalne przyjęcie czy coś podobnego, naraża ją na ciężką próbę. Tak, wtedy by go to bolało. Ale to było dawno. Teraz pozostawała w nim tylko odraza, pogarda dla niej, pogarda dla siebie i życia, jakie sobie stworzyli. Lojalność — czyż nie tak zwykł to nazywać? Stanie ze szlachetną wytrwałością u boku swej upośledzonej żony, która tak bardzo go potrzebowała.

Znużony, ignorując wrogie spojrzenia, podszedł do Lindy.

— Powiedziałaś już wszystko, a teraz chodźmy do domu.

Pani Carey zagdakała jak zaniepokojona kwoka. Pan Carey warknął:

— Nie zabierze pan tego biednego dziecka, żeby się nad nim dalej znęcać!

— Nie — powiedziała pani Carey. — Nie, Lindo, kochanie, musisz pojechać do nas.

Linda spojrzała na niego spod na wpół przymkniętych powiek. Spojrzenie to spoczęło na nim na jedną chwileczkę, ale John dostrzegł w nim nieuniknione symptomy pijackiej złości — bunt, zapowiedź paniki: Czy tym razem nie zaszłam za daleko?

— Chodź — powiedział do niej. Wiedział, że teraz go posłucha, nie dlatego, żeby się nagle stała uległa, ale dlatego, że osiągnęła już swój cel.

Powoli odsunęła się od pani Carey. Przez chwilę stała uśmiechając się do niej żałośnie, poprzez łzy.

— Pani jest bardzo kochana. Tak mi strasznie przykro. Bardzo was wszystkich przepraszam. Jestem pijana i zepsułam wam zabawę. Oczywiście, pojadę z Johnem. Jest moim mężem i nie mam prawa...

Ruszyła szybko przez pokój. Omal nie potknęła się o projektor. Gordon Moreland skoczył jej na pomoc. Pan Carey zawołał:

— Linda!

— Nie, nie. — Podziękowała Gordonowi. — Nic mi nie jest. I bardzo proszę, wybaczcie mi. Czekam w samochodzie, John.

Wybiegła po schodach do hallu i wyszła.

— Brad, idź za nią, żeby jej się nic nie stało — powiedziała Vickie.

Brad pośpieszył za Lindą, a John powiedział wśród lodowatej ciszy:

— Dobranoc państwu.

— Biedne dziecko — rzekła pani Carey w przestrzeń.

Morelandowie odwrócili się plecami. Pan Carey, najeżony, ruszył ku niemu z wyrazem najwyższej stanowczości, ale nim zdołał cokolwiek powiedzieć, John był już na schodach.

Vickie wyprowadziła go. Kiedy znaleźli się u otwartych drzwi frontowych, podszedł ku nim spiesznie od strony samochodu Brad.

— Nic jej nie jest.

Vickie spytała niezręcznie:

— Czy to prawda, co ona mówiła, John?

— Mniej więcej.

— I rezygnujesz z tej oferty? — W głosie Brada pobrzmiewało niedowierzanie.

— Tak.

Nieoczekiwanie Vickie powiedziała:

— Nie przejmuj się tym, co mówi ojciec czy ktokolwiek inny. To nie ich sprawa. Rób, co sam uważasz za słuszne.

— Tak — rzekł Brad. — Musisz sam zadecydować.

John patrzył na nich poprzez mrok letniej nocy. Czyżby niespodziewanie zyskał sobie sprzymierzeńców? Vickie wzięła go za rękę i pocałowała w policzek.

— Dobranoc, John. I dzwoń, jeśli będziemy mogli ci się na coś przydać. Tak lubimy Lindę i ciebie.

Stali u drzwi i machali mu ręką, kiedy szedł do Lindy siedzącej w starej czarnej limuzynie.

5.

Jadąc pod górę przez las, ciemny i niezgłębiony pod rozgwieżdżonym niebem, siedziała skulona w kącie na przednim siedzeniu. Nie odzywała się, ale ziało od niej nieubłaganą wrogością i oczywiście alkoholem. Jak zdobyć coś do picia? Oto czym zaprzątała sobie głowę. Gdy przyjedziemy do domu, on schowa pod klucz wszystkie butelki. A może się zabezpieczyła? Może kupiła sobie butelkę w Pittsfield i ukryła gdzieś?

Po raz pierwszy John Hamilton stracił wszelką nadzieję. Zawsze dotychczas żywił uczucie — uczucie, które stawało się coraz bardziej bezpodstawne — że jeśli będzie się bardzo starał, jeżeli wytrwa, to życie stanie się jakoś znośniejsze; jej stan troszeczkę się poprawi, choćby na tyle, że zgodzi się

pójść do lekarza, albo pogorszy i już nic — ani on, ani ona — nie będą mogli poradzić. Teraz jednak stracił nawet tę słabą podporę, bo czuł, że jego siły już się kończą. Wyczerpanie paraliżowało jego wolę. Wiedział, że Linda będzie walczyła na śmierć i życie o tę posadę. Nadchodził moment, w którym potrzebny mu będzie cały zapas energii do walki. A nie miał już sił. Tyle go obchodziło zdanie Careyów na jego temat co i opinia miasteczka. Nie obchodziło go, czy Linda ma schowany alkohol, czy nie. Przestał się nawet troszczyć o swoje malowanie. Malowanie? Do diabła z malowaniem! Do diabła ze wszystkim.

Koło Fisherów, na szczycie wzgórza, zawrócił. Byli już prawie w domu.

Nagle odezwała się:

— Pojadę do nich jutro i przyznam się do kłamstwa.

Gdy nie odpowiedział, ciągnęła dalej, nieco bardziej wojowniczo:

— Przedstawiłam im tylko swój punkt widzenia. Cóż w tym złego? I tak prawdopodobnie przez cały wieczór starałeś się przeciągnąć ich na swoją stronę, a przecież są moimi przyjaciółmi. Czy nie wolno mi się zwierzyć przyjaciołom, gdy chodzi o rzecz aż tak ważną, tak...

— Linda.

— I musiałam jakoś wyjaśnić, skąd mam ten siniec pod okiem. Mogłam powiedzieć, że upadłam idąc po ciemku przez las, ale nie przyszło mi to do głowy. Pomyślałam tylko, że muszę się jakoś wytłumaczyć, a przecież każdy wie, jak to bywa w małżeństwie...

Przed nim zamajaczył dom. Wychodząc nie zostawiła świateł. Wyglądał na opuszczony, nie zamieszkany.

— Nie bądź śmieszny — podjęła. — Zawsze mówiłeś, że ich nie lubisz. Zawsze mówiłeś, że są nudni. „Po co mamy chodzić do tych nudziarzy?" — Zawsze tak mówiłeś.

Kiedy skręcił na podjazd, straciła równowagę i szturchnęła go ramieniem.

— Zaparkuj sam — powiedziała. — Ja sobie wysiądę.

Wyskoczyła, zanim jeszcze samochód zdążył się zupełnie zatrzymać, i pobiegła do kuchni. Do diabła z nią — myślał John. Nie spiesząc się, dziwnie zobojętniały na wszystko, wstawił samochód do garażu, zatrzasnął drzwi i stał przez chwilę, patrząc poprzez szkielety jabłonek ku lasom. W ciemności rozległ się jakiś słaby, niemal ludzki okrzyk. Sowa?

Wszedł przez ciemną kuchnię do mieszkania. W saloniku też było ciemno. Zapalił światło i spojrzał na butelkę dżinu i burbona. Nie było znać w nich ubytku. Może uzupełniła wodą? Czy ma własną butelkę na górze? Na pewno ma butelkę na górze...

Słyszał jej kroki nad głową. Usiadł w fotelu. Wkrótce kroki zastukały na schodach. Weszła. Nowy łyk ją orzeźwił. Uczesała się i umalowała usta. Siniec pod okiem jeszcze bardziej ściemniał mimo pudru. Wokół jej ust błąkał się tajemniczy uśmieszek.

Automatycznie, choć nie dbał już o to, włączyło się urządzenie analizujące. Czy to uśmieszek zadowolenia, że przechytrzyła go i ukryła butelkę na górze? Czy...?

Podeszła jak gdyby nigdy nic i usiadła na poręczy jego fotela.

— Jeszcze jesteś na mnie wściekły? Ja to sprostuję. Przyrzekam. Powiedziałam im, że piłam, więc łatwo będzie teraz wytłumaczyć, że nie wiedziałam, co mówię...

Pogładziła go ręką po włosach. Wstał.

— Na miłość boską, Lindo. Chodźmy.

Podniosła się z poręczy fotela i spiesznie podeszła do niego, kładąc mu dłonie na ramionach i uśmiechając się tym samym tajemniczym, podnieconym uśmieszkiem.

— Kochanie, zaraz pójdziemy, ale poczekaj chwilkę. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

Sygnały niebezpieczeństwa zadźwięczały na alarm.

— To coś okropnie ważnego. Musisz podejść do tego rozsądnie.

Musisz zdawać sobie sprawę, że czasem — bywa tak w małżeństwie — czasem, jak się na coś patrzy z bliska, nie widzi się tego we właściwych kolorach, jak... Kochanie, dzwoniłam do Charlesa Rainesa.

Stał patrząc na nią jak oniemiały.

— Dzwoniłam do niego do domu. Powiedziałam, że bardzo się ucieszyłeś jego listem i poprosiłeś mnie, żebym was umówiła, bo musiałeś wyjść. Wszystko już załatwione. Masz się z nim spotkać jutro o szóstej w Barberry Room — tylko ty i on — żeby spokojnie to sobie omówić. Możesz wyjechać pociągiem o drugiej. Będziesz miał dość czasu.

„Zaufaj mi — przypomniał sobie. Tylko ten jeden raz. To takie ważne, żebyś mi zaufał". A więc już wtedy, zaledwie w pięć minut po tym, kiedy jej to powiedział, wiedziała, co zrobi. To dlatego nie pojechała od razu na przyjęcie. Jej krętactwo, potworność zdrady wywołały falę gniewu, która zapełniła pustkę jego wyczerpania. I nie tylko to. Coś jeszcze gorszego. Patrząc, jak się uśmiecha do niego, ufna w odniesione zwycięstwo, zdał sobie sprawę z rzeczy, której nigdy nie podejrzewał: że nim gardziła. Wbrew wszelkim pozorom („Kochany, pomóż mi! Cóż bym bez ciebie zrobiła?") miała go za nic, kawałek gliny w rękach, który mogła urabiać w każdy kształt, jaki jej podszepnął kaprys. „Mam dość Nowego Jorku. Chciałabym zamieszkać na wsi. Muszę sprawić, aby porzucił firmę »Raines i Raines«". Oto jak na to patrzyła w Nowym Jorku. A teraz myśli: „Chcę tych pieniędzy i nudzę się tutaj. Muszę załatwić, żeby wrócił". Gdyby nie była pijana, nie zdradziłaby się z tym tak łatwo. Ale czy to zmienia postać rzeczy?

Odbiegł myślami od złożoności tego zagadnienia i postanowił w gniewie: zadzwonię do Charlie'ego teraz. Powiem, że żona była pijana — i niech go diabli razem z jego posadą. Ale w chwili, gdy to myślał, już wiedział, że nie może tego

zrobić. Tym bardziej przez telefon towarzyski. Tak czy owak, będzie musiał pojechać i odrobić szkodę.

Jego gniew mieszał się teraz z dziwnym, gwałtownym uczuciem, że po tym, co zaszło, nic już nie jest jej winien, że wreszcie jest wolny.

— Uważasz, że jesteś taka sprytna, co?

— Nie sprytna. Tylko rozsądna. Rozsądna za nas oboje. Rozumiem twoją dumę. Z całą pewnością. Wolałbyś umrzeć niż przyznać rację krytykom. To zupełnie naturalne. Ale w głębi duszy wiesz — wiesz, że ci nie wyszło. Czegoś ci nie dostaje. A zniszczyć wszystko dla głupiej dumy, odrzucić jedną jedyną naprawdę dobrą szansę, jaka ci się w życiu trafia, tylko dlatego...

Gniew nagle stał się nie do opanowania. Zdzielił ją w twarz. Wydała krótki, skamlący okrzyk i podniosła dłoń do ust, patrząc na niego oczyma odmienionymi ze zdumienia, wściekłości i strachu.

Nigdy przedtem jej nie uderzył, ale nie odczuł żadnego wstrząsu. Raczej uniesienie.

— Masz — powiedział. — Teraz nie trzeba już nic prostować u Careyów. To nadaje twoim słowom stuprocentową zgodność z prawdą.

Odsunęła się od niego tyłem i usiadła w fotelu, trzymając dłoń ciągle przy ustach.

— Uderzyłeś mnie — powiedziała.

Podszedł do barku i z rozmysłem nalał sobie burbona.

— John... — usłyszał za sobą jej cichy i łamiący się głos. — John...

Nie odwrócił się.

— John — powiedziała — to znaczy... znaczy, że mimo wszystko nie weźmiesz tej posady?

Odwrócił się na pięcie ze szklanką w ręku.

— A coś ty myślała?

— Ale musisz. — W jej twarzy był teraz jedynie strach. — Nic nie poradzisz. Powiedziałam przecież Charlie'emu

Rainesowi, że przyjmujesz. Musimy wyjechać do Nowego Jorku. Nie mogę tutaj zostać. Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

— To jedź — rzekł John. — Jeżeli nie chcesz zostać tu, to jedź.

Wstała plącząc się w sukni i omal nie padając. Podbiegła do niego. Chwyciła go za ręce i zaczęła nerwowo wodzić dłońmi po rękawach jego marynarki. Chętnie by ją odepchnął, ale nie zrobił tego. Pławił się teraz w poczuciu wolności. Niechaj go szarpie. Już go to nie wzrusza.

— John... może postąpiłam niesłusznie. Może nie powinnam była dzwonić. Nie wiem. To była taka trudna decyzja. Nie wiedziałam, co zrobić. Ale... jeżeli postąpiłam źle, przebacz mi. Bo gdybyś tylko wiedział...

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Twarz przytuliła do piersi. Głowa dotykała jego policzka. W świetle lampy widział siwe włosy na skroniach, matowe, bezbarwne, umarłe. Ciało jej było ciepłe i przywierało do niego. I oto nagle, bez ostrzeżenia, mimo całej odrazy, poczuł powracającą falę tkliwości.

— John — powiedziała — posłuchaj mnie, proszę.

— Słucham.

— Musisz mnie wysłuchać. My tu nie możemy dłużej zostać. Nie bierz tej posady, jeżeli naprawdę nie chcesz. Nie bierz. Ale nie możemy tu zostać. Musimy wyjechać. Musimy przenieść się gdzie indziej.

Uniosła głowę. Jej twarz z siną opuchlizną pod okiem była teraz zaledwie kilka cali od jego twarzy.

— Chodzi o Steve'a — szepnęła. — Steve'a Rittera.

— Steve'a? — powtórzył bezmyślnie, nie rozumiejąc.

— Och, chciałam ci to wyznać. Tyle razy. John mi pomoże, myślałam. Ale nie mogłam. Wstydziłam się...

— Lindo.

— Wcale tego nie chciałam. — Ciągle patrzyła mu w oczy z dzikim, rozpaczliwym oddaniem. — Przysięgam, że nie

chciałam. Ty to wiesz. Ty wiesz, że tylko ciebie kocham. Ale zawsze, gdy ciebie nie było, kiedy byłeś z dziećmi, przychodził. Mówiłam mu. Mówiłam, że go nie chcę,, To było silniejsze ode mnie. On... Nawet dziś — ciągnęła — jak wróciłam z Pittsfield, już na mnie czekał. — To jest jak choroba. Jak... Ty myślałeś, że kąpałam się na górze, a on... och, John, musisz mnie stąd zabrać. Pani Ritter dowie się o wszystkim. Wiesz, jaka jest zazdrosna. Na pewno się dowie. I zaraz wszyscy się dowiedzą. Och, John, proszę cię, pomóż mi, pomóż.

Steve Ritter! Stanął mu przed oczami obraz ojca Bucka: niebieskie dżinsy na wąskich biodrach, błękitne bezczelne oczy, patrzące na niego ze specjalnym sardonicznym uśmieszkiem. A więc Steve Ritter... I zanim jeszcze gniew, upokorzenie i wstręt doszły do głosu, pomyślał: Widziałem jej samochód, gdy byłem z dziećmi, i poszedłem od razu do domu. Przyszedłem w niespełna dziesięć minut po niej. Ona kłamie. To jest jeszcze jeden chwyt. Ponieważ inne zawiodły, była na tyle sprytna i szalona, żeby wymyślić ten.

— Ależ, Lindo... — zaczął i umilkł.

A złota bransoleta, którą miała na ręku w owo popołudnie? Nigdy przedtem nie widział tej bransolety i Linda natychmiast ją zdjęła, gdy spostrzegła, że jest w pokoju. Czy dostała ją od Steve'a? A jeżeli tak... Nie, nie będzie się teraz nad tym zastanawiał. Po co? Kłamstwo czy nie kłamstwo to teraz nieważne, bo wiedział już, co ma robić. Wyzbył się wreszcie litości i paraliżującego braku zdecydowania i stał się znów zdolny do czynu.

Odepchnął ją od siebie i poprowadził do krzesła. Siadła potulnie i zakryła twarz dłońmi.

— Dobrze więc — rzekł. — Powiem ci, co zrobię.

— Powiedz, powiedz.

— Pojadę jutro do Nowego Jorku. Porozmawiam z Charlie'm Rainesem. Zrzeknę się tej posady i pójdę do Billa

MacAllistera.

Spojrzała na niego bystro.

— Nie. Nie, John, nie.

— Opowiem mu to wszystko. A potem albo poleci jakiegoś dobrego psychiatrę tu, w okolicy, albo — nie mógł wykrztusić „jeśli nie kłamiesz o Steve'ie" — albo przeniesiemy się do Nowego Jorku i Bill sam cię będzie leczył. To są moje warunki. Jeżeli ci nie odpowiadają... możesz zabierać się do wszystkich diabłów. Możesz sama decydować o swoich własnych problemach, jak sobie zechcesz.

W jej twarzy wciąż widać było przerażenie, ale i wyraz niedowierzania, jakby nie wierzyła własnym uszom.

— Ale, John, wiesz przecież, że nie pójdę do lekarza. Mówiłam ci już.

— Pójdziesz albo... wolna droga.

— Ależ nie jestem chora. Czyś ty zwariował? Nic mi nie jest, zupełnie nic. Tylko ty cały czas coś we mnie wmawiasz. — Wstała z wyrazem uporu i groźby w twarzy. — Jeżeli będziesz dalej bzdurzył o lekarzu, pójdę na górę. Wypiję wszystko do dna. Mam schowaną butelkę. Nigdy jej nie znajdziesz. Wypiję do dna.

Zrozumiał, że zagrała ostatnią stawkę. Nigdy dotąd nie przyznawała się, że pije. Nawet gdy znajdował schowaną butelkę, nie przyznawała się do niej. Ta butelka stanowiła ukrytą groźbę, która nareszcie została sprecyzowana jasno. Miała zachwiać nim, uczynić go nawet teraz posłusznym jej celowi. Było to w gruncie rzeczy ogromnie żałosne. Ale jakie to teraz miało znaczenie?

— Dobrze — rzekł. — Idź i wypij.

Załamała się tak, jak przewidywał. Powoli, jak człowiek bardzo stary, osunęła się na fotel.

— Więc nie weźmiesz tej pracy?

— Nie.

— I nie wyjedziesz stąd... nawet mimo Steve'a?

— Nie wierzę w to, co powiedziałaś o Steve'ie.

— Nie wierzysz? — uśmiechnęła się cierpko. — Więc to tak. To śmieszne. Naprawdę śmieszne. Nie wierzysz mi.

— I pójdziesz do lekarza. Tu albo w Nowym Jorku.

Znowu zaczęła płakać, cicho, rozpaczliwie.

— Dobrze — powiedziała. — Pójdę. Pójdę, do kogo zechcesz. Zrobię wszystko, co każesz. Tylko mnie nie zostawiaj. Nie wyrzucaj mnie. Bo gdzie bym poszła? Co bym zrobiła? Nie możesz mnie porzucić. Och, nie...

Paplała dalej, a on, bardziej słuchając dźwięku jej głosu niż sensu wypowiadanych słów, czuł, że sieć znów się wokół niego zaciska. Nie był od niej uwolniony. Przez chwilę doznawał szalonego, nieprawdopodobnego uczucia, że umknął. Ale tak nie mógł postąpić. Musiał dać jej szansę leczenia u psychiatry. Gdyby tego nie zrobił, miałby ją na sumieniu do śmierci.

W każdym razie coś osiągnął, dużo więcej niż przy najbardziej optymistycznych przewidywaniach. A może nie osiągnął nic? Jak ona się odniesie do całej tej sprawy jutro?

Uczucie wyczerpania powróciło. Wreszcie przestała mówić, wydawała się półżywa ze zmęczenia, skulona na fotelu. Pomógł jej wstać i wejść na schody. Rozebrała się i poszła do łazienki. Nie piła więcej. Był tego niemal pewien. Weszła do łóżka i nim zdążył się rozebrać, już mocno spała. Chciał iść spać do pokoju gościnnego. Czując się niemal przykuty do niej, pragnął przynajmniej kilku godzin złudnej niezależności. Ale jej uśpiona twarz wyglądała jak pogodna i czuła twarzyczka dziecka. Nawet opuchlizna pod okiem sprawiała wrażenie niewinne i komiczne — jak u dziecka chorego na świnkę. Ogromnie się bała sama spać. Może się obudzi? Niech tam... Wróciwszy z łazienki wśliznął się pod kołdrę i zgasił światło.

Steve Ritter — myślał. A potem nagle stanął mu przed oczami obraz Lindy, tak jak ją ujrzał pierwszy raz. U Parkinsonów.

Szła przez tłum gości w białej sukience, z włosami związanymi w koński ogon, i wyglądała na zagubioną i nieśmiałą, ale była świeża jak wiosenny kwiat i taka inna niż wszyscy.

— Halo.

— Halo.

— Dobrze się pan bawi?

— Nieszczególnie.

— Prawda, jakie te przyjęcia są okropne? — Patrzyła na niego ogromnymi, poważnymi, zielonymi oczami. — Nie rozumiem, po co ludzie na nie przychodzą. Wszyscy są tacy zakłamani, żeby tylko wywrzeć dobre wrażenie na tych, na których im zależy. Świat bez przyjęć. Pomyśleć, jakie by to było cudowne...

Obrócił się na bok, ale długo nie mógł zasnąć. Dla odprężenia zaczął myśleć o dzieciach.

6.

Było po szóstej i pociąg właśnie minął Sheffield. John Hamilton siedząc obok Brada Careya, który rozwiązywał krzyżówkę, patrzył na znajomą panoramę Nowej Anglii w świetle letniego wieczoru — wyschłe łąki złocące się kwiatami, odległe lesiste góry, tu i ówdzie białe, drewniane domki, trawniki w cieniu klonów, dalie, wąskie grządki floksów — krajobraz spokojny, sielankowy, trochę smutny.

Już niedaleko.

Teraz Nowy Jork wydawał się nieskończenie odległy i pozostało po nim tylko rozgoryczenie. Rozmówka z Charlie'm Rainesem w Barberry Room przeszła zupełnie gładko. Charlie to swój chłop. „Czułem, że Linda się trochę zagalopowała. Rozumiem to, oczywiście, Johnny. Ale nie muszę ci mówić, że bardzo żałujemy. Powodzenia". I załatwione. Koniec z firmą „Raines i Raines".

Co pozostało, to zmęczenie towarzystwem nieodłącznego w pociągu i hotelu Brada, tak przyjaznego i zmartwionego „nieporozumieniem" z Lindą, że John musiał walczyć z pokusą wyznania mu całej prawdy, czego przecież nie wolno mu było uczynić. Tylko ten Bill MacAllister... Taki zawód. „Bardzo żałuję, ale pan doktor jest na urlopie... W Kanadzie... Niestety. Nie zostawił żadnego adresu. Właściwie nie mógł go zostawić. Siedzi w jakimś pustkowiu, łowi ryby... O tak, wróci z końcem miesiąca".

Zawsze tak było. Jak przychodziła szansa polepszenia sprawy, wyskakiwała jakaś przeszkoda i niweczyła ją. Może poszukać psychiatry w Pittsfield? Po prostu wziąć książkę telefoniczną i wybrać któregoś...

— Chciałem prosić, żeby się pan zajął leczeniem mojej żony. Ona pije. Oczywiście nie przyznaje się do tego. Ale od lat...

Wyczerpany umysł nie mógł rozwijać dalej tego planu. Niebawem będzie znów w jej towarzystwie. To stanowiło dla niego jedyną realną rzecz. W jakim będzie stanie? Minęło półtora dnia, odkąd wyjechał — ponad trzydzieści sześć godzin, a ona była w domu sama, z pełną świadomością celu jego podróży do Nowego Jorku. Czy szczerze przejęła się jego niewzruszonym stanowiskiem? Czy rzeczywiście osiągnęła punkt, w którym gotowa była przyjąć czyjąkolwiek propozycję pomocy? A może wszystko się już odkręciło? Może zastanie ją z powrotem na ścieżce wojennej, pełnej podstępów i forteli przeciwko niemu, wrogowi?

Wyjeżdżając zostawił ją w dobrym samopoczuciu. A może tak mu się tylko zdawało pod wpływem chwilowego optymizmu wywołanego określonym planem działania? W momencie kiedy konduktor obwieścił: „Następna stacja Great Barrington", a Brad podnosząc głowę znad krzyżówki rzekł: „Dzięki Bogu, już niedługo", John zmusił się do odtworzenia w myśli wszystkich wypadków — od ubiegłego ranka do momentu wyjazdu na stację.

Zbudziła go. Poczuł lekkie klepnięcie po ramieniu i otworzył oczy. Słońce wlewało się strumieniem przez okno za jego plecami. Miała na sobie schludną białą sukienkę i fartuch kuchenny. Trzymała tacę i uśmiechała się wesoło.

— Przyniosłam ci śniadanie. Lubisz czasem, żeby cię rozpieszczać.

Była w ciemnych okularach. Niezupełnie jeszcze rozbudzony John zastanawiał się czemu. Ale przypomniał sobie podbite oko.

— Usiądź, kochanie. Usiądź przyzwoicie.

Ustawiła tacę — patetyczną ofiarę pokoju — na jego kolanach. Zrobiła to bardzo uważnie, na dowód, że jej się wcale nie trzęsą ręce.

— Masz. Zawołaj, jak będziesz czego chciał.

Wyszła nucąc coś po cichu. Później, gdy się ubierał, usłyszał dzwonek. Zszedł na dół odebrać telefon. Dzwonił Brad, że do Nowego Jorku przyjechał jakiś ważny klient firmy. Pan Carey, który musiał wyjechać do Springfield, dał mu wskazówki wieczorem po przyjęciu i wydelegował jako swojego pełnomocnika.

— Jedziesz tym pociągiem o drugiej, John?

— Tak.

— Doskonale. Ja też. Zostawiam Vickie buicka. Gdzie się zatrzymasz w Nowym Jorku?

— Nie wiem. Pewnie w jakimś hotelu.

— Zamieszkaj w moim. To Vickie wpadła na ten genialny pomysł. Mówi, że będziemy się nawzajem pilnowali, a co ważniejsze, będę cię mógł wciągnąć w koszty mojego wyjazdu. Nie mów tylko ojcu. — Jego śmiech zabrzmiał konspiracyjnie. — Jak się czuje Linda?

— Dobrze.

— Nie ma kaca?

— Zdaje się, że nie.

— To świetnie. Spotkamy się w pociągu. Vickie nie ma, pływa po jeziorze i uczy Leroya łowić okonie, ale na pewno

chciałaby, żebym was od niej pozdrowił. Wyładowuje na Leroyu swoje instynkty macierzyńskie. Wszystko będzie dobrze. Kobiety... To przejdzie samo.

John odłożył słuchawkę i zaniósł tacę do kuchni. Widział przez okno Lindę idącą w stronę studia. Minęła je i znikła w starej obórce, służącej teraz za drewutnię i — w okresie ogrodniczych zapałów Lindy — również za skład narzędzi. Niebawem pojawiła się na nowo, ciągnąc za sobą plastykowego węża do podlewania. Podciągnęła go do grządki cynii przed studiem i zaczęła je podlewać.

Kwiaty stały teraz w pełnym słońcu, a przecież zawsze tak pilnie uważała, żeby podlewać ogród tylko wieczorem. Było w każdym razie coś niezwykłego w tym, że robiła to o tej porze. Nagle zrozumiał. Prosta rzecz. Ma drugą butelkę ukrytą w komórce. Poszła się napić, a teraz podlewa cynie, żeby usprawiedliwić wizytę w składziku.

Wyszedł do niej. Podnosząc głowę znad kwiatów, uśmiechnęła się promiennie.

— Już wstałeś. Bądź tak miły i siedź dziś rano w studio. Jak skończę podlewać kwiaty, zabieram się do wielkich porządków domowych i nie chcę, żeby mi się ktoś plątał pod nogami. — Uśmiech stał się jeszcze weselszy. — Chyba że wolisz iść bawić się z dziećmi. Dzwoniłam do pani Jones w sprawie pewnych wykrojów sukien, przy których już tak dawno obiecałam jej pomoc. Emily odebrała telefon i powiedziała, że czekają na ciebie przy kąpielisku. Mówi, że obiecałeś solennie iść z nimi popływać. Ale rób, oczywiście, jak chcesz.

Czy to forma kapitulacji? Bez żadnych tłumaczeń, nawet napomknień. Żywe wcielenie pracowitej, wesołej gospodyni, uprzejmej sąsiadki, wzorowej towarzyszki życia. Teraz już nie miał wątpliwości, że piła w komórce. Ale to go nie zmartwiło. Skoro zdecydowała się na kapitulację, potrzebowała tego dla wytrwania w zamiarze.

Zamknęła dopływ wody i rzuciła plastykowego węża na ziemię.

— Idę sprzątać w saloniku. — Odeszła parę kroków, odwróciła się i spytała z udaną obojętnością: — Jedziesz do Nowego Jorku?

— Jadę.

— Aha. Pytam, bo nie wiedziałam, co z obiadem. Więc jeżeli pójdziesz się kąpać, to pamiętaj, żebyś wrócił na wpół do pierwszej. Będę musiała dać ci obiad trochę wcześniej, żebyś zdążył na pociąg.

Ruszyła w stronę domu, on poszedł do studia. Pod ścianami stały obrazy. Najnowsze płótno było na sztalugach. Patrzył na nie przez chwilę. Wydawało mu się jakieś bezsensowne. Wiedział, że nic dziś nie zrobi. Dzieci — pomyślał. Czemu nie? Trzeba było jakoś przebrnąć przez to przedpołudnie. Linda mu to podszepnęła, więc prawdopodobnie sama tego chciała — pozbyć się go z domu. Bata się samej siebie, bała się, że jeśli nadejdzie okazja do nowej sceny, prysną jej dobre zamiary.

Wrócił do domu i włożył pod spodnie kąpielówki. Słyszał, jak Linda sprzątała odkurzaczem salon. Krzyknąwszy jej: „Idę popływać!" wyszedł przez frontowe drzwi na drogę.

Zakręt rzeczki, który służył dzieciom za pływalnię, znajdował się zaledwie o pół mili w stronę Stoneville, w miejscu gdzie dawne pastwiska kończyły się na skraju rozległych lasów.

Dotarłszy do granicy łąk, ujrzał rowery dzieci wsparte o mur z nie ciosanego kamienia; gdy go przeskoczył i znalazł się w wysokim po kolana zielsku, doszły go pokrzykiwania od strony rzeczki. Te wysokie i wyraźne dźwięki podziałały bardzo kojąco na jego nerwy i zrodziły poczucie bezpieczeństwa.

Byli wszyscy prócz Leroya i wszyscy w wodzie — naga skóra połyskiwała jak naoliwiona, zupełnie jak u foki.

Emily zobaczyła go, oczywiście, pierwsza, kiedy był jeszcze w połowie zbocza wśród dzikich jabłonek, młodych sosenek i kolczastych zarośli, które za kilka lat znów połkną pastwiska. Wdrapała się na brzeg i przybiegła do niego.

— Przyszedłeś, John. Wiedziałam, że przyjdziesz.

Chwyciła go za rękę i biegiem pociągnęła do rzeki. Wkrótce i on znalazł się w wodzie. „Niedoszły ojciec!" Przypomniał sobie ten dowcip Lindy, ale już nie sprawiło mu to bólu. Jeśli odczuwał brak własnych dzieci, to te tutaj w taki czy inny sposób odczuwały brak miłości rodzicielskiej — pozbawione ojca Emily i Angela, z matką harującą cały dzień na poczcie; Timmie, ofiara zawoalowanej obojętności Morelandów; Buck, pionek w nieustannych rozgrywkach rodzicielskich. Rodzice Leroya kochali go, ale będąc na służbie w cudzym domu, mało mieli dla niego czasu. Tak, wszystkie te dzieci potrzebowały go w tym samym stopniu, co on ich.

Tuż po jedenastej nadbiegł przez łąkę Leroy, rozbierając się w biegu, i wskoczył do rzeczki. Tryumfował. Złapał trzy okonie, podczas gdy Vickie tylko jednego.

— I wstaliśmy o świcie. I ja wiosłowałem. I... szkoda, że nie widzieliście tej ryby, co ją prawie złapałem. Było widać w wodzie. Słowo daję, miała chyba z metr.

Patrząc, jak inne dzieci otoczyły go przejęte, z wytrzeszczonymi oczyma, John czuł, jak spływa na niego spokój.

Dopiero później, kiedy już zbliżał się czas powrotu do domu, wszystko się popsuło. Emily i Angela leżały przy nim w słońcu na brzegu rzeczułki. Nagle Emily powiedziała:

— Wiem, co zrobię. Powiem Johnowi sekret.

— Nie! — krzyknęła Angela. — Nie, nie. — Rzuciła się z furią na starszą siostrę bijąc ją pięściami. — To mój sekret. To był najpierw mój sekret.

— Wcale nie.

— A tak, tak.

Pozostałe dzieci wyszły z wody i otoczyły ich podniecone.

John odciągnął dziewczynkę od siostry. Zaczęła szarpać się dziko. Twarzyczka, krągła i nabrzmiała gniewem, pałała nienawiścią.

— Nie dowiesz się... nie dowiesz się sekretu. Ty jesteś podły i zły. Uderzyłeś swoją żonę.

— Angela! — Emily skoczyła i chciała chwycić siostrę szamocącą się w ramionach Johna. — Jak ty możesz... jak możesz...

— Uderzył! — wrzasnęła Angela. — Uderzył swoją żonę. On ją bije. Timmie tak powiedział. Timmie widział. Weszła do pokoju z takim o, podbitym, okiem i powiedziała: „Mój mąż mnie uderzył", powiedziała, i Timmie...

A więc już doszło i do dzieci — pomyślał posępnie John i postawił ją na ziemi. Spojrzał na Timmie'ego. Timmie aż wił się speszony. Nagle okręcił się na pięcie i pobiegł przez chwasty.

Emily, zagorzała obrończyni Johna, krzyczała:

— To nieprawda! Nienawidzę ich! Niecierpię Timmie'ego. Nienawidzę Angeli...

John poszedł za Timmie'm. Znalazł go za sosenką, z twarzą ukrytą w trawie, zapłakanego. Ukląkł obok chłopca i położył rękę na jego ramieniu.

— Nie przejmuj się, Timmie.

— Ja wcale nie chciałem. Wcale nie chciałem im tego mówić. A potem pomyślałem, że jak powiem Angeli sekret, to ona mi powie swój i ona powiedziała, że dobrze, jeżeli powiem pierwszy. No to powiedziałem, a ona wszystko jedno nie. I ja wcale nie chciałem...

— W porządku, Timmie. Zapomnijmy o tym. Chodź.

Ale chłopiec nie chciał iść. Przeżywając jakiś swój dziecięcy koszmar popełnionej zdrady, leżał na trawie, wierzgał nogami i chlipał.

John wrócił do dzieci. Wszystkie były jakieś nieswoje i zawstydzone. Cały urok prysł. Cień Lindy snuł się między nimi.

Po krótkiej chwili John pożegnał dzieci i poszedł do domu.

A w domu zastał Lindę czynną i pogodną. Obiad był gotowy. Usiadła z nim do stołu, sama nie jedząc, tylko ćmiąc papierosa za papierosem. Przyglądała mu się zza ciemnych szkieł i cały czas mówiła z pilnie udawaną obojętnością o błahostkach.

Weszła z nim na górę, gdy poszedł się przebrać i zapakować walizkę.

— Nie weźmiesz mi za złe, jeśli nie odprowadzę cię na stację? Samochód nie będzie mi potrzebny. A nie chcę... — podniosła rękę do okularów — afiszować się z tym w miasteczku. Nie chcę, żeby gadali.

Była to najbliższa aluzja do minionego zajścia, jaką zrobiła przed pożegnaniem z nim przy samochodzie. Powiedziała wówczas nagle:

— John, obiecaj mi jedno. Zgadzam się na Billa. Przysięgam, że zrobię wszystko, jeżeli to będzie Bill. Ale nie idź do nikogo innego. To znaczy, jeśli go nie zastaniesz albo coś... bardzo cię proszę...

— Dobrze.

— I... John.

— Co?

— Miałeś rację co do Steve'a. Skłamałam wczoraj. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

— Nie szkodzi, Lindo. Do zobaczenia jutro wieczorem.

— Tak, jutro. Do widzenia, John.

— Do widzenia.

Stała przed drzwiami kuchennymi, uśmiechając się i machając ręką, kiedy odjeżdżał...

Konduktor ogłosił już ich stację i Brad zdjął walizki z półki. Gdy pociąg stanął i wyszli na peron, John spostrzegł swoją starą czarną limuzynę zaparkowaną w miejscu, gdzie

ją zostawił. Była też Vickie buickiem Careyów. Kiedy podeszli, pocałowała ich obu.

— Dokonałeś swego wielkiego czynu, John?

— Tak, załatwione. Ścisnęła mu dłoń.

— Jestem przekonana, że Linda zrozumie. Jeżeli masz ochotę, przyjedź z nią później do nas. Ojciec był w Springfield i matka nocowała u mnie. Ale niedawno wrócił i zabrał ją do domu, więc przyjeżdżajcie.

John jechał do domu starając się nie myśleć o Lindzie. Nie ma sensu dręczyć się domysłami. Wkrótce będzie wiedział wszystko. W miasteczku zatrzymał się przy poczcie. Oczekiwał miesięcznika „Art Review", w którym powinna być krytyka jego wystawy, a wiedział, że Linda nie mając samochodu pewnie nie odebrała listów. Na poczcie było kilku znajomych z miasteczka. Podchodząc do swojej skrytki skinął im głową i powiedział:

— Dobry wieczór.

Żaden nie odpowiedział. Jego skrytka była przy okienku, w którym pani Jones właśnie segregowała znaczki w klaserze. Uśmiechnął się do niej wyjmując listy. Przeszyła go krótkim spojrzeniem i odwróciła się do swych znaczków, a John stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę, że otacza go atmosfera wręcz wroga. Zatem wieść o epizodzie u Careyów, przeinaczona Bóg wie do jakiego stopnia, rozeszła się już po miasteczku. Nie był teraz w oczach Stoneville jedynie trochę śmiesznym outsiderem. Był... czym? Katem własnej żony? Degeneratem? Intruzem?

Gdy szedł z powrotem do samochodu, milczenie postępowało za nim jak groźba. Głupstwo — powtarzał sobie. Wcale nie starał się przypodobać miasteczku, tak jak nie usiłował zaskarbić sobie przyjaźni Careyów. Chciał tylko, by mu dano spokój. Ale gdy usiadł w samochodzie i ruszył w dalszą drogę, myśl o tym, że został odtrącony, nie odstępowała go, chłodna i złowróżbna. Jakby niewidzialna Linda wśliznęła się za nim do samochodu. Bo, oczywiście,

chodziło tylko o Lindę. Człowiek, którego odtrącili, to nie był on — prawdziwy John Hamilton. Oni go nawet nie znali. Odtrącili obraz Johna Hamiltona, który Linda nakreśliła w ich wyobraźni.

Teraz jechał przez las. Droga opadała wzdłuż zbocza, a potem pięła się znów w górę aż do domu. Skręcił z szosy, przejechał przez drewniany mostek i czując nagły przypływ lęku przed żoną, wjechał na podjazd i zaparkował przed kuchnią.

Nie było jej w kuchni. Wołając: „Linda!" wszedł do salonu i stanął jak wryty. Salon przedstawiał absolutny chaos. Wszystkie obrazy były zerwane ze ścian, płyty i taśmy magnetofonowe powyrzucane z szafki. Cała podłoga była nimi zasłana. Połowa płyt leżała w szczątkach, a płótna jakby ktoś powycinał nożem z ram. Nawet adapter, głośnik i magnetofon leżały zrzucone z półki, porozbijane.

Gdy tak stał parząc na tę ruinę, miał niewyraźne uczucie, że to się już kiedyś wydarzyło, a raczej, że dawno już to przeczuwał, ais starał się tę groźbę odsunąć od siebie, póki się wreszcie nie sprawdziła. Strach przeszedł w przerażenie, gdy stanął mu przed oczyma obraz Lindy z nożem w ręku, Lindy tratującej płyty, Lindy z twarzą dziką, wykrzywioną, Lindy bełkocącej — z twarzą szaleńca. Zamknął oczy, jakby ta wizja była rzeczywistością.

A potem nagle odczuł jej obecność w domu, a raczej obecność jej szaleństwa. Samo powietrze było nim jakby przesycone, skażone niby gazem trującym.

Gdzie ona, jest? — myślał. — Muszę ją znaleźć. Muszę stawić czoło...

W tej właśnie chwili zobaczył maszynę do pisania. Zazwyczaj była w studio, teraz zaś stała na stoliku w rogu Pokoju. Leżał na niej arkusz papieru. Przeszedł przez pokój, między szczątkami płyt i obrazów, do stolika. Wziął arkusz, który okazał się listem do niego. Cały list był napisany na maszynie, włącznie z podpisem.

NIGDY NIE SPODZIEWAŁEŚ SIĘ, ŻE TO ZROBIĘ, PRAWDA? ZATEM OMYLIŁEŚ SIĘ. ZDOBYŁAM SIĘ WRESZCIE NA ODWAGĘ, BY UCIEC. POSZUKAJ SOBIE INNEJ, KTÓRA BĘDZIE DLA CIEBIE PRACOWAŁA JAK NIEWOLNIK, POZWALAŁA SIĘ ZADRĘCZAĆ, TORTUROWAĆ. BO JEDNO JEST PEWNE, ŻE MNIE NIGDY NIE ODNAJDZIESZ. NIECHAJ CI SIĘ WIEDZIE JAK NAJGORZEJ.

LINDA.

7.

Odeszła. Stał patrząc na kartkę, nie reagując na obłędną złość tych słów, a jedynie rejestrując fakt, że go opuściła. Ale pomimo wstrząsu aparat rozumowania nie przestawał działać. Dlaczego napisała te słowa na maszynie? Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek posługiwała się maszyną. Nie wiedział nawet, czy potrafiła pisać. Czemu zadała sobie tyle trudu, by iść do studio po maszynę, przynosić ją tutaj i...? Znowu stanął mu przed oczyma jej obraz, rozszalałej, bełkocącej, miotającej się po pokoju z nożem w ręku. I pomyślał, że nie odeszła naprawdę. Ten list jest po prostu jeszcze jednym krętactwem. Ona tu wciąż jest... gdzieś tutaj w domu.

Przeszedł przez spustoszony pokój, myśląc niemal nieosobowo: Zniszczyła moje obrazy. Później opanuje mnie morderczy gniew. Ale obecnie nie czuł gniewu, czuł strach, napływający strach, że gdzieś — może na górze — czyha na niego szaleniec sprężony w jakimś kącie do skoku.

Wszedł do stołowego. Nic. Pusto. Poszedł na górę. Na pewno w sypialnym — pomyślał z potworną jasnością. Ale w sypialnym też jej nie znalazł. Drzwi szafy były otwarte, widział wewnątrz swoje ubranie i jej suknie wiszące na wieszakach. W szafie też nie było nikogo.

Przeszukał pozostałe pokoje. Wtedy ż nagłą złością

pomyślał o obrazach w studio. Wybiegł przez kuchenne drzwi, przez trawnik poznaczony wieczornymi cieniami jabłoni i wpadł do studio. Oparte o ściany obrazy stały nie tknięte, nie naruszone również było płótno na sztalugach. Ulga. Ale i tu nie było Lindy.

A więc naprawdę wyjechała... Bez samochodu? Nie zabierając sukien? Wrócił do sypialnego i zaczął przeglądać ubrania w szafie. Tak, zabrała nową zieloną suknię i szary kostium, a także parę innych sukien. I nie ma jej nowej walizki, którą trzymała na najwyższej półce. Wyjechała. Wyszła z domu z walizką.

Usiadł na chwilę na łóżku. Wrażenie podłości, jakiegoś szaleństwa nie ustępowało. A może to on sam oszalał — może wszystko to dyktuje mu chora wyobraźnia? Stała przecież przy samochodzie, patrząc na niego ze spokojem i zapewniając, niewątpliwie szczerze, o swojej dobrej woli i gotowości współpracy. „Zgadzam się na Billa. Zrobię wszystko, co mi Bill powie". Machała mu ręką na pożegnanie. Czy mogła się w niej dokonać tak gwałtowna zmiana, która przejawiła się w tym szalonym dziele zniszczenia, w zionących taką nienawiścią słowach listu? Nawet gdyby wypiła wszystko, co jest w domu, nigdy by...

Wstał z łóżka i pośpieszył na dół do salonu. Na stoliku , stała butelka dżinu i butelka burbona. Poziom ich zawartości wcale się nie zmienił. Odkorkował je, i pociągnął łyk z jednej i drugiej. Nie, nie dolała wody. Miała na górze schowaną butelkę. Wbiegł znowu na górę i z niesamowitą uwagą zaczął szukać. Nareszcie na jednej z półek w szafie namacał pod kocami butelkę dżinu. Wyciągnął ją. Była do połowy opróżniona. Musiała więc wypić przynajmniej, pół butelki przed odejściem. Ale... miała przecież jeszcze jedną, schowaną pewnie w komórce...

Stał z butelką w ręku jak automat, a potem jak automat schylił się, żeby odstawić ją na miejsce. Wtedy spostrzegł leżącą widokówkę. Podniósł ją. Przedstawiała lesiste góry i

jezioro. Jezioro Crawley, Manitoba, Kanada. Obrócił ją na drugą stronę. Była zaadresowana do niego. Jak otępiały przeczytał treść:

TO JEST DOPIERO ŻYCIE! CIŚNIJ PĘDZLE W KĄT I PRZYJEŻDŻAJ NA PARĘ DNI! POZDROWIENIA DLA LINDY.

BILL MACA.

Bill MacAllister. Ledwie dowierzając oczom przyjrzał się pieczątce. Karta wysłana przed pięcioma dniami. A więc musiała przyjść, powiedzmy, trzy dni temu. Zapewne tego dnia Linda odbierała pocztę, a że wszystko, co miało związek z Billem, wywoływało w niej nerwowy strach, ukryła widokówkę. Wiedziała więc cały czas, że Billa nie ma w Nowym Jorku. Wiedziała o tym, kiedy sądził, że wreszcie odniósł nad nią zwycięstwo, wiedziała o tym stojąc wówczas przy samochodzie: „John, obiecaj mi jedno. Jeżeli z jakichś przyczyn nie zastaniesz Billa..." Cała jej uległość była fałszem. Była jeszcze jednym z jej fantastycznie skomplikowanych oszustw.

Wrócił do sypialnego i usiadł na brzegu łóżka, upuszczając widokówkę na podłogę. Czuł, jak wyczerpanie omotuje go swymi mackami niby jakieś wysysające krew pnącze. Wysyłała go do Nowego Jorku, wiedząc, że nie osiągnie celu, a potem, kiedy wrócił do domu, oto co mu zgotowała...

Oparł się o poduszki i zapalił papierosa. Wiedział, że to największy z jakże licznych kryzysów jego życia małżeńskiego, chwila, na którą powinien mieć zapas sił, a w której owładnęło nim paraliżujące odrętwienie. Odeszła z walizką, bez samochodu i bez pieniędzy. A może miała pieniądze? Czyżby przygotowywała tę ucieczkę od miesięcy, odkładając i kryjąc oszczędności? Ale dokąd mogła się udać? Do Nowego Jorku? Gdyby przyjął ponownie pracę w firmie „Raines i Raines", z pokaźną pensją, to owszem. Ale nie w tej sytuacji. Nigdy w świecie. A już na pewno nie zamierzała wrócić do tej małej mieściny w Wisconsin, gdzie się urodziła i gdzie przed pięciu laty zmarli jej rodzice; Nie, nie pojechała do

Nowego Jorku. I nie do Wisconsin. Więc dokąd? Dokąd mogła się udać? Donikąd.

Lecz skoro jest szalona... — myślał. Jeśli w końcu nie wytrzymała tego napięcia, w którym żyła... Pocięła w szale obrazy, potłukła płyty, wbiegła na górę, spakowała walizkę i piechotą ruszyła w drogę — dokąd? Donikąd — po prostu poprosiła pierwszego z przejeżdżających, żeby ją podwiózł. Myśl, że oszalała błąka się po okolicy, pobudziła go do działania. Musi dać znać na policję.

Ale „policja" w Stoneville to Steve Ritter. Czuł, że nie może tego zrobić, że sama Linda to uniemożliwiła. Gdyby zadzwonił do Steve'a Rittera, musiałby mu powiedzieć, a poprzez niego całemu miasteczku, że mu zniszczyła obrazy i uciekła w szale. Nagle pomyślał: Co się ze mną dzieje? Przecież tak nie mogło być. Na pewno udała się do jednego z „kochanych przyjaciół", do kogoś z grona Careyów. Niewątpliwie tak właśnie uczyniła. Jakby widział jej dramatyczne *entree* do starych Careyów albo Morelandów: „Kochani, popełniłam straszną rzecz. Jak wam to wytłumaczyć... Porzuciłam go. Nie mogłam tego dłużej znieść. Ach, żebyście wiedzieli... Och, proszę pana..." Albo: „Och, Roz..."

Tak, na pewno tak zrobiła. Poszła piechotą do młodych Careyów, gdy Vickie wyjechała na stację po Brada. Był tak pewien słuszności swoich domysłów, że wszystko wydawało mu się znów znośne.

Zbiegł na dół i zadzwonił do Careyów. Vickie podniosła słuchawkę.

— Witaj, John. Czekamy na was. Przyjeżdżajcie.

— Więc nie ma u was Lindy? — zdumiało go spokojne brzmienie własnego głosu.

— U nas? Nie ma. Nie widziałam jej od przedwczoraj. Prawdę mówiąc, chciałam nawet zadzwonić, ale nie zdobyłam się na to. Chyba nie stało się nic złego?

— Zaraz przyjadę, jeżeli pozwolisz. — Nie chciał nic mówić, pamiętając, że mają telefon towarzyski.

— Oczywiście, ale...

— Wszystko ci wytłumaczę, jak przyjadę, Vickie. Mogłabyś zadzwonić do rodziców i Morelandów i zapytać, czy nie ma jej u nich? Ja sam wolałbym tam nie dzwonić...

— Zaraz to zrobię.

— Dziękuję ci, Vickie, do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. Jeśli jej nie ma ani u Morelandów, ani u Careyów, będzie musiał powiedzieć Vickie i Bradowi całą prawdę. Choć od lat ukrywanie sprawek Lindy stało się jego drugą naturą, wiedział, że dalej już tak być nie może. A Vickie i Brad to przynajmniej ludzie, którzy nie zawiodą jego zaufania i nie rozpaplą po całym miasteczku tej „pieprznej historyjki". Tego był pewien. Może mu nawet pomogą; może wis troje zdołają znaleźć Lindę, zanim wybuchnie skandal. Jeśli jej nie ma u starych Careyów ani u Morelandów...

Ale musi być — myślał pędząc przez kuchnię do samochodu — bo jeśli jej nie ma u Morelandów albo jeżeli nie wyżalą się u starych Careyów, to... Znów stanął mu przed oczyma budzący grozę obraz: bezmyślne, tępe oczy w twarzy szaleńca, nieprzytomna postać idąca z walizką w ręku przed siebie. Wyjeżdżając na szosę pomyślał nagle o Steve'ie Ritterze. Czy to, co o nim powiedziała, mogło być prawdą? Czy jest do pomyślenia, żeby uciekli we dwoje? „To jest jak choroba..." Nie, przecież sama później przyznała, że było to przewrotne łgarstwo alkoholiczki. Ale i tak Steve Ritter był jej oddanym wielbicielem, jak zresztą większość mieszkańców miasteczka. Być może wrogość, z którą się spotkał na poczcie, miała z tym coś wspólnego. Linda mogła się obawiać, że grono Careyów było zbyt inteligentne, by przyjąć bez zastrzeżeń historyjkę, którą sobie zmyśliła. Mogła więc „poszukać schronienia" u ludzi z miasteczka i znaleźć wśród nich wdzięcznych słuchaczy. Nie wydawało się to jednak prawdopodobne przy jej snobizmie i pragnieniu, aby ludzie niżej w jej mniemaniu stojący uwielbiali ją, zachowując jednocześnie dystans.

Zamiast pojechać krótszą drogą obok domu Fisherów i w dół, przez las, skręcił w lewo na szosę do Stoneville. Nie zapyta Steve'a wprost. Sytuacja jest na to za delikatna. Ale potrzebuje benzyny. Zatrzyma się przy stacji benzynowej i zorientuje, jak sprawy stoją.

Pociemniało już, kiedy dojeżdżał do niewielkiej lodziarni o pół mili przed miasteczkiem. Wewnątrz płonęły neonowe światła i rozlegał się ryk szafy grającej. John zatrzymał samochód przy pompie benzynowej. Ze stacji wyszła pani Ritter, chuda, niedbale ubrana, z kosmykami siwych włosów nad czołem. Betty Ritter, skwaszona okazywanym jej przez męża lekceważeniem, przedwcześnie postarzała, była miejskim mizantropem. Jeżeli w Stoneville była choć jedna osoba nie oddająca się plotkom, to tylko pani Ritter. Napełniła mu zbiornik, niezbyt uprzejmie, ale nie mniej niż zwykle. Kiedy podeszła i brudną ścierką zaczęła przecierać szybę samochodu, John spytał:

— Jest Steve?

— Gdzie tam! Wezwali go. Ledwie parę minut temu. — Parsknęła śmiechem. — Steve Ritter, stróż prawa w Stoneville! Aż śmiech bierze. W całym mieście jest tylko jeden człowiek, który powinien siedzieć pod kluczem, i to właśnie on. Zapisać na rachunek, panie Hamilton?

— Tak, proszę. — John czuł w sobie rosnące napięcie nerwowe. — Wezwano go urzędowo?

— Niech mnie pan nie pyta. To wielkie święto, jak mi Steve powie, dokąd idzie. Przed chwilą przyszedł Buck i zaczął mu coś paplać o dzieciach. Ja tam nie słuchałam, bo miałam klienta. Potem ktoś zadzwonił i Steve wsiadł w samochód i pojechał. Wziął z sobą Bucka, więc pewnie nie na jakieś małpie figle.

Zaśmiała się i stanąwszy na chwilę przy oknie samochodu patrzyła złośliwie, z przekąsem.

— Ojej, ale pan roztrzęsiony, panie Hamilton. Co się stało? Sumienie nieczyste? Żonę pan zamordował czy co?

8.

Jechał przez miasteczko. W oknach sklepów błyszczały światła. Przed pocztą pod olbrzymimi klonami stało kilka samochodów. Na ganku jednego z drewnianych domków siedział jakiś chłopiec i dziewczynka. Ktoś stał i palił papierosa przed kościołem, koło wejścia do sali zebrań w suterenie, gdzie miało się odbyć posiedzenie rady miejskiej. Kiedy? Jutro. W lęku, podsyconym jeszcze przez panią Ritter, John oczekiwał nienaturalnego poruszenia, znamionującego nieszczęście. Ale wszystko było spokojne jak zwykle, śliczne jak gwiazdkowa pocztówka nie w tej porze roku — Nowa Anglia latem.

Gdyby ktoś spotkał Lindę na szosie — mówił sobie John — Steve nie zabrałby z sobą Bucka. To wezwanie nie miało nic wspólnego z Lindą. Po prostu zbieg okoliczności.

Przejechał obok kościoła, drogą pod górę, potem na dół. Wkrótce północny brzeg jeziora zamigotał po prawej stronie, upiornie szary w letnim zmierzchu. W powietrzu wibrował rechot żab. Pomost z trampoliną, wzniesiony w ubiegłym roku staraniem rady miejskiej, był ledwie widoczny. Jezioro! — pomyślał. „Jedno jest pewne, że mnie nigdy nie znajdziesz". Te słowa listu Lindy stały mu przed oczami jak wypisane na szybie samochodu. A może skoczyła do wody? Nie, nie brałaby walizki. Cokolwiek by się z nią stało, bez względu na stopień szaleństwa, nie pakowałaby walizki, żeby popełnić samobójstwo. A jednak... Cóż może być bardziej szalonego od zdemolowania obrazów, zdeptania płyt, wypisania tego listu na maszynie, skoro nigdy na niej nie pisała i musiała ją wpierw przynieść ze studia? Któż wiec jest w stanie powiedzieć, co mogła, a czego nie mogła robić?

Odurzenie wywołane wstrząsem zaczęło przemijać. Siedząc za kierownicą czuł się, jakby go lada chwila miał rozsadzić ferment niepokoju. Aby się opanować, wmawiał sobie,

że Vickie ją odnalazła. Zadzwoniła i okazało się, ze Linda jest u Morelandów albo u starych Careyów, i teraz, gdy atak histerii minął, płacze z żalu. „Och, jak ja mogłam coś podobnego zrobić. Nie wiem, co we mnie wstąpiło…”

Niebawem znalazł się po drugiej stronie jeziora i wjechał na żwirowany podjazd Careyów. We wszystkich pokojach na dole płonęły światła. Kiedy wysiadł z samochodu, drzwi domu otworzyły się.

— To ty, John?

Na progu stała Vickie. Podeszła spiesznie do niego. Wzięła go za obie ręce.

— John, nie wróciła?

— Dzwoniłaś? — spytał.

— Tak. Dzwoniłam do ojca. Nie ma jej tam. A Morelandowie nie odpowiadają. Pewnie wybrali się do kina.

Pociągnęła go za sobą do domu. W hallu spojrzała na niego bystro i szybko odwróciła oczy, jakby to, co zobaczyła w jego twarzy, było zbyt intymne.

— Musisz się napić, to ci dobrze zrobi. — Wprowadziła go do salonu. — Brad, daj Johnowi coś do picia.

Wszystkie okna wychodzące na taras były otwarte. Brad, który już zmienił miejskie ubranie na koszulę i spodnie, stał przy barze. Nalał whisky do szklanki i podał Johnowi, odwracając od niego wzrok po pierwszym spojrzeniu, jak Vickie.

Czy to aż tak widać? — myślał John biorąc szklankę. Betty Ritter też spostrzegła.

— Siadaj, John. Usiądź — rzekł Brad. I kiedy John usiadł na kanapie, dodał: — Vickie dzwoniła do ojca i do Morelandów.

— Mówiłam mu — powiedziała Vickie.

Brad usiadł na poręczy kanapy. Ich szczera troska o niego i pragnienie udzielenia mu pomocy były oczywiste. Przywróciły Johnowi w jakimś stopniu równowagę. To rozsądni, mili ludzie. Kiedy im wszystko opowie, cały koszmar minie.

— Nie było jej, gdy przyjechałem, zostawiła kartkę.

Cały czas nie przestawał myśleć, jak to będzie brzmiało, gdy powie, co zaszło. Był oczywiście świadom wielkiej przepaści pomiędzy Lindą, którą sam znał, a Lindą, jaką znali Careyowie, i mgliście zdawał sobie sprawę, że tę przepaść trzeba będzie wypełnić. Ale najpierw po prostu opowiedział, co się stało — o liście, o pociętych obrazach, o połamanych płytach, brakujących sukniach i walizce. Nie od razu zdał sobie sprawę z ich reakcji.

Pierwszy wtrącił się Brad. W jego głosie nie było wrogości, tylko zwykłe niedowierzanie.

— Ale Linda, John! Linda miałaby napisać podobny list, zniszczyć obrazy? Linda nie mogła tego zrobić.

— Ona jest taka łagodna — powiedziała Vickie. — Muchy by nie skrzywdziła. I tak... tak bardzo cię kocha. Ty jesteś dla niej wszystkim. A twoje obrazy to dla niej niemal świętość. Wciąż to powtarzała.

— Tak jest — dorzucił Brad. — Była u nas w dzień po ukazaniu się sprawozdań z wystawy. Może o tym nie wiesz. Była ogromnie oburzona. „Do diabła z krytykami" — powiedziała. „John będzie wielkim malarzem". Ona... ona po prostu, nie mogła...

Mówił i mówił, a John patrzył to na niego, to na Vickie. Nie oskarżali go o kłamstwo. Zwyczajnie nie mogli uwierzyć, że to się stało. Nagle ujrzał Lindę, jakiej nie znał, Lindę, która chodziła wzburzona po pokoju, grając rolę obrońcy nie zrozumianego geniusza po ukazaniu się nieprzychylnych recenzji, rolę kobiety zakochanej. „John... to dla mnie wszystko!" Oczywiście, musieli w ten sposób zareagować. Z równym powodzeniem mógłby im powiedzieć, że widział starego pana Careya tańczącego nago mambę z Betty Ritter na stopniach kościoła.

Koszmar nie ustępował; przeciwnie, narastał.

Musi spróbować jakoś zacząć.

— Ale przedwczoraj wieczorem nie wyglądała na bardzo zakochaną we mnie, prawda? — powiedział.

— Boście się pobili. — Vickie patrzyła na niego szczerze, zmieszana. — W takiej sytuacji to zupełnie naturalne. Taka bójka to przecież nic wielkiego. Ponadto trochę wypiła. Sama się przyznała. Nie wiedziała, co robi, i tylko to powiedziała, zaraz zrobiło jej się strasznie przykro. Wszyscy to widzieli. — Spojrzała szybko na męża. — John, proszę cię, nie myśl, że ci nie wierzymy. Skoro mówisz, że tak się stało, to na pewno tak jest. Tylko że to wszystko takie nieprawdopodobne.

Teraz, gdy nadszedł czas na wyjaśnienie prawdy, doznał absurdalnego uczucia, że popełnia zdradę. To będzie koniec. Kiedy powie im wszystko, Linda przestanie istnieć w oczach Careyów i ludzi z ich grona, przepadnie szansa stworzenia sobie jakiegokolwiek znośnego życia w Stoneville. Odezwał się w nim jakiś wewnętrzny głos, a głęboko zakorzeniona lojalność szeptała mu: nie rób jej tego. Nie odbieraj jej tej odrobiny, którą posiada — nawet jeśli uzyskała ją w sposób przewrotny. Wiedział jednak, że to nierozsądne myśli. I tak byli już skończeni w oczach Stoneville i między Lindą a nim też było wszystko skończone. Dotychczas nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale nagle ujrzał to zupełnie jasno. Teraz kiedy zdemolowała jego obrazy, nadeszła , nieodwołalna chwila zerwania. Skończył z nią raz na zawsze.

Pociągnął łyk ze szklanki, nie patrząc na żadne z nich. I zaczął mówić.

— Nie znacie Lindy. Nikt, prócz mnie, jej nie zna. Przynajmniej tak mi się zdaje. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby tak było. Owego wieczoru ujrzeliście ją na mgnienie oka w prawdziwej postaci. Ale tylko na mgnienie. Jedną z przyczyn mego wyjazdu do Nowego Jorku było zasięgnięcie porady u lekarza. Linda jest chora. Chora od lat.

Opowiadał, pomijając tylko najintymniejsze, najbrudniejsze szczegóły. Wiedział, że nie przedstawia im pełnej prawdy, ale że to, co mówi — o niepewności, potrzebie współzawodnictwa, niepowodzeniach, o coraz gorszym piciu, o świecie marzeń, który stopniowo zajął miejsce

rzeczywistości — powinni zrozumieć. Bał się jedynie początkowo, by nie pomyśleli, że pragnie wzbudzić ich litość, że odmalował siebie samego jako ofiarę własnej lojalności, jako tego, który poświęcił się sprawie od początku straconej. A jednak gdy tak mówił, a oni siedzieli patrząc na niego z uprzejmym wyrazem twarzy, zaczął zdawać sobie sprawę, że to do nich nie trafia.

Czyż więc aż tak trudno zrozumieć ludziom nieskończoną złożoność natury alkoholika? Czy pozory normalności są dla ludzi, którzy nie mają osobistych doświadczeń z alkoholikami, tak przekonujące, że wydają się bardziej realne niż prawda? Opowiadał z coraz mniejszą pewnością, język zaczął mu się plątać i wreszcie czując, że przepaść między nimi się pogłębia, zamilkł.

Wyraz twarzy obojga słuchaczy był równie uprzejmy jak na początku. Nadal pilnie unikali swego spojrzenia nawzajem, patrząc na niego z uwagą. A mimo to, chociaż za wszelką cenę starali się z tym ukryć, czuł ich zakłopotanie, zwłaszcza Brada, i wiedział, że mu nie wierzą, sądząc w najlepszym razie, że niecnie przesadza, zasugerowany własnym punktem widzenia, bo jego stosunki z Lindą nie ułożyły się w sposób zadowalający, i bał się teraz tego, co się mogło stać.

Pierwszy odezwał się Brad. Głos miał leciutko zmieniony.
— A więc przedwczoraj, kiedy była tutaj, ty jej nie uderzyłeś?

Myśląc: „Uderzyłem ją istotnie, ale później", John powiedział:

— Nie uderzyłem jej. Upadła, bo była pijana, a najbardziej ze wszystkiego pragnie zataić swoje pijaństwo.

— Ale przyznała się, że piła.

— Tak, że wypiła jeden kieliszek. I tylko z obawy, że ktoś się połapie, w czym rzecz.

— Więc aby ukryć przed nami, że jest wstawiona, nie zawahała się skłamać i oskarżyć cię o pobicie?

— Tak. Co jej to szkodzi? — Bądź ostrożny, nie mów w ten sposób. Strasznie dużo w tym rozgoryczenia. Możesz ich tylko jeszcze bardziej zrazić. — Ale może cała sprawa nie jest taka prosta. Bo kiedy jest pijana, kiedy tak rozpaczliwie usiłuje zrobić z siebie bohaterkę, wówczas chce ze mnie zrobić drania. Może dlatego. Chciała, żebyście wszyscy mnie znienawidzili.

Zapanowało długie milczenie. Potem Vickie powiedziała:

— Zatem wszystko, co o niej wiemy, wszystko, co mówiła czy robiła, było grą?

— Mniej więcej. Prawie wszystko, co mówi i robi, jest grą.

— Więc... to także jest grą? Czy ona tylko udaje, że uciekła, żeby... żeby ciebie przestraszyć albo ukarać?

Pod wpływem tego pytania, choć w głosie Vickie nie było cienia sarkazmu, wszystko, co im usiłował wyjaśnić, wydało mu się kompletnie niedorzeczne.

— Mogłoby być grą, gdybym zastał ją tu albo u twojego ojca, albo u Morelandów. Ale w tej sytuacji... Nigdy przedtem nie zachowała się w sposób tak gwałtowny. Może popadła w panikę zgodziwszy się na leczenie u psychiatry?

Nie mogła się zdobyć... — Ale wiedziała, że Billa MacAllistera nie ma. — Może...

Znowu opanowało go wyczerpanie. Nie ma sensu o tym mówić. Czy to ważne? Nie idzie o to, żeby przekonać Careyów, tylko żeby znaleźć Lindę.

— A skoro odeszła — powiedziała Vickie — dokąd mogła się udać?

— Nie mam pojęcia.

Nie posunął się tak daleko, aby się zdradzić ze swymi obawami o szaleństwo albo samobójstwo. Co by to było, gdyby na domiar złego mieli jeszcze przełknąć i to!

— Uważam, że trzeba dać znać na policję! — powiedział Brad szorstko.

— Ale jeżeli to jest tylko gra — powiedziała Vickie patrząc na Johna. — Jeżeli... jeżeli ją poniosło i pocięła obrazy, a potem przestraszyła się i uciekła do lasu... Pomyśl tylko, Brad, o skandalu i o wszystkim, co ją czeka... Czy nie możemy sami spróbować jej znaleźć?

— Po nocy... — powiedział Brad. — W lesie? Wiesz, jakie tu wielkie lasy dookoła? Nawet za dnia trzeba by zorganizować grupy ratownicze.

Wstał, zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju. Nagle odwrócił się do Johna. Atmosfera przyjaźni i bezpośredniości z Nowego Jorku i z podróży znikła. Jego wzrok wyrażał może nie tyle wrogość, ile zniecierpliwienie niewygodną sytuacją.

— Spróbuj zadzwonić do domu. Może wróciła.

— Właśnie — powiedziała Vickie.

— Jeśli jej nie ma i nie będzie do rana, zadzwoń na policję.

— Tak — rzekła Vickie. — Tak trzeba zrobić.

Rozległ się dzwonek. Brad skoczył do telefonu.

— Tak... Tak... Nie, nie ma jej, ale jest John. Chcesz z nim rozmawiać?... Dobra, chwileczkę. — Odwrócił się, zakrywając dłonią tubkę telefonu. — To Gordon. Dzwonił do ciebie, ale ponieważ tam nikt nie odpowiadał, więc zadzwonił tutaj.

— Czy Linda?...

— Nie mówił.

John przeszedł przez pokój i wziął słuchawkę z rąk Brada, który został przy nim podczas rozmowy, zdenerwowany i niespokojny. Głos Gordona Morelanda był wysoki, sztuczny, antypatyczny:

— John? Czy to ty, John?

— Tak?

— Jest z tobą Linda?

— Nie.

— Gdzie ona jest?

John poczuł ucisk w dołku.

— W tej chwili jej tu nie ma.

— Ale czy wiesz, gdzie jest? Tyle tylko chcemy wiedzieć.

— Nie — rzekł. Nie mógł nie powiedzieć. — Nie wiem.

— No to przyjeżdżaj tu zaraz do nas. Do nas i do Steve'a Rittera.

Urzędowe wezwanie!

— Gdzie jesteście?

— Ja dzwonię z pierwszego domu z brzega. Steve i Roz są na wysypisku śmieci. Steve chce, żebyś tam przyjechał.

— Na śmietnisko?

— Wiesz, gdzie to jest?

— Tak. Ale o co chodzi? Co się stało?

— Dowiesz się, jak przyjedziesz. Steve mówi, żeby i przyjechał jak najszybciej.

John usłyszał stukot odkładanej słuchawki na drugim końcu linii.

Kiedy opowiedział przebieg rozmowy Careyom, Vickie chciała z nim jechać, ale zdecydował, że Steve i Morelandowie to i bez Careyów za wiele. Careyowie odnieśli się do niego miło i ze współczuciem. Byli aż zbyt mili i współczujący. Wolałby, żeby powiedzieli, co naprawdę myślą. Vickie odprowadziła go do samochodu, Brad został w mieszkaniu.

— Powiedz nam, John, jak będziemy mogli ci się na coś przydać.

Ruszył z podjazdu pełnym gazem. Miejskie wysypisko śmieci znajdowało się o milę od jeziora, w bok od szosy. Cały świat teraz wydawał się Johnowi jednym koszmarem. Na śmietnisku leży Linda. „Co się stało? Żonę pan zamordował czy co?" Nie, to niemożliwe, Linda nie może...

Zbliżając się do miejsca, gdzie należało skręcić z szosy, zobaczył samochody stojące na światłach parkingowych. Zatrzymał się przy nich i wyskoczył z wozu.

— John... John...

Usłyszał dziwnie stłumione dziecięce głosy i dwa groteskowe kształty podbiegły do niego przez jasne półkole świateł parkingowych samochodów. Było to coś krągłego i niezgrabnego, opatrzonego u góry dziwacznymi baniami z plastyku, z których wystawały anteny: Buck i Timmie w nowych strojach kosmonautów.

— To myśmy znaleźli, John — wysapał Buck podniecony. — Badaliśmy Ziemię.

— W strojach kosmonautów — dodał Timmie.

— Badaliśmy śmietnisko. Bawiliśmy się w naukowców z Marsa i...

— John?! — rozległ się gdzieś w ciemności na drodze głęboki, surowy głos Steve'a Rittera. — John? To ty, John?

John ruszył w jego stronę, z dziwacznie ubranymi .dziećmi plączącymi mu się u nóg. Ogarnęła go ciemność. Świetliki, które tańczyły i migotały pod wielkimi cienistymi gałęziami drzew, wzmagały wrażenie nierzeczywistości.

— Tutaj, John. Tędy.

W ciemności, gdzieś w górze, zapłonęła latarka elektryczna. Skręcił w lewo i potknął się o puszki i butelki usuwające się spod stóp.

— Tu, na górę, John.

Zaczął się drapać na kopiec śmieci. Widział teraz niewyraźnie zarysy postaci stojących ponad nim i ognik żarzącego się papierosa. Gdy znalazł się koło nich, latarka zgasła.

— Dzieci to znalazły, John. — W głosie Steve'a było coś sztucznego. — Timmie doniósł państwu Moreland, a Buck mnie. Potem zadzwonił do mnie pan Moreland. Zdecydowaliśmy zbadać sprawę. Coś w opowiadaniu dzieci wydało nam się podejrzane.

— To myśmy znaleźli — pochwalił się znów Buck głosem stłumionym przez banię plastykową. — To nasz skarb. Myśmy to znaleźli, ja i Timmie.

— Mamy całkowitą pewność, co to jest — rzekł Steve. — Przynajmniej pan Moreland nie ma wątpliwości. Ale ty musisz to zidentyfikować, a może potrafisz wyjaśnić, skąd się tutaj wzięło.

Nagle dramatycznym gestem poświecił w dół.

Na ziemi, na szczycie wielkiej kupy śmieci, leżała nowa walizka Lindy. Była otwarta.

John zobaczył najpierw zieloną suknię. Nową zieloną suknię Lindy. Plisowany jej dół, wystający z walizki, leżał na zardzewiałej puszce po oleju.

9.

John stał i patrzył, czując się jak w obliczu śmierci. Roz Moreland nie wyjmując papierosa z ust powiedziała swym kulturalnym, pełnym emfazy głosem:

— To jest nowa suknia Lindy. Nie ulega wątpliwości. Kupiła ją w zeszłym tygodniu i zaraz przyszła do mnie, żeby mi ją pokazać. Była nią zachwycona. Nigdy by jej nie wyrzuciła. Nigdy w świecie. I szary kostium — same jej najlepsze rzeczy. Dlatego od razu się domyśliłam, jak Timmie powiedział.

— Roz — zabrzmiał niezwykle poprawny głos Gordona Morelanda. — W tej chwili to już nie nasza sprawa, tylko Steve'a. To jest w jego kompetencji.

— No więc jak? — spytał Steve. — Czekamy, John. Czy rozpoznajesz te rzeczy i walizkę jako własność swojej żony?

Wzrok Johna przyzwyczaił się już trochę do ciemności. Widział niewyraźny zarys szczęki Steve'a Rittera i nawet słaby blask jego oczu, tak jak wyczuwał bliskość histerii Morelandów osaczających go i oskarżających. Był w niebezpieczeństwie. Czuł jego obecność, jakby stało u jego boku — jeszcze jedna niesamowita postać z plastykową banią zamiast głowy.

Musiał zachować ostrożność. Sprawy zaczęły przybierać inny obrót — dużo gorszy.

— Tak — rzekł. — To są rzeczy Lindy.

— Trochę dziwne, nie? — powiedział Steve. — Żeby wyrzucić takie porządne rzeczy... Najlepszą suknię? Ot tak, na śmietnisko?

— Absurd — wtrąciła Roz. — Linda nigdy w świecie...

— Roz, proszę cię... — przerwał jej Gordon.

Otaczała ich zewsząd cierpka woń odpadków. Skoro tu jest walizka, to gdzieś w pobliżu musi być i Linda. Myśl ta przeszyła umysł Johna jak grom. Trzeba będzie tej potworności stawić czoło — niczego nie da się uniknąć.

— Nie wiem, gdzie jest moja żona — oznajmił.

— Nie wie pan? — powtórzył za nim Gordon.

— Pan... — słowa utknęły Roz w gardle.

Steve Ritter spytał powoli, dobitnie:

— Co chcesz przez to powiedzieć, John?

— Wczoraj wyjechałem do Nowego Jorku. Dopiero przed chwilą wróciłem. Nie zastałem jej w domu. Zostawiła mi kartkę, że odeszła.

— Odeszła? Gdzie odeszła? — rzekł Gordon.

— Boże — powiedziała Roz. — Wcale się nie dziwię.

— Roz...

— A ty się dziwisz? Po przedwczorajszym widowisku? Jak ją uderzył, jak...

— No, no, chwileczkę, pani Moreland — zabrzmiał powagą władzy głos Steve'a. — Pokłóciłeś się z Lindą, John? A potem pojechałeś do Nowego Jorku i jak cię nie było, to ona uciekła? Tak?

— Tak. Chyba tak. Mniej więcej.

— Wzięła samochód?

— Nie. Zostawiłem wóz na stacji. A później wróciłem nim do domu.

— Uciekła bez samochodu? Jak? Na piechotę? Autostopem?

— Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć.

Na chwilę zapadło ogólne milczenie. W ciemnościach krążyły świetliki. Papieros Roz Moreland żarzył się niby kulisty nieruchomy świetlik. Powietrze przesycone było zgniłą wonią odpadków.

Nagle rozległ się wysoki, wystraszony głos Timmie'ego:

— Mamusiu, ja chcę do domu!

— Może pani zaprowadzić dzieci do samochodu — rzekł Steve do Roz Moreland — my zaraz przyjdziemy.

— Ja chcę zostać — powiedział Buck.

— Mamusiu — zawodził Timmie — ja chcę do domu.

— Niech pani ich zabierze.

— Ale... — Roz jęknęła. — Nie sądzi pan... nie sądzi pan, że Linda...

— Niech pani sobie usiądzie w samochodzie. Proszę zabrać dzieci.

— Timmie, Buck! — zawołała głosem, w którym znać było rozterkę. — Chodźcie tu obaj.

Widać było jej niewyraźną sylwetkę, kiedy schodziła ze sterty śmieci. Rozległ się łoskot strącanych puszek i butelek. Timmie zaczął beczeć i ten cienki, żałosny dźwięk oddalał się powoli w stronę, gdzie stały samochody.

— No, dobrze — rzekł Steve ostro, czując się tu wodzem. — Masz w samochodzie latarkę, John?

— Nie mam.

— Pan Moreland ma. Pójdziesz w takim razie ze mną. Panie Moreland, pan przeszuka wszystko w prawo stąd, my w lewo.

Gordon Moreland wydał jękliwy okrzyk.

— Ale, Steve, dzieci obeszły całe śmietnisko. Dlatego, znalazły walizkę. Gdyby Linda... gdyby...

— Może nie wszędzie zajrzały — odparł Steve. — Może gdzieś w zielsku...

Poprzedzany światłem latarki Gordon ruszył w prawo.

Przez chwilę Steve Ritter stał nieruchomo. John czuł tuż koło siebie obecność tego wielkiego, spokojnego cielska. Słyszał nawet cichy, równy oddech. Potem Steve zapalił latarkę i skierował się w lewo.

— No, John, chodźmy.

John wiedział, że szukają ciała Lindy. Pogodził się już z faktem, a w każdym razie z możliwością, że Linda nie żyje. Choć był oszołomiony i wyczerpany, wiedział, co się dzieje w bystrych umysłach Morelandów — powieściopisarzy. Można to było wyczuć całkiem wyraźnie w podnieceniu Roz i sztywnej poprawności Gordona. Sądzili, że... Odepchnął od siebie tę myśl, stłumił nabierające już kształtu słowa, bo tylko pod tym warunkiem mógł przetrwać. Załamię się — mówił sobie — jeśli będę o tym myślał.

Szedł potykając się u boku Steve'a i patrzył, jak światło latarki przesuwa się powoli z lewa w prawo, wydobywając z ciemności to jakieś stare łóżko żelazne, to kępkę irysów, to nadbutwiałe pudło tekturowe, a wszędzie butelki i puszki, puszki i butelki, jakby całe pokolenia mieszkańców Stoneville nie robiły nic innego, tylko przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jadły i piły, piły i jadły...

Przesuwając się krok za krokiem i uważnie wszystko przeszukując Steve Ritter nie odzywał się ani słowem. John nigdy go jeszcze nie widział w roli urzędowej — lokalnego przedstawiciela prawa. Zrobił się jakiś zupełnie inny, groźny, wyzbył sie całej swojej wesołości. W pewnej chwili John potknął się i oparł o Steve'a. Poczuł ciepło twardego ramienia pod rękawem koszuli i wraz z dojmującą, bolesną świadomością zmysłowości ciała Steve'a powróciła myśl o wyznaniu Lindy.

„Chodzi o Steve'a... Mówiłam, że nie chcę... Ale to było silniejsze ode mnie..."

To Linda jest odpowiedzialna za to okropne wrażenie nierzeczywistości. Jej zawdzięcza, że nie może być pewien niczego. Czy Steve był jej kochankiem, czy nie? Nigdy się nie

dowie, a skoro nie wiedział nawet tego, to czego miał się trzymać?

A potem, stopniowo, kiedy napięcie stało się nie do zniesienia, nastąpiło odprężenie. Nie ma jej tu — myślał. Wiedział o tym z niezbitą pewnością, jakby sama Linda w jakiś wariacki, osobliwy sposób przekazała mu tę pewność. Dobra jest, nic nie znajdziemy w chwastach. Moment szczytowej okropności, kiedy wszyscy oderwą wzrok od ciała na ziemi i spojrzą na mnie, nie nadejdzie.

Rzeczywiście, nie znaleźli Lindy. Po około trzech kwadransach poszukiwań Steve krzyknął w drugi koniec wysypiska, gdzie pod ruchomymi ognikami świetlików migotał błysk drugiej latarki.

— Znalazł pan co, panie Moreland?

— Nie, Steve.

— To wracamy. Widocznie nic nie ma.

Wrócili do miejsca, gdzie była walizka. Steve ostrożnie ułożył suknię, zatrzasnął zamki i wziął walizkę do ręki. Gordon Moreland przyłączył się do nich u wjazdu na wysypisko i wszyscy trzej ruszyli w milczeniu do samochodów. Timmie zapomniał już o swoim strachu. Kręcili się z Buckiem po terenie oświetlonym światłami parkingowymi, udając Marsjan.

Roz Moreland wygramoliła się z mercedesa. Była w pantoflach na bardzo wysokich obcasach. Trzymała w ręku długą, szylkretową cygarniczkę. Elegancka, miejska, niedorzeczna postać. Rzuciła Johnowi krótkie, stalowe spojrzenie.

— No jak? — zapytała. — No jak?

Zbliżył się do niej mąż. Schludny, wymuskany, o chłodnych niebieskich oczach pod rudawymi brwiami i długich rudawych, dokładnie przylizanych włosach, świetnie do niej pasował. Konwencjonalny ekscentryk. Znany pisarz.

— Nie znaleźliśmy, kochanie. W takich ciemnościach to niemożliwe. Zupełnie niemożliwe.

Roz odwróciła się do Steve'a, który stał, wielki i spokojny, trochę z boku i trzymał walizkę w ręku.

— Co teraz zrobimy? Jak się dowiemy, co się z nią stało? Musimy coś zrobić.

Linda jest moją żoną — myślał John — a oni mnie traktują, jakbym nie istniał.

— Patrz, Buck. Patrz — zapiszczał Timmie. — Ja już nie jestem Marsjaninem. Zdjąłem głowę.

— Przecież nie możemy siedzieć z założonymi rękami wiedząc, że wyszła z domu, bez samochodu, a jej walizka leży na śmietnisku i...

— Dobrze, dobrze, pani Moreland. — Steve zrobił głową ruch w stronę jej samochodu. — Niech pani zawiezie Timmie'ego do domu. Już dawno powinien być w łóżku. Pani mąż, ja i John pojedziemy tymczasem do mnie i coś wymyślimy.

— Ależ... — Roz okręciła się na pięcie, aż błysnęły jej srebrne kolczyki. — Ależ... ja tak samo jestem świadkiem. Jak trzeba będzie rozmawiać z policją...

Chce mieć frajdę — pomyślał John w nieoczekiwanym przypływie ironii. Nie chce stracić ani chwili. Steve Ritter zbył ją wzruszeniem ramion.

— Będzie jeszcze na to mnóstwo czasu, pani Moreland. Proszę zawieźć dziecko do domu. Sam później odwiozę pani męża. Gotowe, panie Moreland? Możemy jechać? — ruszył w stronę swojego samochodu. — Jedź za nami, John — zwrócił się do niego. — Hej, Buck! Dość już tej zabawy.

Siadaj, jedziemy.

Ruszyli, a zaraz za nimi John. Roz została przy swoim mercedesie, zesztywniała z oburzenia.

John wjechał na stację benzynową tuż za pierwszym samochodem. Wysiadł i podszedł do Steve'a i Gordona Morelanda. Z lodziarni dochodziły dźwięki mamba. Weszli. Za ladą stała Betty Ritter. Przy ladzie jakiś chłopak i dwie dziewczyny. Przy stoliku siedział nad próżną butelką cocacoli jakiś samotny starszy pan— wyglądał na sekretarza

rady miejskiej. Wszyscy odwrócili głowy, żeby popatrzeć na wchodzących.

— Jak się masz, matka — Steve uśmiechnął się do żony i klientów. — Przywiozłem ci twojego Marsjanina. Do łóżka, Buck. — Przez chwilę stał na środku sali, z walizką w ręku, kołysząc biodrami w takt mambo. Był teraz zupełnie niepodobny do tego spokojnego stróża prawa na wysypisku miejskim. Znów stał się Steve'em Ritterem — miejscowym wesołkiem. Jedna z dziewcząt siedzących przy bufecie roześmiała się i zawołała:

— Hej, Steve, wracasz z podróży?

— Tak, Arlene. Na małpie figle. — Odwrócił się do Johna i Gordona, patrząc na nich ze swoim zwykłym sardonicznym uśmieszkiem. — Napijecie się panowie czegoś na koszt firmy? Nie? To chodźmy spać.

Chce w ten sposób zwieść miasteczko — pomyślał John. Zna swoje Stoneville; wie, jak szybko rozchodzą się tu plotki. Odczuł wdzięczność, jak gdyby Steve robił to ze względu na niego.

Weszli do małego pokoiku przy lodziarni. Steve zamknął za nimi drzwi. Był to kantorek, tu sporządzał swoje comiesięczne rachunki ze stacji benzynowej. W pokoiku znajdował się tylko stary tapczan, biurko, drewniany fotel i telefon na ścianie.

— Siadajcie, panowie. Czujcie się jak u siebie.

Steve postawił walizkę. Lindy na podłodze i rozwalił się na tapczanie. Gordon Moreland kręcił się po pokoiku z ważną miną. John siadł na drewnianym fotelu.

Steve zapalił papierosa i przyglądał się Johnowi sponad strużki dymu nieodgadnionymi oczyma. Z wrogością? Czy bez wrogości? Czy wiedział więcej, niż gotów był przyznać? Czy nie wiedział nic?

— No, John. Mów, jak było. Na razie możesz pominąć bójkę z Lindą. Powiedz tylko, co się stało, kiedy wróciłeś

z Nowego Jorku.

John zmusił się jeszcze raz do opowiedzenia faktów, które nawet dla Careyów, jego przyjaciół, brzmiały tak nieprawdopodobnie, tak fałszywie.

Kiedy powiedział o pokrajanych obrazach, Gordon przerwał:

— Linda miałaby zniszczyć pana obrazy? Ależ to niemożliwe! Linda...

— Nigdy nie wiadomo, na co kobietę stać, jak ją poniesie — przerwał mu Steve w połowie zdania. — Mów dalej, John.

Nie spuszczał oczu z twarzy Johna, ale to nie przeszkadzało Johnowi tak, jak obecność Gordona Morelanda, z którego emanowała chorobliwa ciekawość. Pragnienie, aby nie uronić ani słowa. Zdobyć wszystkie szczegóły dla Roz. Wykorzystać w jakiejś książce. Oczywiście, nie są to fakty historyczne. Ale czemu nie mieliby napisać jakiejś współczesnej powieści? Po prostu dla odmiany. John czuł, jak mimo wyczerpania budzi się w nim gniew. Co, do stu diabłów, Gordon ma z tym wspólnego?

Kiedy skończył, Steve Ritter dźwignął się z tapczanu i zgasił niedopałek w popielniczce stojącej na biurku.

— Dobra, John. Ile zabrała z sobą pieniędzy?

— Właściwie to wcale, chyba że miała jakieś, o których nie wiem.

— A jak sądzisz, dokąd mogła się udać? Do Nowego Jorku? Zawsze mówiła o Nowym Jorku. Wygląda na to, że ma tam mnóstwo przyjaciół.

— Nie — rzekł John. — W Nowym Jorku szczerze mówiąc nigdy się z nikim nie przyjaźniła.

— Ależ to bzdura — wybuchnął Gordon Moreland. — Ona ma tam dziesiątki przyjaciół. Bez ustanku o nich opowiada. Zna wszystkich ludzi. Parkinsonów...

— Chwileczkę, panie Moreland — przerwał mu Steve

Ritter. — Pan może sobie wyobraża, że pan zna Lindę. Ale John jest mimo wszystko jej mężem. — Znów zwrócił się do Johna: — A jeśli nie do Nowego Jorku, to może do Wisconsin? Ale nie, jej rodzice już nie żyją, prawda? Nie miałaby po co tam wracać.

— Nie — rzekł John, myśląc: aż tak wiele o niej wie. Łączył ich więc przynajmniej taki stopień zażyłości.

— I nie ma żadnych sióstr ani braci. Jedynaczka. Zawsze o tym mówiła. — Steve gwizdnął pod nosem. — Jakby się rozpłynęła w powietrzu.

— Właśnie — rzekł John.

— Może chce cię przestraszyć? Myślałeś o tym, John? Może chce w ten sposób z tobą wygrać?

— Może.

— Ale walizka — zabrzmiał przenikliwy, zawodzący głos Gordona. — Znaleźliśmy ją na śmietnisku. Wobec tego faktu wszystko inne przestaje być ważne. Skoro znaleźliśmy tam walizkę, jej samej musiało się coś stać.

— Tak, tak — Steve wysunął dolną wargę. — Obawiam się, że tak. Coś rzeczywiście musiało się stać. — Z leniwym wdziękiem podniósł się z tapczanu. — No, cóż, John, trzeba chyba zadzwonić na policję. Wygląda na to, że sprawa przekracza moje możliwości. Ja mogę tylko pilnować ruchu na drogach pod koniec tygodnia, sprawdzać, czy drzwi kościoła zamknięte, i odprowadzać starego Billa Dairey do domu, jak się urżnie. Dalej moja władza nie sięga. Wolałbym nie dzwonić. To znaczy, gdyby nie było obawy, że zaszło coś poważnego. Ale... Nie masz nic przeciwko temu, John? Nie masz nic przeciwko temu, żebym zadzwonił do kapitana Greena?

— Jasne, że nie. Co innego można zrobić?

— Czy wszystko nam powiedziałeś? Jeśli nie, to mów, póki jeszcze czas.

Czyżby Steve był jego śmiertelnym wrogiem?

— Co mogłem przed wami zataić? — spytał.

— Dobra, John.

Uśmiechając się niemal z czułością, Steve położył rękę na plecach Johna, a drugą sięgnął do telefonu.

— Jak przyjedzie kapitan Green, skoczymy do ciebie i rzucimy na to wszystko okiem. Albo jeszcze lepiej: spotkamy się z nimi już u ciebie. Niech się nie pokazują w mieście.

Steve wciąż nie odrywał wzroku od Johna.

— Nie martw się, chłopie. Znajdziemy ją. Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi Lindy. Wszyscy tracimy dla niej głowę. Nam prawie tak samo ciężko jak tobie.

10.

Gordon Moreland chciał jechać z nimi na spotkanie z policją, ale Steve kazał mu zadzwonić do żony, żeby przyjechała i zabrała go do domu. Roz była pierwsza i Morelandowie, zapewniając uroczyście o swojej wielkiej miłości do Lindy, radzi nieradzi odjechali.

Zaraz po ich odjeździe Steve powiedział:

— Kapitan Green powinien być lada chwila. Ruszajmy.

Wziął walizkę i niedbale machnąwszy żonie ręką na pożegnanie, poszedł do samochodu Johna. Jadąc przez las nie mówili nic, ale wielka milcząca postać siedzącego obok mężczyzny wydawała się Johnowi nieustanną groźbą. Przestał się zastanawiać, co się stało z Lindą. Musiało to być coś ostatecznego, nieodwołalnego i żadne domysły nie mogły tu już pomóc. Teraz interesowało go własne położenie. Choć nadal się przed tym bronił, wiedział, co Morelandowie, Steve, a nawet Careyowie gotowi pomyśleć, z chwilą gdy znajdą wystarczające podstawy.

Nie, teraz nie chodzi już o Lindę. Teraz idzie o sieć, którą Linda na niego zastawiła.

Gdy dojechali do domu i zatrzymali się przy drzwiach kuchennych, Steve nie wysiadł z samochodu i wcale się nie

kwapił z jakimkolwiek wyjaśnieniem. Było ono jednak dla Johna zbyteczne. Nikt go nie oskarżał, nikt nic nie powiedział. Ale też nikt nie śmiał wejść do domu, póki kapitan Green, oficjalnie uznany przedstawiciel prawa, nie zobaczy pierwszy tego, co było do zobaczenia.

Steve zapalił papierosa i gdy rozbłysła zapałka oświetlając pełne, zmysłowe usta, poczęstował Johna. W tej samej chwili zajechał samochód policyjny i stanął koło nich.

— Steve?

Z samochodu wysiadło trzech umundurowanych policjantów i jeden z nich podszedł do Steve'a z wyciągniętą dłonią.

— Jak się masz, Steve. Jak ci się wiedzie? Nie bywasz ostatnio w kręgielni. Starzejesz się czy co? — zabrzmiał przyjazny, głęboki śmiech, a potem całkiem innym już tonem: — No, dobrze. Gdzie ten facet? Jest tam?

— Tak — rzekł Steve. — Jest. Pan Hamilton, kapitan Green.

W domu było ciemno. John widział niewyraźnie zarys wielkiej postaci kapitana Greena, który nie wyciągnął do niego ręki

— W porządku, idziemy.

Podeszli do kuchennych drzwi. John szedł pierwszy i zapalił światło. Policjanci weszli za nim do środka, wielcy, spokojni, odczłowieczeni przez swe mundury. Kapitan Green, dość młody człowiek o czerstwej twarzy i bardzo jasnych niebieskich oczach, odwrócił się, żeby popatrzeć na Johna.

— Żona zginęła, co? Steve mówił, że zostawiła list. Zobaczmy no go.

John zaprowadził go do saloniku i zapalił światło. Chaos zdemolowanych płócien i potrzaskanych płyt na podłodze na nowo wzbudził wrażenie, że gdzieś, w jakimś kącie, czyha szaleństwo, by rzucić się i chwycić go za gardło. Trzej policjanci stali i patrzyli w milczeniu. Steve Ritter gwizdnął.

— No, no!
— To ona? — spytał kapitan Green.
— Tak — rzekł John.
— Gdzie list?

John przeszedł przez cały ten bałagan do stolika, gdzie obok maszyny do pisania zostawił list. Podał go kapitanowi. Kapitan Green przeczytał list powoli i z zastanowieniem, potem przyglądał mu się chwilą i wreszcie podał Steve'owi. Steve czytał ze zmarszczonymi brwiami, po czym obrzucił Johna szybkim spojrzeniem, co w jakiś sposób spotęgowało w nim i tak już dręczące uczucie niebezpieczeństwa.

— No dobrze — rzekł kapitan bezbarwnym, urzędowym tonem człowieka wykonującego swoje obowiązki. — Wy, chłopcy — kiwnął głową w stronę dwóch policjantów — obejrzyjcie sobie dom. Tylko dokładnie. — Potem zwrócił się do Johna: — Panie, gdzie tu jest coś, na czym można usiąść, coś nie rozwalonego?

John zaprowadził Greena i Steve'a do stołowego. Usiedli na drewnianych krzesłach przy stole. Kapitan Green wyjął z kieszeni munduru notes i ogryzek ołówka.

— Podaj nam pan rysopis: wzrost, wiek, budowa, co na sobie miała.

Przez chwilę John nie był w ogóle w stanie uprzytomnić sobie wyglądu Lindy. Potem umysł jego zaczął znowu funkcjonować. Kiedy podawał nic nie znaczące dane, Steve wstał od stołu, poszukał popielniczki, znalazł i usiadł z powrotem, kładąc na niej papierosa.

Kapitan Green skończył pisać. Następnie wziął do ręki list. Niezdarnie, jakby nienawykły do podobnych rzeczy, przeczytał głośno:

— „Poszukaj sobie innej, która będzie dla ciebie harowała jak niewolnik, pozwalała się zadręczać, torturować..." Wygląda na to, że między wami nie było całkiem dobrze?

Tyle w tym goryczy. Jakby ją pan niezbyt dobrze traktował?...

John słyszał ciężkie kroki policjantów na górze. Spojrzał na własne dłonie oparte na stole. Skóra na kciukach była ziemista.

— To... to jest przesada — rzekł. — Wielka przesada. Pan rozumie, moja żona jest nienormalna. Jest nerwowo chora. To alkoholiczka, pije już od...

— Czekaj no, John. Chwileczkę. — Steve Ritter wpatrywał się w niego poprzez stół z niedowierzaniem. — Czyś aby nie przeholował? Czyś ty zapomniał, że Linda ma we mnie przyjaciela? Linda miałaby być pijaczką? Chłopie, nie rób z kogoś durnia.

Kapitan Green spoglądał to na jednego, to na drugiego.

— Starałem się to ukryć, Steve. Dlatego nie wiedziałeś, nikt o tym nie wiedział. Jak zaczyna pić, pilnuje się, żeby nie wychodzić z domu. Ona...

— Ho, ho, ho! — Steve Ritter potrząsnął głową. — No i bądź tu mądry, Tom. Ciągle jakieś cuda.

Odwrócił się do kapitana Greena i teraz sceptycyzm na jego twarzy stał się zupełnie wyraźny — sceptycyzm i coś jeszcze, jakiś sygnał, szybki, porozumiewawczy znak. Green z właściwą sobie flegmą chrząknął tylko.

— Dobrze — rzekł. — Pijaczka czy nie pijaczka. Nieważne. Ale jej nie ma. Znikła. O to nam chodzi, prawda? — Patrzył Johnowi prosto w oczy. — Zdaje się, że była między wami jakaś kłótnia, tak? O co wam poszło?

John opowiedział im o liście Charlie'ego Rainesa. Kiedy tak mówił, a oni nie odrywali od niego oczu, słyszał własne słowa jakby cudzymi uszami i wiedział, że brzmią niedorzecznie. To znaczy stanowisko, jakie zajął w tej sprawie, było niedorzeczne. Człowiek, który ma pieniądze zaledwie na pięć lat lichego życia, z plikiem druzgocących recenzji, nie chce przyjąć posady z pensją dwudziestu pięciu tysięcy rocznie.

— Dwadzieścia pięć tysięcy?! — Steve Ritter znowu gwizdnął. — Człowieku!

Spojrzał na kapitana Greena, na którego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

— Żona wcale nie musi być nerwowo chora czy alkoholiczka, żeby ją w tej sytuacji poniosło, co, Steve? Znam takie, co by nie poprzestały na pocięciu paru obrazów i potłuczeniu kilku płyt. Wierz mi. — Uśmiech szybko uleciał z jego twarzy i kapitan zwrócił się do Johna: — A więc żeby dalej malować te... te obrazy, powiedział pan żonie, że pan nie bierze tej pracy?

— Tak.

— A ona się wściekła?

— To nie jest takie proste. To...

— Co ma nie być proste? Wściekła się. Tak czy nie?

— Tak.

— I wiedziała, że pan jedzie do Nowego Jorku zrzec się tej posady?

— Tak. Ale nie tylko po to. Wiedziała też, że jadę porozmawiać o niej z psychiatrą.

— Z psychiatrą? — kapitan Green wybuchnął spontanicznym śmiechem. — Porozmawiać z psychiatrą, bo jest na tyle nienormalna, że się zdenerwowała, jak pan nie przyjął posady z pensją dwudziestu pięciu tysięcy rocznie?

John zapłonął gniewem, ale jednocześnie pomyślał: muszę się zdobyć na cierpliwość. Nie mogę oczekiwać po nich zrozumienia. Nie w tej sytuacji.

— Jak już powiedziałem, to nie jest wcale takie proste. Ona jest chora od lat. Nigdy nie chciała iść do doktora. W końcu namówiłem ją, żeby poszła do mego starego przyjaciela w Nowym Jorku, Billa MacAllistera.

— I był pan u tego Billa MacAllistera w Nowym Jorku?

— Tak, ale okazało się, że jest na urlopie.

— I nie zadzwonił pan najpierw, żeby sprawdzić, czy on jest?

— Nie, nie miałem...

Weszli dwaj policjanci. Jeden z nich trzymał w ręku

butelkę dżinu. Stali przy drzwiach, póki kapitan Green nie zwrócił na nich uwagi. Policjant trzymający butelkę w ręku powiedział wówczas:

— Znaleźliśmy to na górze, pani kapitanie. W szufladzie w bieliźniarce. Szuflada była wysunięta.

— To jest butelka, którą ona sobie schowała — rzekł John. — Znalazłem ją po powrocie. Zawsze ma gdzieś ukryty alkohol.

Policjant postawił dżin na stole. Ani Steve, ani kapitan nie odezwali się słowem.

— Znaleźliśmy jeszcze coś, panie kapitanie — powiedział policjant. — Pewnie to nic takiego, ale leżało w sypialnym na podłodze. Pewnie nic ważnego.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął pocztówkę od Billa. Kapitan przeczytał kartkę i popatrzył na Johna.

— Ten Bill MacA, to nie jest przypadkiem ten doktor, Bill MacAllister?

— Tak — rzekł John. — To on.

Doniosłość poczynionej dedukcji znalazła swój wyraz na krągłej twarzy kapitana.

— Stempel świadczy o tym, że wysłano ją przed pięcioma dniami. Więc dostał ją pan przed wyjazdem do Nowego Jorku. Wiedział pan, że tego Billa MacAllistera nie będzie.

— Nie — odparł John. Czy musi i to wywlekać na jaw? — Wcale nie dostałem tej kartki. Znalazłem ją dopiero po powrocie. Schowała ją tam, gdzie i butelkę z dżinem. Zawsze czuła paniczny lęk przed wszystkim, co ma jakiś związek z Billem, bo Bill jest lekarzem. Zapewne wyjęła pocztówkę ze skrytki i...

Mówił, a zarazem zdawał sobie sprawę, że nie starczy mu energii, by skruszyć dzielący go od nich mur obojętności i braku zrozumienia.

— Panie kapitanie — policjant, który to powiedział, młodszy z dwu, spoglądał na Greena z nadzieją w oczach.

Nowicjusz —pomyślał John. Zapaleniec. — Panie kapitanie, chciałem panu pokazać coś w salonie.

Kapitan. Green wstał ciężko i wyszedł z policjantem. Obecność Steve'a Rittera siedzącego po przeciwnej stronie stołu znowu zaczęła działać na Johna przytłaczająco. Mimowolnie spotkały się ich oczy. Na twarzy Steve'a rozlał się szeroki uśmiech.

— Oj, chłopie, chłopie! — powiedział.

Wkrótce kapitan wrócił. Ale już nie siadł. Siał w drzwiach, niemal je blokując swoją ogromną postacią.

— Ten list... — rzekł — ona go napisała na maszynie?

— Tak.

— Nie podpisała ani nic... Po prostu wystukała na maszynie?

— Tak jest.

— Czy ona często pisuje na maszynie?

Ostrożnie — myślał John. Nie mów im o maszynie. Potem znów nagle zdjął go gniew. Do diabła z nimi. Czemu się ich boi i zachowuje się, jakby był winien? Powie prawdę. Prawda to jedyny twardy grunt pod nogami. Gdyby zaczął im teraz kłamać, to przepadł.

— Nie wiem. Ściśle mówiąc, to moja maszyna. Zwykle stoi w moim studio. Żona musiała ją stamtąd przynieść.

— Więc poszła do studio, przyniosła maszynę i napisała list nie podpisując go nawet? A, jak mi przed chwilą pokazał Jim, pióro leży tuż obok maszyny. Czy nie byłoby łatwiej napisać po prostu list piórem? Jak pan uważa?

Teraz już tylko gniew go chronił. Był jego jedyną podporą. Czując nagłą potrzebę podkreślenia swoich praw i przecięcia miazmatu podejrzeń, powiedział:

— Ja tego listu nie napisałem. Jeśli do tego zmierzacie, czemu nie spytacie wprost? Ja nie napisałem tego listu.

Ledwie to powiedział, zrozumiał, że zrobił źle, że pragnąc się wyrwać z matni, uczynił fałszywy krok. On jeden to

powiedział. Dotychczas nikt, nawet Morelandowie, nie sformułował tego oskarżenia, on sam je podsunął.

Wyzbywszy się pozorów zimnej uprzejmości, kapitan Green przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed Johnem. Spojrzał na niego groźnie, z góry.

— Gadaj pan, gdzie żona?

— Nie wiem.

— Skąd się wzięła walizka na wysypisku śmieci?

— Nie wiem.

— To pan napisał ten list?

— Powiedziałem już, że nie.

— To pan potłukł te płyty?

— Nie.

— To pan wsadził butelkę dżinu do szuflady na górze?

Grad pytań ustał równie nagle, jak się zaczął. Przez chwilę kapitan Green stał nad Johnem, patrząc na niego złowrogo. Potem z lekkim chrząknięciem wrócił do stołu i jeszcze raz otworzył notatnik.

— No dobra. Kiedy pan wyjechał do Nowego Jorku?

— Wczoraj, popołudniowym pociągiem. Brad Carey jechał ze mną i ze mną wrócił.

— Widział się tam pan z tym facetem od posady?

— Tak.

— Nazwisko i adres.

John podał nazwisko i adres Charlie'ego Rainesa, a kapitan Green zapisał.

— Został pan na noc w Nowym Jorku?

— Tak. W tym samym hotelu co Brad Carey. Sprawdźcie u niego, jak chcecie.

Wymienił nazwę hotelu, a kapitan Green znów zapisał.

— I przyjechał pan dzisiaj wieczornym pociągiem?

— Tak jest. Z Bradem.

— I powiedział nam pan wszystko, co pan wie?

— Wszystko.

— Dobra. — Kapitan zamknął notes z trzaskiem i

spojrzał na Steve'a. — Nadam zaraz rysopis dalekopisem. Jeżeli nie będzie żadnych wiadomości, zorganizować rano ekipy ratownicze i szukać w lesie. Jezioro też przeszukać dragą. Zajmij się tym, Steve. Weź, ilu ci trzeba, ludzi z miasteczka.

— Nie będzie kłopotu z ochotnikami — rzekł Steve z zagadkowym uśmiechem na twarzy, nie spuszczając wzroku z Johna. — My tu w Stoneville szalejemy za Lindą. Wszyscy.

— Zacznij wcześnie, Steve. Jak najwcześniej.

— Tak jest, kapitanie.

Kapitan Green wsadził notes do kieszeni.

— No, nie ma co tu dłużej siedzieć. Trzeba wracać i nadać ten dalekopis.

Ruszył w stronę kuchni. Dwaj policjanci za nim. Potem Steve, a na końcu John. Stłoczyli się wszyscy u drzwi kuchennych. Żaden nie patrzył na Johna.

Nagle, bez ostrzeżenia, kapitan Green obrócił się do niego twarzą. Jego niebieskie oczy były jak dwie świecące szparki.

— No, panie. Gadaj pan. Coś pan zrobił z żoną?

— Tak, John, powiedz — zagadkowy uśmiech Steve'a znikł ustępując miejsca innemu, sadystycznemu uśmiechowi wroga. — Daj nam szansę; John. Pomyśl, ile zaoszczędzisz nam kłopotów i... pieniędzy. Co zrobiłeś z Lindą, zanim wyjechałeś do Nowego Jorku z Bradem, żeby zrobić sobie alibi?

Patrzyli teraz na niego wszyscy czterej. Nie było to już czterech mężczyzn; był to jadowity blok — zgraja, którą wiąże wspólne, z góry powzięte podejrzenie w stosunku do jednostki spoza zgrai. Jest winien choćby dlatego, że jest inny — jest winien. A zatem zniszczyć go.

Więc to był ów najokropniejszy moment, którego oczekiwał? Nie widok ciała leżącego pośród chwastów czy unoszonego przez wodę u brzegów jeziora Sheldon — nie to!

Gniew pomógł mu się bronić.

— Precz stąd! — powiedział cicho. — Zabierać się. Wszyscy.

— O rany, John! — Steve wybałuszył oczy. — Jak ty się odnosisz do przyjaciół!?

John skoczył do niego. W mgnieniu oka kapitan Green znalazł się pomiędzy nimi, potężny, spokojny.

— Dosyć tego, Steve. Przestań się znęcać nad facetem. Idziemy.

Młody policjant z butelką dżinu w ręku otworzył furtkę. Pierwszy wyszedł kapitan, trzymając dłoń na ramieniu Steve'a. Dwaj policjanci pospieszyli za nimi.

John stał patrząc na nich. W chwili gdy samochód policyjny ruszał, doszedł go śmiech Steve'a Rittera, głośny, pogardliwy.

11.

Od obiadu w Nowym Jorku nie miał nic w ustach. Przypomniał sobie o tym, choć nie był głodny, i wypił szklankę mleka. Potem, żeby się czymś zająć, poszedł do salonu i zaczął uprzątać ślady zniszczenia. Oglądał pilnie każdą rzecz, jak się ogląda zniszczoną własność, usiłując nie myśleć o Lindzie, jej wściekłości i szale. Płótna były nie do odratowania, ale adapter i wzmacniacz miały tylko potłuczone lampy. Ocalały też niektóre płyty. Pozbierał je i włożył do szafki. Taśmy magnetofonowe otaczał szczególną miłością. Dopiero niedawno kupił magnetofon i miał zaledwie siedem czy osiem szpul taśmy, na której nagrał muzykę z radia. Zaczął ich szukać wśród szczątków płyt i znalazł wszystko, z wyjątkiem najnowszej z uwerturą do „Snu nocy letniej" Mendelssohna. Pewnie wpadła gdzieś pod kanapę albo pod któryś z foteli, ale to głupstwo. I tak żadna z tych poszarpanych i splątanych taśm nie nadaje się już do użytku. Cisnął je z powrotem na podłogę. Zgarnął potem wszystkie szczątki i powynosił pod ścianę studio.

W ciągu ostatnich kilku godzin jego życie zmieniło się w sposób tak drastyczny, że trudno mu było sobie wyobrazić, jak przed wyjazdem do Nowego Jorku mogło być inaczej. Tak samo nie mógł już więcej snuć domysłów, co się stało z Lindą. Odeszła i swoim odejściem wszystko to spowodowała. To jedno było istotne. Stworzyła koszmar, który osiągnął swój punkt szczytowy w chwili, gdy Steve i trzej policjanci, patrząc na niego niby złowroga zjawa czterema parami oczu, jakby stopili się w jedno w pragnieniu zniszczenia go.

„Coś zrobił ze swoją żoną?"

Stał przy drzwiach studio patrząc poprzez jabłonie na głęboką czerń lasu. Nagle rozległ się krzyk sowy — dziwny, na wpół ludzki zawodzący okrzyk, który już raz dzisiaj słyszał. Pomyślał, że nie może teraz wrócić do domu. Dom to szaleństwo Lindy, „niebezpieczeństwo, które nad nim zawisło. Nie mógłby tam oddychać.

Wszedł do studio, zdjął wierzchnie ubranie i położył się w bieliźnie na starej kanapie. Pomyślał, że może właśnie w tej chwili dalekopisy, wystukują rysopis Lindy. Zaczął myśleć o Stoneville. Teraz Stoneville było wrogiem. Ludzie jeszcze nie posnęli. Kobiety szepczą jedna drugiej: „Słyszałaś o ...?" Chłopcy i dziewczęta wracają do domów i rozmawiają z rodzicami: „Słyszeliście już o pani Hamilton?" A na ukoronowanie tego wszystkiego Steve Ritter chodzi ze swym ujmującym uśmiechem od domu do domu i zwołuje ochotników do ekip ratowniczych na jutro.

„Co byś powiedział na małe polowanko nie w sezonie, brachu? Małe polowanko — na Lindę Hamilton... Co, nie słyszałeś? To wariatka i pijaczka. Błądzi gdzieś po lesie. Przynajmniej tak twierdzi jej mąż... Wolnego, mój drogi!... John Hamilton miałby ją zamordować?... Nie radziłbym tego mówić w obecności przedstawiciela prawa... można zrobić procesik o zniesławienie... Jeżeli John mówi, że jest wariatka i pijaczka... to jest wariatka i pijaczka..."

Wkrótce zasnął i śniło mu, się, że Steve Ritter goni go po lesie galopując na czworakach niby pies myśliwski.

Zbudził się z niejasnym wrażeniem, że ktoś go woła. Otworzywszy oczy zobaczył blask słońca. Przez chwilę nie mógł sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Potem pomyślał: przecież to studio — i przypomniał sobie wszystko.

— Hej, John. Zbieraj się, chłopie.

Był to głos Steve'a Rittera, donośny, pełen robionej swobody. Głos z jego snu?

— Hej, John. Czy mamy po ciebie przyjść?

Zeskoczył z kanapy. Miał w studio stare dżinsy, które wkładał do malowania. Podszedł do ściany, na której zwykle je wieszał. Dżinsów nie było. Włożył więc spodnie od garnituru i pantofle i wyszedł.

Na trawniku, zwróconych do niego tyłem, stało siedmiu czy ośmiu mężczyzn ubranych w dżinsy i bluzy robocze. Patrzyli na dom. John widział szerokie, muskularne plecy Steve'a Rittera.

Mieli z sobą psa, kudłatego rudzielca z długim brązowym ogonem. Pies spostrzegł Johna i ruszył w jego stronę z przenikliwym ujadaniem. Mężczyźni odwrócili się jak na komendę i stali nieruchomo, przyglądając mu się. Zdjęło go przerażenie. Znaleźli Lindę. Znaleźli jej trupa i przyszli po niego. Opanował się jednak: to jedna z drużyn ratowniczych.

Mężczyźni, ze Steve'em Ritterem pośrodku, stali w miejscu. Niektórzy z nich mieli torebki z drugim śniadaniem. Żaden nie zrobił ani kroku w stronę Johna. Kiedy znalazł się tuż przy nich, Steve Ritter uśmiechnął się do niego.

— No, jak tam, John, spałeś w studio, co? W domu ci było trochę za... nieswojo?

Jak we śnie Johna poza łagodnym uśmiechem kryła się groźba.

— Znasz chyba tych ludzi, John? — rzekł Steve wskazując głową na mężczyzn. John rzeczywiście niektórych poznawał. — Byli na tyle uprzejmi, że poświęcili tej sprawie

sporo czasu. Zresztą nie tylko oni, jest jeszcze mnóstwo innych. To zaledwie jedna z drużyn ratowniczych. Przyszliśmy po ciebie, John. Może chcesz się przyłączyć. Pewnie będziesz wolał zająć się jej szukaniem.

Jeden z mężczyzn splunął w trawę. Spalone wiatrem twarze, niebieskookie, całkowicie pozbawione wyrazu, były zwrócone ku Johnowi.

— Więc nie ma żadnej wiadomości? — spytał.

— Nie, bracie. Obawiam się, że nie. Żadnej odpowiedzi z dalekopisu. — Steve podciągnął dżinsy. — No, idziemy, chłopcy. W drogę. Ale zaraz, chwileczkę. Czyś ty jadł śniadanie, John?

— To nieważne.

— Co nieważne? Bardzo ważne. Przy takich nerwowych przeżyciach... Nie możesz na czczo. — Steve odwrócił się do pozostałych. — Prawda, chłopcy? Powinien wypić chociaż kubek kawy.

Wszyscy uśmiechnęli się. Jeden z mężczyzn roześmiał się głośno i zaraz stłumił śmiech.

— No, pewnie, Steve, pewnie. Niech się chłop napije kawy.

Steve podszedł do Johna i objął go ramieniem.

— Idź zaraz do kuchni i zrób sobie coś do jedzenia. O nas się nie martw. Musisz nabrać sił. Przed nami szmat drogi. A my zaczekamy.

Pies znów zaczął szczekać. Ktoś cisnął w niego patykiem. Wciąż obejmując Johna ramieniem, Steve poprowadził go w stronę domu. Pozostali nie odrywali od nich oczu. Przy drzwiach kuchennych Steve puścił Johna i zawrócił. Mężczyźni porozsiadali się na trawie.

Ugotował sobie kawy i usmażył parę jajek. Czemu by nie? Musiał przecież jeść. Z trawnika dochodziły głosy. Czasem pies zaczynał szczekać i wtedy ktoś go strofował.

Skończywszy śniadanie wyszedł kuchennymi drzwiami. Mężczyźni wstali i zbili się w grupkę.

— Zjadłeś, John? — spytał Steve. — Lepiej ci teraz?

— Zupełnie dobrze.

— No to świetnie. Co teraz powiesz? Ostatecznie ty musisz wiedzieć najlepiej. Mówisz, że na pewno była pijana, że miewała momenty zamroczenia. Wyszła z domu z walizką. W którą stronę mogła pójść?

Sarkazm w jego głosie był zawoalowany, ale ludzie na niego zareagowali. Jeden uśmiechnął się. Zaczęli zachowywać się troszeczkę swobodniej. Dla nich też szukanie Lindy żywej było farsą, ale robili, jak chciał Steve, bawili się w tę koszmarną grę' w kotka i myszkę, póki Steve nie da znaku.

— Uważasz, że w tę stronę? — Niebieskie oczy Steve'a Rittera patrzyły poważnie, kiedy wskazywał na jabłonie, ku lasowi. — Czy może w tę? — pokazał na drogę. — Oczywiście, ponieważ znaleźliśmy walizkę na śmietnisku, wygląda na to, że właśnie tam trzeba szukać. Ale tamtym terenem zajmuje się inna grupa. Może w lesie? — Zwrócił się do towarzyszy: — Jak myślicie, chłopcy? Zaczniemy od przeszukania tego lasu?

— Dobrze, Steve. Zacznijmy od lasu.

— Musimy i tak przejrzeć cały swój teren, no nie?

— Jak każesz, Steve. Ty tu jesteś szefem.

Jeden z mężczyzn odszedł w bok i stanął przy cyniach Lindy, zaglądając przez otwarte drzwi do studio.

— Ojej — rzekł — spójrzcie na te obrazy poustawiane pod ścianami. On ich musi mieć ze cztery tuziny.

— No, chłopaki, zbierać się, idziemy! — zawołał Steve.

Ruszyli w drogę między jabłoniami, w dół zbocza porosłego młodniakiem, przez strumyk i w las.

W chwili gdy zaczęły się poszukiwania, Steve okazał powagę i przebiegłość dowódcy plutonu. Rozstawił ludzi w tyralierę i posuwali się wolno naprzód, nie pomijając najmniejszego skrawka ziemi. Drzew nie wycinano tu od lat; wielkie klony, świerki, buki piętrzyły się nad pomniejszymi

drzewami, wielkimi odłamami skał, powalonymi pniami i obłamanymi przez burze konarami. Z góry przebijały się, promienie słońca. Tajemniczy, wilgotny zapach lasu, który John tak lubił i zawsze łączył w myślach z dziećmi, przesycał powietrze.

Nikt nic nie mówił. Posuwając się na prawym skrzydle tyraliery John widział od czasu do czasu w wysokim poszyciu sylwetkę kroczącego obok mężczyzny i słyszał trzask gałązek pod stopami. Ale poza tym cisza była idealna i z wolna, kiedy tak szedł wciąż naprzód pochylając się pod gałęziami i przełażąc przez zwalone pnie, zaczął go ogarniać strach. Nie był to strach, że znajdzie Lindę leżącą pod skałą, koło zwalonego pnia, w plamie słońca; był to, strach przed tymi ludźmi. Oni nie szukali żywej Lindy. Nawet nie umarłej. Szukali ciała Lindy zamordowanej, zakopanej w płytkim grobie. To było polowanie na niego. I chociaż on był jednym z myśliwych, był również z góry upatrzoną zwierzyną.

„Coś ty zrobił z żoną?"

Przemierzyli cały teren po tej stronie drogi do Archertown, a potem przeszli na drugą stronę w jeszcze większą połać lasu. Jedynym napotkanym domem był schludny drewniak, w którym mieszkały z matką Emily i Angela. John znał dobrze te okolice — wzgórza, urwiska, strumyki, wysokie skały — lecz nigdy nie uświadamiał sobie w takim stopniu ich ogromu i pustki. Po upływie kilku godzin Steve okrzyknął postój. Zgromadzili się w jednym miejscu i rozpakowali jedzenie. Prawie nie rozmawiali, rzucali tylko od czasu do czasu pojedyncze słowa. Zjadłszy zapalili papierosy i pokładli się na chwilę pod drzewami.

Potem Steve dał hasło:

— No, chłopaki. — I poszukiwania zaczęły się na nowo.

Była już prawie czwarta, gdy zatoczywszy wielkie półkole wyszli znów na drogę do Archertown, zaledwie o paręset metrów od domu Johna. Między drogą a domem była

zadrzewiona łąka należąca do farmy. Zamiast pójść drogą Steve wyprowadził ich na tę łąkę. Szli teraz już bliżej siebie, znużeni, spoceni w upale popołudniowego słońca. Nagle John ujrzał dach swego domu. Nareszcie ta część koszmaru skończona. Ale może jakaś inna ekipa ratownicza albo ludzie przeszukujący jezioro... Gdy przyjdą do domu, Steve zadzwoni i dowiedzą się, czego, się mają dowiedzieć.

Przed nimi biegł pies, ukryty tak w wysokich chwastach, że wydać było tylko jego długi chwiejący się ogon. Szli teraz wolniej, odprężeni. Schodzili z pochyłości do strumienia, który dzielił ich od domu. Wtem ogon biegnącego przodem psa znieruchomiał i zaraz potem brązowe kłaki zaczęły na nim podrygiwać jak na alarm. Pies zaszczekał. Wszyscy rzucili się naprzód. John biegł razem z innymi czując, że coś mu ściska żołądek. Steve Ritter przepchnął się do przodu. Stał patrząc w dół, a pozostali stłoczyli się dokoła.

Pełen najokropniejszych przeczuć John zmusił się, żeby też popatrzeć sponad czyichś ramion. Ujrzał niewielki krąg wypalonej trawy. W środku tego kręgu pies obwąchiwał kawałek — czego? — jakiegoś materiału? Części ubrania?

Steve podniósł to i rozwinął ukazując parę dżinsów. Obie nogawki były spalone do kolan. Reszta cała, ale poplamiona różnokolorowymi farbami.

Uczucie ulgi rozwiało się natychmiast, kiedy John poznał swoje własne dżinsy. Dżinsy, które trzymał zawsze w studio. Dżinsy, których tam nie znalazł tego ranka.

To niemożliwe. Chyba że ktoś zrobił mu złośliwy kawał. Nagle doznał olśnienia. Jeśli je ktoś tu umieścił, nie Linda, to...

Jak na komendę mężczyźni rozstąpili się, odsłaniając Steve'a Rittera, który stał z dżinsami w rękach i patrzył prosto Johnowi w oczy.

— Ktoś chciał spalić dżinsy na terenie twojej farmy, John.

Nie odwracając oczu John starał się zwalczyć strach wywołany nowym podejrzeniem. Nie Linda, ale... kto?

Steve przyglądał się teraz spodniom. Niebieskie dżinsy poplamione farbą. Niebieską, zieloną, czerwoną — taką, jakiej używa malarz do malowania obrazów. Co ty na to, John? Kto mógłby palić te dżinsy na twoim terenie? Czyje one mogą być, takie poplamione farbą...

Wszystkie czerwone, krągłe, niebieskookie twarze były zwrócone do Johna. Otaczające go koło jakby się zacieśniło o ułamek cala.

— Co ty na to, brachu? — Steve podniósł dżinsy wyżej. — Mniej więcej twój rozmiar, co?

Kiedy przestał mówić, zapadła nagła, złowróżbna cisza. Potem jeden z mężczyzn krzyknął:

— Każ mu je przymierzyć, Steve.

Pozostali roześmieli się i podchwycili ten pomysł.

— Tak, Steve, każ mu przymierzyć. Zobaczymy, czy pasują

— One są moje — rzekł John. — Szukałem ich dziś rano w studio. Nie mogłem znaleźć. Ktoś musiał je tu przynieść.

— Ale są twoje?! — wykrzyknął Steve. — Przyznajesz, że są twoje?

— Niech je przymierzy! — zawołał któryś znowu. — Skąd wie, że na pewno jego? Może jakiś inny malarz chciał tu spalić swoje dżinsy.

Krąg zacieśnił się jeszcze bardziej. Wrogość, napięcie i niemalże seksualne podniecenie, nie odstępujące ich przez cały dzień, zaczęły się wzmagać. Steve patrzył to na Johna, to na mężczyzn. Rysy mu stężały jak u przywódcy, który czuje, że zaczyna tracić władzę nad swoimi ludźmi.

— Słuchajcie, chłopcy, jeżeli facet mówi, że są jego...

— Niech mierzy! Niech mierzy! — krzyczeli chórem. — O co chodzi, panie Hamilton! Coś pan taki wstydliwy? Boi się pan przy nas rozebrać?

Jeden z mężczyzn skoczył i chwycił Johna za pas. John

rzucił się na niego. Steve Ritter krzyknął, ale nie potrafił ich pohamować. Runęli wszyscy na Johna i powalili go na siemię. Przydusili go twardymi, spoconymi ciałami. Czuł, jak czyjeś ręce rozpinają mu pasek i zdzierają z niego spodnie. Trzech na nim usiadło, a pozostali rozebrali go, wkładając mu dżinsy. Puścili go wreszcie i otoczyli kołem. John wstał.

— Pasują! — krzyknął jeden z mężczyzn. — Leżą jak ulał!

Ryknęli rubasznym, męskim śmiechem i zaraz, równie nagle umilkli.

Czując mdłości z obrzydzenia i gniewu, John spojrzał na swoje kolana wystające spod opalonych nogawek. Wśród narastającej ciszy ściągnął dżinsy i włożył z powrotem spodnie.

Gorączka już opuściła mężczyzn. Przestępowali w zakłopotaniu z nogi na nogę. Ktoś zakaszlał. Steve Ritter, strapiony, schylił się i podniósł dżinsy. Ci ludzie odmówili mu posłuszeństwa, więc nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

— Ej, wy — rzekł z błyskiem w oczach i wskazał kciukiem w stronę szosy. — Zabierać się. Robota skończona. Jazda stąd do wszystkich diabłów!

Chyłkiem, milczkiem, wstydząc się samych siebie, mężczyźni ruszyli jeden za drugim przez łąkę do szosy i dalej, do miejsca, gdzie stały ich samochody.

Steve Ritter stał z dżinsami w ręku. Wolno odwrócił się do Johna.

— Tak — rzekł. — Te dżinsy, bracie, pójdą do kapitana Greena. Ja już do tego nie mam nic. Teraz kapitan Green tu rządzi. — W blasku jego oczu widać było cień dawnej przyjacielskiej żartobliwości. — Pewnie się zdziwi. Będzie się zastanawiał, jak to się stało, że w dniu zniknięcia twojej żony ktoś spalił twoje dżinsy na łące. Po co je palił? — pomyśli. Może coś na nich było — coś, czego lepiej żeby ludzie nie widzieli. Tak sobie pomyśli. A oni, policja, mają laboratorium w Springfield. Wszystkie najnowocześniejsze środki.

Będą się mogli przekonać. Nawet jeżeli jest tylko jedna jedyna najmniejsza plamka...

Urwał nagle, patrząc wyzywająco na Johna. Gniew palił Johna jak kwas. Ktoś zrobił mu to umyślnie. Steve? „Nie chciałam tego... ale on mnie zmusił... To jest jak choroba..." Powiem mu to teraz w oczy — myślał. Byłeś kochankiem mojej żony. Zamordowałeś ją. A teraz chcesz obwinie o morderstwo mnie. Ale to nieprawda. Steve nie był kochankiem Lindy. To było kłamstwo zrodzone ze złośliwości alkoholiczki. I po co mówić o morderstwie? Czy są do tego jakieś podstawy oprócz czczych domysłów wroga? Spłynął na niego chłodny spokój. Ważne są tylko stwierdzone fakty, prawda. Trzymać się prawdy. Prawda to jedyna broń, którą mógł zwalczyć koszmar.

— Mówiłem ci — rzekł — że nie wiem nic o tych dżinsach, prócz tego, że ktoś je wziął z mego studia. Muszę ci, zdaje się, jeszcze raz powtórzyć, że wiem nie więcej niż ty, co się stało z Lindą.

— Nie więcej niż ja? — usta Steve'a rozszerzyły się w uśmiechu. — Może to i prawda, John. Może istotnie wiesz nie więcej niż ja, ci wszyscy faceci, kapitan Green i całe Stoneville. Może wszyscy wiemy tyle samo. — Dotknął lekko ramienia Johna. — Myślę, bracie, że kapitan Green dziś już się do ciebie nie odezwie. Nie spaliłeś, mówisz, tych dżinsów. Nie wiesz nic, żeby pomóc w poszukiwaniach. Nie, pewnie kapitan Green nie odezwie się do ciebie, chyba że przyjdzie jaka wiadomość z dalekopisu albo załatwią się z tymi dżinsami w laboratorium. Wtedy, oczywiście, wiedząc, że to twoja własność, zaraz cię zawiadomi. Po prostu grzecznościowo.

Dłoń dotykająca ramienia Johna zaczęła go lekko głaskać.

— Więc... nic się nie przejmuj i maluj sobie swoje obrazy. Nie gryź się tylko, bo ani się obejrzysz, a sam będziesz

potrzebował psychiatry. Na mój rozum nie ma żadnego powodu do zmartwień. Linda na pewno niedługo się pokaże. Wytrzeźwieje, wyparuje z niej cały ten alkohol i ani się spostrzeżesz, jak już tu będzie. „John, mój kochany — jego głos zabrzmiał falsetem — nie wiem, jak mogłam to zrobić... napisać taki straszny list, zniszczyć te piękne obrazy w pijackim szale. Och, przebacz mi, kochany..."

Nie przestając się uśmiechać, obrócił się na pięcie i ruszyłprzez łąkę z osmalonymi dżinsami w ręku.

12.

Wszedłszy do domu John usłyszał potrójny dzwonek — jego sygnał w telefonie towarzyskim. Nie podniosę słuchawki — pomyślał. To na pewno ktoś z tych ludzi Ritiera — czerwonogębych, z dłońmi jak połcie słoniny. Po licha mi oni. Niechaj przez jakiś czas przynajmniej nie muszę o nich myśleć. Znów zabrzmiały trzy cieniutkie, dźwięczne dzwonki. W nagłym przypływie irracjonalnego optymizmu podbiegł do telefonu.

Jakiś męski głos — huczący, pedantyczny, a przy tym znajomy...

— Halo, halo. Czy to pan Hamilton?

— Tak.

— Mówi George Carey.

To było zaskoczenie. Ze wszystkich ludzi, którzy go uważali za pariasa, starszy pan Carey był najpierwszym i najznakomitszym.

— Słucham pana.

— Z przykrością dowiedziałem się o pana żonie. Z ogromną przykrością. Bardzo nieprzyjemna sprawa. — Głos jego brzmiał sztucznie i niezręcznie, jak gdyby Carey czuł Potrzebę jakiegoś konwencjonalnego komentarza, ale uważał

to za rzecz wielce niesmaczną. — Szukają jej, jak mi wiadomo. Wydaje się, że robią wszystko, co można.

— Tak — rzekł John.

— Dzwonię do pana, bo jak zapewne pan pamięta, dzisiaj wieczorem o ósmej odbędzie się posiedzenie rady miejskiej. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to bardzo... hm... całkiem odpowiednia dla pana chwila, ale oboje z żoną jesteśmy przekonani, że jako stały mieszkaniec tutejszych okolic pragnie pan, by Stoneville zachowało swój charakter, co bardzo jest ważne dla nas wszystkich. Jak pan wie, walka będzie zacięta. Każdy głos ma znaczenie. — Pan Carey chrząknął. — Niedawno, panie Hamilton, zaszło między nami małe nieporozumienie. Ale zgodzi się pan ze mną, sądzę, że to nic poważnego. Oboje z żoną mamy nadzieję, że nie zmienił pan stanowiska odnośnie sprawy hoteli i przybędzie pan dziś wieczór spełnić swój obywatelski obowiązek. To znaczy, że odda pan głos przeciw sprzedaży północnego brzegu.

Pierwszą reakcją Johna było zdumienie, że w tym zwariowanym świecie pan Carey mógł jeszcze się troszczyć o to, czy na północnym brzegu jeziora ma być zbudowany hotel, czy nie. Potem do tego uczucia dołączyło się oburzenie wywołane bezczelnością starego. „Niedawno, panie Hamilton, zaszło między nami małe nieporozumienie". Cyniczny symbol przeprosin. Ugłaskać go. Może to, co o nim mówią, jest prawdziwe. Może zamordował żonę. Ale głos to zawsze głos.

Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, pan Carey ciągnął dalej:

— Oczywiście, nie wymagamy od pana żadnej obietnicy. Chcę tylko dać panu do zrozumienia, że liczymy na pana.

Rozległ się stukot odkładanej słuchawki na drugim końcu linii.

John wszedł do saloniku i usiadł na kanapie. Próbował myśleć o Lindzie. Gdzie ona jest? Co się z nią stało? Nie

mógł jednak wzbudzić w sobie żadnych cieplejszych uczuć do niej i nawet nie potrafił przypomnieć sobie wyraźnie jej twarzy. Jakby nigdy nie istniała, jakby była legendarną postacią, która za jedyny swój cel miała stworzyć mu ten nowy nierzeczywisty świat.

Uczucie pogrążenia w letargu, które w nim narastało przez cały dzień, było silniejsze od gniewu. To — myślał — miało się stać jego największym wrogiem — to wrażenie beznadziejności, nieomal zguby. Co się stało, to się nie odstanie, nie pozostaje nic innego jak ulec. Była to postawa człowieka pogodzonego z klęską. Miasteczko wybrało go na swą ofiarę i przez to właśnie jakby wstrzyknęło mu dawkę paraliżującego serum, które udaremniło wszelką akcję z jego strony. No bo i cóż można zrobić? Od chwili znalezienia listu sieć zaciska się dokoła niego cal po calu. Walizka, dżinsy...

Teraz najprawdopodobniej po miasteczku rozchodzi się wiadomość o dżinsach. Zabił ją. Miał na sobie wówczas dżinsy. Chciał je potem spalić. Sam napisał ten list. Sam pociął własne obrazy. Sam spakował jej walizkę, żeby upozorować odejście, i cisnął na wysypisko. Pojechał z Bradem, nieświadomym wspólnikiem, do Nowego Jorku, żeby zrobić sobie alibi. Starał się wmówić w policjantów, że jego żona była wariatką... Takie słowa padają w tej chwili na poczcie, w sklepie. Na ulicach, pod klonami, stoją grupki ludzi. Pomyślał, jak to będzie na posiedzeniu rady miejskiej, kiedy zgromadzą się wszyscy, z całego miasteczka. Ogarnął go naSÍ§ strach przed tłumem — tłumem czerwonych twarzy, ciężkich, spoconych ciał, grupą tamtych ludzi w ogromnym powiększeniu. Przez chwilę czuł się, jakby już tam był — osaczony przez nich w sali zebrań.

Uciec stąd — myślał. Wsiąść do samochodu i gnać na złamanie karku. Jeszcze przynajmniej istnieje przestrzeń. Odgrodzić się milami odległości od tego koszmaru.

W dziwny sposób ocaliło go władnie to chwilowe poddanie

się histerii: wzbudziło w nim gniew, który pozwolił mu otrząsnąć się z letargu. Oni właśnie chcą, żeby uciekł. To całkiem oczywiste. Niechaj spróbuje uciekać. Wtedy rozpoczną się łowy. Ale dlaczego miałoby być, jak oni chcą? Czemu miałby dać sobie wmówić tę winę? Nic nie zrobił. Nie może o tym zapomnieć. Oprze się im. Pojedzie na posiedzenie rady. Wejdzie między nich.

Zadzwonił telefon. Podszedł odebrać niemal z lekkim sercem.

— John? — To Vickie. Jej spokojny, naturalny głos tak doskonale odpowiadał jego nowemu nastrojowi ufności, jakby przez opanowanie strachu sam powołał go do życia. — Słuchaj, jestem oburzona. Przed chwilą dowiedziałam się, co ojciec zrobił. Dzwonił do ciebie, prawda? Chciał cię zmusić, żebyś przyjechał głosować?

— Tak, dzwonił — rzekł John.

— Co za bezczelność. A wszystko dlatego, że jest przygnębiony sprawą tego jeziora. Nawet się nie zastanawia, że może komuś zrobić przykrość. John, przepraszam cię za całą rodzinę. Oczywiście nie przejmujesz się jego gadaniną...

— Pójdę na to zebranie — rzekł John, nagle powziąwszy decyzję.

Usłyszał okrzyk zdumienia.

— Ale... ale czy zdajesz sobie sprawę, jak ludzie są nastrojeni? Wiesz, co mówią w miasteczku? Co...?

— Wiem — powiedział John. — Dlatego właśnie idę. Nie mam nic do ukrycia. Dlaczego mam się zachowywać, jakbym miał nieczyste sumienie?

— Ale... John! Naprawdę chcesz to zrobić? Naprawdę nie dasz się zastraszyć?

— Nie mogę postąpić inaczej.

— Tak. Rozumiem cię. Więc jedź w takim razie z nami. Ze mną i z Brademem. Będziesz przynajmniej w nas miał oparcie.

Poczuł wzruszenie i wdzięczność dla niej.

— Ale, Vickie, co na to Brad?

— Nie bądź niemądry, mój drogi. Jak Brad się dowie, że idziesz, nie będzie chciał cię puścić samego tak jak i ja. Przyjedź do nas zaraz. Zjesz coś z nami, a potem pojedziemy razem.

Wykąpał się, przebrał i pojechał do Careyów. Zdumiewające, jak zdołał odzyskać równowagę. A gdy Alonso Phillips, uśmiechając się jak zawsze, wprowadził go do dużego salonu, znalazł się znowu w świecie zwyczajnych, codziennych wymiarów. Vickie i Brad zachowywali się jak zwykle — nie wspominali o sprawie i nie wyrażali współczucia. Brad nalał martini, które wypili na tarasie w przedwieczornym blasku słońca zawieszonego nad drzewami, za połyskującą taflą jeziora; na obiad przeszli do stołowego.

Wszystko to, jak widział, było z inicjatywy Vickie. Brad mimo swoich nienagannych manier robił jedynie to, co mu kazała żona. Miał w sobie za wiele z ojca, by go można było posądzić o zbyt dużą wyobraźnię. John wiedział również, że robiąc ten gest Vickie sama nie wyzbyła się całkowicie względem niego podejrzeń. Ale to nie było teraz ważne. Dla niej był on człowiekiem w tarapatach, którego nie wolno potępiać, nim się nie sformułowało podejrzenia — człowiekiem potrzebującym pomocy.

Pili właśnie kawę w salonie, kiedy w hallu rozległ się głos:

— Witajcie, kochani. Jesteście gotowi? — W drzwiach ukazała się Roz Moreland. — Nie marudźcie. Co powie tata Carey, kiedy jego oddział się spóźni, i...

Zobaczyła Johna. Głos zamarł jej w gardle. Stała patrząc na niego z teatralną wprost mieszaniną zdumienia i odrazy.

— Och, ja... myśleliśmy z Gordonem, że pojedziemy wszyscy razem. Sądziliśmy...

Wycofała się spiesznie za drzwi. John wstał.

— Przepraszam bardzo. Jeśli zamierzaliście jechać z Morelandami...

Brad miał nieszczęsny wyraz twarzy. Vickie powiedziała szybko:

— Nie bądź niemądry. Nie mieliśmy żadnych planów. Oni po prostu zajechali do nas po drodze. To śmieszne z jej strony.

Nie spiesząc się dopili kawę. Było po ósmej, gdy Brad odstawiając filiżankę i unikając wzroku Johna rzekł:

— Jesteś zdecydowany jechać, John?

— To jedyne, co mogę zrobić.

— Dobrze. Jesteśmy z tobą. — Zwrócił się do Vickie: — Jesteś gotowa?

— Tak.

— To chodźmy. Samochód stoi przed domem.

Pojechali do miasteczka. Już na kilkaset stóp przed kościołem stały zaparkowane samochody. Kiedy wysiedli i zaczęli iść w ciemności pod gałęziami wiązów w stronę sali zebrań, John widział ludzi stojących grupkami przed wejściem do sali i palących papierosy. Nic nie wskazywało na to, żeby jego osoba budziła jakieś szczególne zainteresowanie. Słychać było wesołe okrzyki powitania:

— Jak się masz, Joe! — wszystko tak jak zwykle.

Minęła ich jakaś kobieta w jasnej sukni. Vickie zawołała:

— Dobry wieczór, pani Seely!

Kobieta, obrzuciwszy ich roztargnionym spojrzeniem, odparła:

— Dobry wieczór, pani Carey.

A jednak w miarę jak zbliżali się do świateł nad drzwiami prowadzącymi do suteren kościoła, John czuł rosnące w nim i w Careyach napięcie. Zupełnie jakby był iskrą posuwającą się po loncie, cal po calu, coraz bliżej ładunku dynamitu. Doszli już prawie do pierwszej grupki ludzi u wejścia. Nagle

John dostrzegł na środku ulicy wysoką postać kierującego ruchem. Steve Ritter. W tej samej chwili mijali grupkę mężczyzn. Brad szedł trochę z przodu. Jeden z mężczyzn zawołał z uśmiechem:

— Jak się masz, Brad, co...

Nagle dostrzegł Johna i urwał. Inni również przestali rozmawiać. Automatycznie przysunęli się bliżej, tworząc półkole tarasujące wejście. Ten nastrój natychmiast udzielił się reszcie ludzi stojących u drzwi. Zapadła cisza — wszyscy uczynili ruch, jakby się chcieli przybliżyć. Gdzieś z tyłu John usłyszał stłumiony głos jakiejś kobiety i zaraz zaszemrały ledwo dosłyszalne szepty:

— To on... To Hamilton... Hamilton... Hamilton...

Wszystko to trwało zaledwie parę sekund. Brad szedł przed Johnem. Vickie u jego boku. Brad nie zatrzymał się przed zwartym półkolem mężczyzn, które rozstąpiło się, gdy podszedł bliżej.

— Hamilton... Hamilton...

John słyszał wciąż za sobą niewyraźne szepty. Obrzucając go szybkim spojrzeniem Brad mruknął:

— Może to jednak nie był najlepszy pomysł?

— Wszystko w porządku — rzekł John.

— Tak — powiedziała Vickie.

Minęli drzwi i znaleźli się w jasno oświetlonej suterenie.

13.

W pierwszej chwili John ujrzał całą scenę z wszystkimi szczegółami, jak widzi się namalowany obraz: drewniane kabiny do głosowania wzdłuż tylnej ściany, długi stół, za którym siedzieli urzędnicy miejscy z ważnymi minami, odświętnie ubrani w garnitury i krawaty, a przed nimi mieszkańcy Stoneville — powykrzywiani jak korzenie drzew starcy, krzepcy farmerzy, młodzieńcy, gospodynie,

dziewczęta w jaskrawych letnich sukienkach — tłoczyli się wokół drewnianych słupów podtrzymujących podłogę kościoła. Po prawej stronie stali agresywnie wyniośli państwo Carey, a u ich boku satelici Morelandowie. Sekretarz miejski — ponury starszy pan, który poprzedniego wieczoru był w lodziarni — stał, mówiąc coś mętnie, szeleszcząc papierami i spoglądając co chwila na zgromadzonych przez okulary w stalowej oprawce. Typowa pogodna scena z życia Nowej Anglii, zgromadzenie poważnych zapaleńców, ludzi statecznych i ciekawskich, którzy przyszli, by spełnić obowiązek obywatelski. Panujący tu klimat sprawiał wrażenie umiarkowanego, w którym nic bardziej dramatycznego od pompatycznej mowy pana Careya przeciw „innowacjom" nie mogło się zdarzyć.

Ale ludzie, którzy przedtem stali na zewnątrz, zaczęli się teraz tłoczyć do środka, cisnąć naprzód, wnosząc z sobą podniecenie. Popchnięto Johna na stojącą przy jednym ze słupów dziewczynę. Gdy się odwróciła, w oczach jej widać było wyraz zdumienia. Zdławiła cisnący się na usta okrzyk. Wszyscy odwrócili głowy w ich stronę. Stłumiony okrzyk dziewczyny został podjęty przez innych, niby jakieś dziwaczne echo. Przez chwilę dźwięk ten wisiał w powietrzu, a potem nagle zamarł i zapanowała kompletna cisza, w której słychać było jedynie monotonny głos sekretarza miejskiego. Traktujący ogromnie serio swoje obowiązki starszy pan nie dostrzegł nic. Stał patrząc przez okulary w swoje zapiski, a brzmiące teraz aż groteskowo głośno słowa nie przestawały płynąć.

— Myślę więc, że wszyscy już wiedzą, po co zebraliśmy się tutaj, i zapewne każdy z obecnych powziął już decyzję — za albo przeciw. Ale zanim poddamy sprawę pod głosowanie, chcemy umożliwić ludziom, którzy mają coś do powiedzenia, aby... to znaczy...

Urwał. Zdał sobie sprawę, że coś się kryje w tej nagłej ciszy, która zapanowała na sali. Podniósł wzrok znad notatek

i zaczął się rozglądać, nie mogąc odkryć źródła dziwnego zakłócenia. Wreszcie spostrzegł Johna. Natychmiast szczęka mu opadła i oczy nabrały identycznego wyrazu jak u innych. John poczuł się, jakby go zewsząd otaczały same oczy — oczy przeszywające go na wskroś, nieustępliwe, błyszczące, groźne w swym braku wyrazu. Doskonale uświadomił sobie tę grozę, ale teraz, gdy przyjął wyzwanie, czuł nieoczekiwany przypływ pewności siebie wynikający z pogardy dla nich. Gdyby był jednym z nich, nigdy by w podobny sposób nie zareagowali. Ale on był inny, „zwariowany artysta", obcy, którym zawsze pogardzali w swych ciasnych parafialnych móżdżkach. Wiedział o tym i postępując im na przekór, odzyskał szacunek dla samego siebie.

Ciszę przerwał głos jakiegoś niewidocznego w tłumie dziecka.

— Pan Hamilton — rozległo się piskliwie.

Powtórzyło się wrażenie echa: „Hamilton... Hamilton..." — Dźwięk ten był stłumiony, niemal jak szept, ale kryła się w nim zapowiedź powstrzymywanego jeszcze wybuchu. Sekretarz miejski ocknął się i zastukał w stół młotkiem.

— A zatem — rzekł podejmując urwany wątek — jako sekretarz miejski otwieram dyskusję...

John zobaczył, jak starszy pan Carey energicznym ruchem wojskowego uniósł w górę rękę.

— Pan Carey... — rzekł sekretarz.

Nim jednak pan Carey zdążył coś powiedzieć, jakiś mężczyzna wrzasnął od drzwi:

— Ja mam pytanie! Gdzie jest pani Hamilton?! Natychmiast podniosła się wrzawa.

— Gdzie pani Hamilton?

— Gdzie ona jest?

— Gdzie pani Hamilton?

Okrzyk wpadał w okrzyk, aż wreszcie wszystkie dźwięki zlały się w jeden niezrozumiały bełkot. Stary sekretarz walił młotkiem w stół. Dwaj radni siedzący po jego bokach wstali

i zaczęli nawoływać do porządku. Nikt jednak nie zwracał na nich uwagi. W morzu twarzy, skierowanych w swoją stronę, John ujrzał matkę Emily i Angeli stojącą w poszturchującym się tłumie. Pani Jones była bardzo zmieniona: oczy jej błyszczały drapieżnym podnieceniem. Jakiś mężczyzna, po jego lewej ręce, tuż za Vickie, coś wywrzaskiwał. John widział jego szeroko otwarte zaokrąglone usta, ale w tej kakofonii nie mógł usłyszeć ani słowa.

Spojrzał na Vickie i Brada. Skóra wokół nosa Brada była białawo-szara. Vickie pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się dla dodania mu otuchy. Pokrzepiło go to. Był pewien, że da sobie radę. W chwili gdy ryk osiągnął punkt kulminacyjny i zaczął powoli opadać, John podniósł obie ręce nad głowę.

Efekt był nadzwyczajny. Natychmiast wrzawa ucichła i zapanowało milczenie jak pierwej — surowe, niepewne, czujne. Młotek sekretarza raz jeszcze uderzył w stół. Dwaj radni z wyrazem oburzenia rozejrzeli się po sali i usiedli ciężko.

— Dobrze — powiedział John. — Nie przyszedłem tutaj odpowiadać na pytania. Przyszedłem na posiedzenie rady miejskiej, bo mam do tego prawo jak każdy. Ale jeżeli ktoś chce mi zadać jakieś pytanie w związku z moją żoną — proszę bardzo, odpowiem.

Nie spodziewali się tego. Zapanowała konsternacja. Rozległ się donośny, grzmiący głos pana Careya.

— To jest oburzające. Jesteśmy cywilizowanym społeczeństwem. Zebraliśmy się tutaj, żeby...

Nagle wichrzyciel spod drzwi wrzasnął znowu:

— Gdzie pani Hamilton?! — Słowa te na nowo rozpętały gorączkę, zagłuszając pana Careya.

— Gdzie ona jest?!... Gdzie pani Hamilton?

Stojąca obok Johna kobieta chwyciła go za ramię. Czuł jej paznokcie wpijające mu się w ciało.

— Gdzie jest pani Hamilton?

Zapadło milczenie — milczenie, którego ośrodkiem był on. Wyrwał ramię z pazurów kobiety.

— Nie wiem, gdzie ona jest — rzekł.

— Nie wie... Mówi, że nie wie, gdzie ona jest...

Poprzez gwar przebił się głos młodego człowieka w żółtej koszulce sportowej:

— Skąd się wzięła walizka na wysypisku?

— Tego też nie wiem — odparł John.

— Czemu paliłeś swoje dżinsy na łące? — Były to słowa pierwszego mężczyzny, tego spod drzwi, głośne, szydercze, celowo podsycające szał.

Powstała nieopisana wrzawa. Starając się ją przekrzyczeć John zaczął:

— To nie ja spaliłem dżinsy. To ktoś naumyślnie... — ale jego słowa zatonęły w zgiełku. Wyczuł mgliście, że nie wszyscy są przeciwko niemu. Ktoś krzyknął:

— Zostawcie go!

W kącie sali utworzyły się dwie przeciwne grupy. Ludzie popychali się i poszturchiwali. Ale ten podział tylko powiększył napięcie. Jakiś kobiecy głos, cienki i przenikliwy, przebijał się nad inne:

— Panie Hamilton, niech pan powie, czy to pan zamordował żonę?

Wówczas tłum oszalał. Jakiś mężczyzna skoczył do Johna. Brad rzucił się w obronie. Ludzie stanowili jedną miotającą się masę. Jakaś kobieta wrzasnęła. John usłyszał głuche uderzenie jakiegoś ciała o drewniany słup.

Brad chwycił go za ramię.

— Musimy się stąd wydostać.

John, opanowany dzikim podnieceniem, chciał zostać i walczyć z całym tłumem, lecz wiedział, że Brad ma słuszność. Stawił im przecież czoło. Pokazał, że się nie boi. Skierował się ku drzwiom. Vickie natychmiast znalazła się przy nim, przyciśnięta do niego, z twarzą o parę cali od jego twarzy. Z ogromnym wysiłkiem zdołała się odwrócić. Ktoś

znowu rzucił się na Johna. John odepchnął napastnika. Brad zgubił się w tłumie. Vickie przedzierała się ku drzwiom. W pewnej chwili trzech mężczyzn ruszyło na Johna, lecz zanim zdołali go dosięgnąć, Vickie okręciła się i objęła go, zakrywając całym ciałem.

Niosąc ją groteskowo w ramionach John przepychał się do drzwi. Posuwając się cal po calu wśród wrogiego żywiołu, ujrzał przed sobą Steve'a Rittera, który właśnie nadchodził. Oczy gorzały mu pod czapką policyjną, w ręku trzymał gumową pałkę. Jego pojawienie się wywarło natychmiastowy efekt. W jednej chwili wrzawa za plecami Johna zaczęła się uciszać i za parę sekund w sali zapanował spokój.

John puścił Vickie i przedarli się oboje do Steve'a. Gdy go mijali, na twarzy Steve'a rozlał się szeroki uśmiech.

— Powinieneś posłuchać mojej rady, John, i siedzieć w domu.

— Mógł pan do tego nie dopuścić — rzekła Vickie z oburzeniem. — Czemu nie przyszedł pan wcześniej? Musiał pan słyszeć tę wrzawę.

Nie czekając na odpowiedź pociągnęła Johna za sobą z oświetlonego miejsca przed drzwiami.

— Bydło — powiedziała. — Obrzydliwe bydło.

Podbiegł do nich Brad. Miał oderwany kołnierzyk od koszuli. Na zewnątrz, w ciszy spokojnego wieczoru, ten oberwany kołnierzyk wyglądał jakoś nieprawdopodobnie, jakby należał do innego świata.

— Zawiozę cię do nas, żebyś mógł zabrać swój samochód — rzekła Vickie.

Kiedy to mówiła, z drzwi wypadli państwo Careyowie.

— Vickie... Brad...

Odwrócili się, by na nich zaczekać. Pan Carey dyszał ciężko. Twarz miał purpurową. Ignorując Johna patrzył groźnie to na Vickie, to na Brada.

— Co wy wyprawiacie? Czemu nie przyjechaliście po nas, jak to było umówione?

— Byliśmy z Johnem — rzekła Vickie. — Zostawił u nas samochód. Chcemy go odwieźć.

— I nie głosować? Czyście poszaleli? Wracajcie zaraz, oboje. Zostaniecie na głosowaniu. Żądam tego.

— Żądam! — Vickie odwzajemniła teściowi spojrzenie. — Jakie ojciec ma prawo stawiać żądania? Ojciec, który tak nastawał, żeby sprowadzić tutaj Johna. Ojciec jest odpowiedzialny tak samo jak wszyscy za tę całą obrzydliwą awanturę.

Pan Carey obrzucił ją lodowatym spojrzeniem i odwrócił się do Brada.

— Brad! — zagrzmiał. — Wracaj na salę.

Brutalna, tyraniczna furia w jego głosie zdumiała Johna. Nigdy jeszcze nie widział Careyów tak obnażonych. Spojrzawszy na Brada ujrzał wyraz zalęknienia na jego twarzy, pobielałe usta.

— Wracajcie — powiedział. — Ja sobie dam radę.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wrócę — rzekła Vickie. — Do diabła ze Stoneville! Do diabła z jeziorem! Nic mnie to nie obchodzi, jeśli motele zaczną tu rosnąć jak grzyby po deszczu. — Chwyciła Brada za ramię. — Chodź.

Pan Carey chwycił Brada za drugie ramię.

— Brad, czekam.

Pani Carey powiedziała zdenerwowana:

— George, George, proszę cię, nie rób sceny. Niech chłopiec sam zadecyduje.

Przez chwilę Brad wahał się, a potem z niewyraźnym uśmieszkiem powiedział:

— Słuchaj, dziecko, ostatecznie jeżeli ty odwieziesz Johna...

W oczach Vickie błysnął gniew. Obróciła się nagle do niego plecami.

— Ależ, dziecinko, zaraz będzie głosowanie, a ojciec przywiązuje do tego taką ogromną wagę...

Głos Brada ucichł. Powoli, z zażenowaniem, poszedł za

rodzicami na salę. Bez słowa Vickie skierowała się do samochodu. John szedł za nią. Wsiedli i ruszyli do Careyów. Chwilę nie mówili nic, potem Vickie wybuchła:

— Czasami ojciec tak mnie rozwścieczа, że mogłabym go zabić. — Później, jakby chcąc obronić męża przed własnym nie wypowiedzianym oskarżeniem, dodała: — To nie jest wina Brada. Cóż może poradzić, że jest pod pantoflem. Wychowano go w tej bałwochwalczej czci dla ojca. To okropne być żoną tatusiowego synka. To tak, jakby człowiek poślubił połowę męża, a druga połowa była poślubiona ojcu.

Spojrzała na niego znad kierownicy. Celowo usiłowała ukryć główny powód odstępstwa Brada — fakt,, że bronił on sprawy Johna nie z przekonania, ale tylko z zasady i chęci dotrzymania kroku żonie.

— Gdybyśmy tylko mogli wyjechać. Mamy już na własność chyba połowę udziałów tej cholernej fabryki papieru. Moglibyśmy je sprzedać w każdej chwili. Wyjechalibyśmy i zaczęli jakieś przyzwoite, rozsądne, własne życie. Ale Brad nigdy tego nie zrobi — przynajmniej póki żyje matka. Nie możemy składać całego, ciężaru na jej barki — mówi. Ciężaru! Wcale nie uważa swojego mężulka za ciężar. Szaleje' za nim i za tą wielką, odziedziczoną po przodkach fabryką papieru. Wolałaby... — Urwała. — Przepraszam cię, John. Ładną wybrałam sobie porę na te żale. Dobrześ ich potraktował, naprawdę dobrze.

— Wcale nie. Nie potrafiłem sobie z nimi poradzić.

— Szczury. A, ten Steve Ritter. Najgorszy z nich. To on rozpętał tę całą histerię swoim łażeniem i gadaniem... Co to jest? Czemu on na ciebie taki cięty?

„Nie chcę tego, ale to jest silniejsze ode mnie... To jest jak choroba..."

— Nie wiem. Domyślam się tylko, że oni wszyscy są przeciwko mnie, bo jestem inny niż oni. Widzą we mnie coś podejrzanego. A poza tym Linda...

Nagle zdał sobie sprawę, że nie może mówić o Lindzie,

nawet z Vickie Carey. Jechali dalej w milczeniu aż do domu.

Radził jej, żeby wróciła i mimo wszystko głosowała, ale ona zacięła się w swojej własnej, osobistej walce przeciw tyranii ojca w stosunku do niej i do męża. Stwierdziła, że nie może puścić Johna samego do domu. Uparła się, żeby pojechać za nim i wstąpić na kieliszek whisky. Dopiero gdy przyjechali do niego i siedzieli popijając w saloniku, John zdał sobie sprawę, jak wiele to dla niego znaczy po dniu pełnym okropności, że siedzi z nim ktoś, kto o nic nie oskarża i odnosi się do niego z serdecznością.

Nie zabawiła długo. Opróżniwszy kieliszek wstała.

— Będę miała utrapienie z moim nieszczęsnym Bradem. Takie wyskoki ojca go wykańczają. Czuje się przybity, usidlony, pozbawiony męskości. Wcale mu się nie dziwię.

Kiedy uścisnęli sobie ręce, na jej niełądnej, nieregularnej twarzy pojawił się nieśmiały, zakłopotany uśmiech.

— Mogę ci coś powiedzieć, John?

— Oczywiście.

— To brzmi głupio, podle. Ale aż do dziś, słysząc to wszystko, co ojciec i Morelandowie, i wszyscy dokoła wygadują, nie miałam pewności. Byłam jak Brad. Jakaś część mnie myślała: Może oni mają rację. Może rzeczywiście on... — Urwała, cofając dłoń. — Ale teraz jest inaczej. Teraz wierzę w ciebie.

Odeszła parę kroków i zatrzymała się na progu.

— I co do Lindy też. Wierzę, że jest taka, jak mówisz. Wyobrażam sobie, jakim piekłem musiało być twoje życie. Jestem dla ciebie pełna podziwu. Masz więcej odwagi niż ja. Więc cokolwiek się stanie — to znaczy, cokolwiek by się stało, jestem po twojej stronie. I gdybym ci była potrzebna... Dobranoc, John.

— Dobranoc, Vickie.

Patrzył, jak idzie spiesznie przez trawnik do samochodu.

A kiedy odjechała, owo koszmarne uczucie znowu zaczęło go ogarniać.

Był sam w domu i wielka niewidzialna sieć otaczała go teraz całkowicie.

Pogasił światła i wszedł na górą do sypialnego. Od zniknięcia Lindy niewiele w nim przebywał. Gdy patrzył na ich wspólne łóżko, pokryte zmiętą białą kapą, myśl o niej przedarła się do jego mózgu zaprzątniętego własnym trudnym położeniem i nagle osoba Lindy stała się znów dla niego realna. Była od sześciu lat jego żoną, kobietą, którą kochał. I teraz gdzieś...

Stanął mu znów przed oczyma obraz przyprawiający go o panikę — jak rozszalała tnie płótna w salonie, tratuje płyty, biegnie do pracowni po maszynę do pisania, na górę, żeby spakować walizkę... A potem? Rzuca walizkę na śmietnisko? Czy sama to zrobiła? Pali jego dżinsy na łące? Czy mogła zrobić również i to?

Dotychczas nie zastanawiał się nad tym. Nie miał siły, tak wiele energii pochłaniały jego własne sprawy. Czy wszystko to zrobiła Linda? Czy może jakiś tajemniczy, zagadkowy wróg — wróg nie tylko jego, ale i jej? Cisnął walizkę na śmietnik, gdzie ją musiano znaleźć... I spalił dżinsy na łące przy domu, gdzie też musiano je znaleźć... Ale dlaczego? Bo zabił ją, oczywiście.

Już od pewnego czasu pogodził, się z możliwością, że Linda nie żyje, ale oto nagle możliwość zmieniła się w niezbitą pewność.

Wszedł do łazienki. Ręcznik, którym wycierał się po ostatniej kąpieli, wciąż leżał na podłodze koło wanny. Automatycznie schylił się, by go podnieść i powiesić na wieszaku. Wtedy to właśnie zwrócił uwagę na szczotki do zębów i gdy patrzył na nie, uświadamiając sobie, co zaszło, poczuł skurcz mdłości. Był tu już przedtem. Jak mógł nie spostrzec?

Miejsce na szczotki Lindy było po lewej stronie lustra,

jego po prawej. Wszystkie szczoteczki Lindy znajdowały się na swoim miejscu; brakowało natomiast dwóch jego szczotek.

A zatem... to nie Linda pakowała walizkę. Ktoś — ów wróg — wszedł do sypialnego, zdjął walizkę z półki, włożył do niej suknię, wpadł do łazienki, chwycił dwie szczoteczki... byle jakie... Więc to nie Linda pocięła obrazy, potłukła płyty, napisała na maszynie list?...

Usiadł na brzegu wanny. Bolała go głowa. Teraz już wie. Czy ten jeden drobny fakt ze szczoteczkami nie dowodzi jasno i niezbicie, że Linda została zamordowana i że wszystko inne było jedynie podłą intrygą, chytrym planem, aby na niego ściągnąć podejrzenie? Stopniowo z plątaniny myśli powstało uczucie, że oto wreszcie ma w ręku linę ratunkową. Zadzwoni do kapitana Greena. Powie mu o szczoteczkach. Udowodni przez to swoją niewinność. Nawet kapitan Green będzie musiał przyznać, że nigdy nie mógłby pomylić swoich szczoteczek ze szczoteczkami żony.

Ale błysk nadziei zgasł równie szybko, jak się pojawił. Jak dowiedzie, który komplet szczoteczek należy do niego, a który do Lindy? Pomyślał o rozkołysanym, rozwrzeszczanym tłumie na zebraniu rady miejskiej, tłumie przekonanym o jego winie. Kapitan Green był taki sam jak oni. Dla kapitana Greena sprawa ze szczoteczkami nie miała znaczenia.

Nie wrócił z łazienki do sypialnego. Poszedł do jednego z bezbarwnych, pozbawionych osobistego piętna pokoi przeznaczonych dla gości, którzy nigdy nie przyjeżdżali. Rozebrał się i położył ria łóżku walcząc z wyobraźnią, która podsuwała mu nowe obrazy — Lindy cofającej się przed kimś z krzykiem, Lindy z twarzą wykrzywioną przerażeniem...

Próbował myśleć o Vickie. Gdy to nie pomagało, pomyślał o dzieciach, ale wspomnienie Angeli Jones, szarpiącej się w jego rękach i krzyczącej „Uderzyłeś swoją żonę!", zepsuło nawet i to. Oczyma wyobraźni ujrzał laboratorium policyjne, gdzie przesłano jego dżinsy, ludzi w białych kitlach Pochylonych nad mikroskopami.

„Jeśli jest coś na tych dżinsach, choćby najmniejsza plamka..."

Myśl o Steve'ie zaczęła go prześladować na nowo. Gdy wreszcie zasnął, Steve znów ścigał go po lasach, ale tym razem nie sam. Cała ludność Stoneville przedzierała się przez zarośla ujadając niby zgraja psów myśliwskich.

„Coś zrobił ze swoją żoną?"

14.

Przebudził się nagle, zdawało mu się, że woła go Linda. Spojrzał na zegarek. Dziesięć po dziesiątej. Zląkł się. Jak mógł tak długo spać. Tyle miał do zrobienia. Potem, razem z pamięcią minionych wypadków, powrócił dawny letarg. Właściwie co mógł zrobić? Zadzwonić do kapitana Greena? Powiedzieć mu o szczoteczkach? Przecież już wczoraj doszedł do wniosku, że na nic się to nie zda. Gorzej — dla kapitana Greena byłaby to tylko jeszcze jedna, jeszcze bardziej niezdarna próba sfabrykowania dowodu niewinności w wypadku z góry przesądzonym.

— John!

Ktoś go woła. Jakiś słaby dziewczęcy głosik. Ciągle jeszcze na wpół tylko rozbudzony pomyślał, że to Linda. Wyskoczył z łóżka z łomocącym sercem.

— John... John...

Podbiegł do okna. Koło kuchennych drzwi stał rower oparty o krzak bzu. John przycisnął twarz do story i zobaczył małą figurkę z długim ciemnym warkoczykiem stojącą u drzwi. Emily Jones.

Czując niewyjaśnioną radość zawołał:

— Idę!

Wszedł szybko do sypialnego, włożył szlafrok i zszedł na dół do kuchni.

Otworzył drzwi i znalazł się obok Emily. Trzymała w ręku plik listów. Twarz miała zaróżowioną, oczy błyszczące.

— Przyniosłam ci pocztę. — Podała mu listy. — Mama o niczym nie wie. Zakradłam się na pocztę i wyciągnęłam listy z twojej skrytki.

— Dziękuję ci, Emily.

Wziął od niej korespondencję i położył na butlach z gazem stojących przy drzwiach.

— I jeszcze... jeszcze przyszłam ci powiedzieć, żebyś nie przychodził do miasteczka. Specjalnie po to przyszłam. — Dyszała ciężko. Musiała pedałować jak szalona. — Bob Seely i George Hatch, i inni mówią, że cię złapią, jak przyjdziesz. Żałują, że cię nie złapali wczoraj wieczorem. Podsłuchałam ich. Rozmawiali w sklepie. Powiedzieli, że nie będą czekać na policję. Że to nie jest sprawa policji. To sprawa Stoneville. Mówią, że... — Nagle wyciągnęła ręce i objęła go w pasie, przytulając do niego twarz. — Och, jak ja ich nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę...

Jej chude ciałko drżało. John pogłaskał ją po głowie.

— Nie martw się, Emily. Oni tak tylko mówią.

— Angela jest taka sama. Jak mama i oni wszyscy. Mówią, że to ty zrobiłeś. Że zabiłeś panią Hamilton. — Spojrzała na niego z rozpaczą w oczach. — Ale ty tego nie zrobiłeś, prawda? Wiem, że nie zrobiłeś.

— Nie, Emily. Nie zrobiłem tego. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie ona jest.

— To dlaczego oni tak mówią? Czemu ludzie są tacy? Czemu wszyscy ludzie są tacy podli?

Objąwszy ją ramieniem otworzył drzwi do kuchni.

— Wejdź i napij się ciegos. Pewnie jesteś spragniona po tej jeździe.

— Nie, nie — odsunęła się od niego tłumiąc szloch. — Nie mogę... nie teraz. Teraz muszę być sama. — Podbiegła do roweru opartego o krzak bzu i odwróciła się, patrząc na Johna swymi czarnymi, udręczonymi oczami. — Jak... jak

mi to przejdzie, może przyjadę jeszcze raz. Gdybyś chciał, mogłabym ci sprzątać i gotować, i... ale nie teraz.

Znowu rozległ się stłumiony szloch. Emily wskoczyła na rower i zaczęła pedałować jak szalona, aż zafurkotał jej ciemny warkoczyk.

John stał przez chwilę patrząc za nią. Kiedy zniknęła za rogiem domu, siadł na schodkach przed drzwiami i zaczął szukać papierosów w kieszeniach szlafroka. Nie znalazł ich jednak. Wstał, żeby iść po nie do kuchni, ale przypomniawszy sobie o listach siadł z powrotem na schodkach.

Pierwsze, co zauważył, to „Przegląd Artystyczny". Przyszedł po długim oczekiwaniu. Z opinią tego pisma John liczył się najbardziej. Zerwał opaskę i apatycznie zaczął szukać recenzji ze swojej wystawy. Recenzja zajmowała całą szpaltę i ku jego zdumieniu i radości okazało się, że jest ogromnie entuzjastyczna.

...BYĆ MOŻE OGROMNY KROK NAPRZÓD, JAKI STANOWIŁA TA WYSTAWA, NIE ZOSTAŁ JESZCZE CAŁKOWICIE UGRUNTOWANY. SĄ TO JEDNAK ZDECYDOWANIE NAJLEPSZE PŁÓTNA, JAKIE NIŻEJ PODPISANY WIDZIAŁ TEGO ROKU, I WYDAJE SIĘ TERAZ BEZSPORNE, ŻE W OSOBIE JOHNA HAMILTONA KRAJ NASZ ZYSKA PRAWDZIWIE WIELKIEGO ARTYSTĘ...

Przez krótką chwilę John odczuwał ogromną radość, ale tylko przez chwilę. Niemal natychmiast zdał sobie sprawę z ironii całej sytuacji. Co mu teraz po tej recenzji? Odłożył pismo na bek i przejrzał listy.

Był koniec miesiąca i wszystkie zawierały rachunki — rachunek ze sklepu w miasteczku, rachunek za mleko, rachunek ze stacji benzynowej Rittera. Patrzył na kopertę czując, jak ulatują resztki przyjemności wywołanej recenzją. Myślał o Steve'ie Ritterze siedzącym w swoim ciasnym kantorku i sporządzającym ten rachunek. Kiedy to zrobił? Wczoraj? Po poszukiwaniach w lesie? Przed posiedzeniem rady miejskiej?

Znalazł też jakiś rachunek ze sklepu z wyrobami żelaznymi w Pittsfield. Nie pamiętał, aby w ogóle kiedykolwiek był w tym sklepie. Pewnie Linda coś...

Rozerwał kopertę i wyjął rachunek. Na górze było napisane jego imię i nazwisko oraz adres, a niżej:

29 SIERPNIA — 3 STUFUNTOWE WORKI GOTOWEGO CEMENTU	
A 1,95 ZA SZTUKĘ	5.85
1 KIELNIA	0,79

	6,64

Przez chwilę siedział i patrzył na ten rachunek. 29 sierpnia! Było to już po urodzinach Vickie, dzień, w którym wyjechał do Nowego Jorku. Ale przecież nie kupował ani cementu, ani żadnej... Czuł, jak powraca wrażenie koszmaru i ściska go za gardło. Cement! Krzak bzu zaczął tańczyć mu przed oczami i zacierać się, nabierając nierzeczywistych kształtów. Po trawniku chodził drozd. Wydał mu się jakiś dużo większy niż w rzeczywistości. John, zahipnotyzowany jego widokiem, patrzył, jak ptak dziobie zajadle trawę.

Zerwał się na równe nogi, wbiegł do domu i zadzwonił do składu wyrobów żelaznych.

W słuchawce odezwał się jakiś bezbarwny, znudzony głos kobiecy.

Ręce mu się trzęsły. Czuł, jak słuchawka podskakuje mu przy uchu.

— Mówi John Hamilton ze Stoneville. Przed chwilą otrzymałem rachunek za pewne rzeczy, których wcale nie zamawiałem. Z kim mogę mówić w tej sprawie?

— Chwileczkę, proszę pana. —. Czyżby jej się zmienił głos? Na pewno i ona, tak jak wszyscy, zna teraz jego nazwisko — nazwisko nędznika, Johna Hamiltona. — Zaraz się dowiem. Proszę nie odkładać słuchawki.

Słyszał jej oddalające się kroki. Dźwięk ten był dziwnie głośny, nierealny jak widok drozda na trawniku. Więc to tak jest, gdy człowiek zaczyna się załamywać — pomyślał — to nieopanowane drżenie rąk, te zaburzenia wzroku i słuchu...

— Halo! — zabrzmiał męski głos w słuchawce.

— Mówi John Hamilton...

— Tak, wiem — przerwał mu mężczyzna.

— Przed chwilą otrzymałem rachunek za rzeczy, których nie zamawiałem. Chciałem spytać, co to znaczy.

Zapadła długa chwila milczenia. Potem głos odezwał się znowu, nieprzyjemny, bez wyrazu.

— Proszę mi darować, panie Hamilton, ale rachunek jest zupełnie w porządku. Sam przyjmowałem zamówienie.

— Pan je przyjmował? Kiedy?

— Przez telefon. Dzwonił pan wcześnie rano, koło dziewiątej.

— Ale ja wcale do pana nie dzwoniłem.

— John Hamilton ze Stoneville. Tak usłyszałem. John Hamilton. Pan Hamilton powiedział, że potrzebny mu jest cement do naprawy tamy na strumieniu, żeby dzieci miały miejsce do kąpieli. Pędziłem mu, żeby wziął zwykły cement, ale on się uparł przy gotowej mieszance i kazał ją natychmiast przywieźć. Była dziewiąta i właśnie w tamte okolice miała wyjeżdżać ciężarówka. Zawsze we wtorki wyjeżdża o dziewiątej, więc kazałem zaraz załadować cement. I jesz yc pan — to znaczy ten gość — powiedział, żeby nie zatrzymywać się przy domu, bo go nie będzie, tylko żeby zrzucić cement przy samej szosie.

Teraz już wiedział. Jakby ta matnia stała się nagle widzialna i wisiała nad nim — czarna, nierozerwalna, śmiertelna, niby jakaś monstrualna pajęczyna. Przy zakręcie strumienia. Przy drodze do Fisherów — gdzie jeszcze nie był od powrotu z Nowego Jorku i dokąd ekipa ratownicza nie poszła tylko dlatego, że Steve rozgniewał się na swoich ludzi i odesłał ich do domu.

Musiał coś powiedzieć. Zdawał sobie mgliście sprawę z tej konieczności i z potencjalnego niebezpieczeństwa na drugim końcu linii, ale cokolwiek by powiedział, i tak nie zmieni tego, co się stało.

— To nie ja dzwoniłem — rzekł. — Ktoś musiał podszyć się pod moje nazwisko. Ja nic u pana nie zamawiałem.

Odłożył słuchawkę. Dalsza rozmowa już nie miała sensu. Ważny był tylko zakręt strumienia przy drodze. Wbiegł na górę, wciągnął spodnie i koszulę, które miał na sobie poprzedniego dnia, i wypadł z domu na drogę. Cienie klonów tworzyły posępne szaroniebieskie wzory na polnej drodze u jego stóp. Cienie te — przesuwające się, zlewające ze. Sobą, to bardziej, to mniej intensywne — wydawały mu się cieniem wiszącej nad nim sieci. Miejsce, w którym strumień skręcał tuż przy drodze, znajdowało się niespełna sto jardów od domu. Biegnąc słyszał rześki, bulgocący, radosny szmer wody. Potem ujrzał i sam strumień zakręcający ostro ku drodze i niemal natychmiast odwracający swój bieg z powrotem na łąkę. Wysokie chwasty przy drodze były połamane. Widział to już z daleka.

Przybiegł na miejsce. Tam, gdzie zrzucono worki z ciężarówki, trawa była wygnieciona i zwiędła w prażącym słońcu. Ale samych worków już nie było.

Nie było nic.

Minęło kilka sekund, zanim spostrzegł ślad, wyraźny, głęboko zaznaczony w mokrej trawie nad strumieniem. Pojedynczy ślad. Od koła taczki. John podszedł bliżej przez stłamszone badyle. Wzdłuż śladu koła na przestrzeni paru stóp biegła cieniutka biała linia, która urywała się nagle. Schylił się, żeby zobaczyć, co to jest, i od razu poznał: strużka cementu z pękniętego worka.

Z pękniętego worka? Raczej rozerwanego! Nie ulega wątpliwości. Ślad cementu był równie wyraźny jak ślad koła. Był niewątpliwie zamierzony. Był częścią całego planu, szczytowym punktem koszmaru, na który składały się: list ria maszynie, pocięte obrazy, walizka na śmietniku, spalone dżinsy...

Zaczął iść śladem taczki przez łąkę. Tam, gdzie koleina się gubiła, zawsze było coś innego wskazującego kierunek

— złamana gałązka, zdeptana kępa złotej rózgi albo znów ścieżka rozsypanego cementu. Taki ślad odnalazłoby nawet dziecko. Prowadził on coraz dalej od strumienia, coraz bliżej i bliżej domu.

Nagle, kiedy tak posuwał się tym śladem, ogarnęło go złudzenie, że nie jest już sobą, tylko właśnie tym wrogiem, który dotąd czaił się w środku sieci, a teraz jakby skoczył i porwał go w swe łapy. Jakby to on sam zadzwonił do składu z wyrobami żelaznymi, żeby zamówić cement („Nie zatrzymujcie się przy domu, bo mnie nie będzie") i teraz, w tej właśnie chwili, pchał pełną taczkę, zostawiając wyraźny ślad, łamiąc gałązki, gniotąc chwasty, znacząc drogę strużką cementu wydobywającego się z rozerwanego worka. Siła złudzenia była tak wielka, że niemal czuł w dłoniach ucisk gumowych rączek taczki, gorących i lepkich.

Zmusił się, by odegnać od siebie to wrażenie.

Przed nim widniała w dali tylna ściana pracowni. Bywał tu tak rzadko, że komórka widziana od tyłu wydała mu się groteskowo obca — jakby nie odegrała w jego życiu żadnej roli. Słońce padało prosto w okna studio. Niżej — ciężkie drewniane drzwi i — stara komórka.

Teraz, gdy zdradziecko wyraźny ślad skręcił lekko w lewo, prosto ku krzywym drzwiom komórki, napięcie w nim stało się nie do zniesienia. Porzucił ślad i pobiegł do składziku. Był zamknięty na stary, zardzewiały skobel. Wyjął zatyczkę i szarpnął drzwi, które otworzyły się opornie. Jego przyzwyczajonym do słońca oczom wydało się ciemno wewnątrz jak w grobie. Chwilę wahał się na progu, wdychając stęchły zapach rupieci i zgnilizny. Spostrzegł starą lodówkę i narzędzia ogrodnicze Lindy poustawiane obok, a pod kranem plastykowego węża do podlewania. Głębiej widział zarys drewnianych przegród wzdłuż obu ścian. Na klepisku leżało porozrzucane siano. Jego oczy pochwyciły jakiś błysk — z jednej z przegród wystawało coś metalowego. Rączka taczki.

Wszedł w panujący tu mrok i natknął się na swoją własną czerwoną, poobtłukiwaną taczkę. Leżała na boku, a jej wnętrze było grubo pokryte zastygłym cementem.

Patrzył na taczkę z ogromnym wysiłkiem, żeby się opanować. Nie może się teraz dać ponieść żadnym uczuciom — ani gniewu, ani paniki. Musi być jak maszyna. Celowo powoli przechodził od zagrody do zagrody.

Znalazł to w ostatniej zagrodzie po prawej stronie. Zamiast ubitej ziemi podłogę pokrywała tu gładka warstwa cementu, na którym leżały równo poukładane kłody drzewa. Jedno spojrzenie na cement, mimo że pokrywały go kawałki kory, wystarczyło, by się przekonać, że jest zupełnie świeży.

Kiedy tak stał, patrząc pod stopy, zmartwiały jak to, co prawdopodobnie leżało pod cementem, usłyszał szmer w otaczającej go ciszy — delikatny chrobot jakby mysich łapek. Spojrzał na okienko nad stosem drzewa. Było brudne i zasnute szarą pajęczyną, a na nim całe dziesiątki żółtych motyli. Jedne obijały się o szybę, inne uwięzły w pajęczynie spazmatycznie poruszając skrzydłami, jeszcze inne leżały martwe na parapecie, omotane szarą przędzą albo rozczłonkowane — tu część żółtego skrzydełka, tam czarne różki, twarda, ogołocona skorupka z włochatymi nóżkami sterczącymi w górę.

Chwyciły go mdłości.

Wybiegł z komórki, do domu,

Biegnąc przez trawnik usłyszał telefon — trzy dzwonki... jego sygnał.

15.

Dźwięk telefonu wydał mu się równie straszny jak odkrycie uczynione przed chwilą. Telefon należał do świata zewnętrznego, który na niego dybał; a ta rzecz w komórce była

ostatecznym, potępiającym „dowodem" jego winy. Matnia się zamknęła. Przebiegł trawnik i wpadł przez kuchenne drzwi do domu, ale nie dlatego, żeby miał w tym jakiś określony cel, tylko dlatego, że dom wydał mu się teraz bezpieczniejszy niż komórka.

Stał w kuchni z łomocącym sercem. Telefon wciąż wydzwaniał swoje trzy uporczywe dzwonki. Zaraz przestanie — pomyślał. Będzie musiał przestać. A potem jakaś resztka instynktu samozachowawczego ostrzegła go: Jeżeli nie podniesiesz słuchawki, mogą tu sami przyjść, a jak przyjdą, zajrzą do komórki... Podnieś słuchawkę. To mniejsze zło.

Wybiegł z kuchni oszołomiony jeszcze po doznanym wstrząsie i przyjął telefon.

— Halo. — Jego własny głos wydał mu się jakiś obcy. — Halo, halo.

— John? — To Vickie. Poznał jej głos i opanował zamęt myśli. — To ty, John?

— Tak, Vickie.

— Chwała Bogu. Dzwonię od dziesięciu minut. Szybko. Nie masz ani chwili czasu. Jadą po ciebie. Nie policja. Steve i oni wszyscy. Całe miasteczko. Jestem w sklepie. Widziałam ich przez okno. Widziałam, jak się zbierali. A teraz już odjechali. Przed pięcioma minutami. Będą u ciebie lada chwila... John, nie możesz zostać w domu. Jedź do nas. Musisz. Przyjeżdżaj natychmiast. Ja zaraz tam będę. Jak ja będę z tobą, to ochłoną. Oni... John, słyszysz mnie?

Stał patrząc przez cienkie nylonowe firanki w oknie hallu na drogę.

— Tak, Vickie, słyszę.

— Dzwoniono z policji do Steve'a. Znaleziono plamy krwi i cementu na dżinsach i ktoś z jakiegoś sklepu w Pittsfield doniósł, że kupiłeś tam kilka worków cementu. Mówią, że zakopałeś ją w piwnicy. Jadą rozkopywać twoją piwnicę. Mają kilofy i łopaty...

Usłyszał warkot samochodów. Może słyszał go już wcześniej — słabe brzęczenie jak osy — ale zdawało mu się, że to jemu samemu huczy w głowie. Teraz już nie miał wątpliwości co do pochodzenia dźwięku. Warkot rozbrzmiewał coraz głośniej. Usłyszał niedaleko zgrzyt hamulców. Są już na zakręcie drogi za mostkiem.

Znowu ten koszmar, w którym jedną realną rzeczą był głos Vickie.

— Dziękuję ci, Vickie. Zaraz przyjeżdżam — rzekł zupełnie obojętnie.

— Szybko.

— Tak. Szybko.

Odłożył słuchawkę. Od strony drogi rozległ się klakson samochodu. W jednej chwili rozbrzmiały klaksony innych samochodów, aż powstała wrzawa przypominająca wycie syren ogłaszających nalot bombowców. Na chwilę opanowała go panika. Stał tylko poruszając głową, jakby chciał strząsnąć z siebie to wycie klaksonów. Nie zdołałby uciec samochodem. Wiedział o tym dobrze. Pobiec do garażu, pchnąć drzwi, wyjechać na tylnym biegu... Nie, na to nie ma czasu. Cóż więc robić? Zostać, gdzie jest? Czyż nie tego od niego oczekiwano?

Ujrzał przez okno pierwszy samochód, który mignął za zasłoną przydrożnych krzaków. Widok ten wyrwał go ze zgubnego letargu. Nie droga. Nie samochód. Las może mu przynieść ocalenie. Pobiegnie lasem i lasem dojdzie do Vickie. Tylko tak.

To nie była myśl. To był odruch. Przedostać się do Careyów. Nie zastanawiał się, co będzie później.

Wybiegł z hallu do kuchni i przez kuchenne drzwi na trawnik przed domem. Pędząc zygzakiem między jabłonkami ku zarosłemu zboczu za sadem, które graniczyło z lasem, usłyszał na drodze krzyk. Zdał sobie mgliście sprawę, że biegnąc przez trawnik pokazał się ludziom jadącym w końcu kolumny samochodów na drodze, tam, gdzie teren był płaski i krzaki nie zasłaniały widoku. Zabrzmiały inne krzyki.

Większość klaksonów umilkła. Rozległy się odgłosy zatrzaskiwanych drzwiczek.

Nie oglądał się. Widok ludzi — czarnych punkcików biegnących sznurem przez łąkę — wywołał w nim panikę, urzeczywistniał ten sen, który budził w nim taki lęk, sen o koszmarnym polowaniu odkształcający wszystko, co go otaczało. Słońce wydawało się bardziej żółte niż w rzeczywistości. Szczegóły liści, chwastów, motyle były jakieś straszliwie wyraźne, jakby ich nigdy przedtem nie widział, a teraz oglądał oczyma dziesięciokrotnie silniejszymi niż normalne ludzkie oczy.

Z tyłu doszło go ujadanie psa. A może mu się tylko tak zdawało? Może to tylko złudzenie wywołane wspomnieniem strasznego koszmaru, w którym ludzie ścigali go na czworakach, jak psy myśliwskie?

Zamajaczył przed nim sosnowy zagajnik u progu lasu. Wpadł między sosny i biegł dalej, a szpilki siekły go po policzkach. Wybiegł nad brzeg strumienia szemrzącego w skalistym łożysku. Przeszedł po kamieniach na drugą stronę. Teraz był już w lesie. Otoczył go anonimowy świat ogromnych pni, poszycia, zwalonych drzew i przesączonego przez listowie słońca. Poczuł ulgę. Za sobą miał pas sosen. Wreszcie go nie widzą. Świadomość, że jest niewidoczny, była jak balsam, pozwalała czuć się i myśleć po ludzku. Nie trać głowy. Znasz te lasy. Wiesz dobrze, gdzie skręcić, żeby się znaleźć nad jeziorem i dojść do Vickie. Zostawiłeś ich daleko z tyłu, a posuwasz się również szybko jak oni.

Nagle usłyszał krzyki tuż za sobą, za ścianą sosen. Czy to też było tylko złudzenie? Nie mogli przecież znaleźć się tak blisko. Potem w nagłym przypływie przerażenia zrozumiał. Ludzie z pierwszych samochodów widząc, jak inni biegną zboczem, zdali sobie sprawę z tego, co zaszło. Pobiegli za nim prosto od domu.

Byli tuż-tuż.

Dojrzał przed sobą, między drzewami, za plątaniną jeżyn,

wielki bukowy pień. W zdenerwowaniu pomyślał: Pobiegnę do buku. To wprawdzie w innym kierunku niż do Careyów, raczej bliżej domu Jonesów, ale zaraz za nim teren opada stromo w dół niewielkiego parowu gęsto zarośniętego jałowcem. Tam, za bukiem, znajdę kryjówkę.

Pobiegł okrążając jeżyny. Niemal spod stóp zerwała mu się z ogłuszającym łopotem skrzydeł kuropatwa. Dotarł do buku i zsuwając się w dół usłyszał nagle za sobą uderzająco bliskie krzyki. Czyżby usłyszeli kuropatwę? A może mają psa? Przypomniał sobie ostronosego psa z kudłatym brązowym ogonem. Jeżeli mają psa... Znalazłszy się na dole zaczął biec znowu, skręcając to w lewo to w prawo. Serce mu łomotało, usta spazmatycznie chwytały powietrze. Widział przed sobą jałowiec, ciemną zwartą zasłonę, obrzeżającą długi masyw skalny. Rzucił się naprzód i zanim zdołał ukryć się w gęstwinie, usłyszał z tyłu, gdzieś bardzo wysoko, okrzyk:

— Jest!

Jałowiec okazał się okropny. Nie pomyślał o tym. Gałęzie, splecione ze sobą, wyrastały przy samej ziemi. Czuł się wśród nich jak w klatce, w klatce z ciemnych; elastycznych gałązek. Zaplątał się w nie i upadł. Wstał, ale nie mógł się przedrzeć. Na kolanach próbował przecisnąć się pod jakąś nisko rosnącą gałęzią. Uwiązł pod nią i dopiero zebrawszy wszystkie siły zdołał się przepchnąć dalej. Nagle strach przed plątaniną jałowca stał się gorszy niż strach przed ścigającymi. Małe gałązki oplatały go jak macki, właziły mu w usta. W przypływie histerii rzucił się na oślep naprzód. Niespodziewanie wyszedł na mroczną przestrzeń, zakończoną skalną ścianą.

Poczuł, że pada, ale nie zrobił żadnego wysiłku, by temu zapobiec. Leżał twarzą do ziemi oddychając z trudem.

Za nim rozbrzmiewały krzyki. Nie, nie tuż za nim, z lewej strony, z prawej. Powróciło to chorobliwe uczucie, że nie jest już sobą, że stracił swoją tożsamość, że jest już jedynie ofiarą

ścigających go ludzi, ich własnością — nieodwracalnie.

Wstał ledwie dysząc. Zaczął iść zupełnie bez celu, wzdłuż ściany skalnej, dotykając jej dłonią, jakby ta chłodna, bezosobowa powierzchnia działała na niego uspokajająco.

Skała skręciła w pewnym miejscu w prawo, a razem z nią skręcała obrzeżająca ją ściana jałowca. Minąwszy ten zakręt ujrzał nagle przed sobą jakąś postać.

W pierwszej chwili była to dla niego po prostu postać, coś pozbawionego twarzy, bezkształtnego, część ścigającej go okropności. Zamarł bez ruchu, potrząsając głową, jakby chciał zaprzeczyć jej istnieniu. Ale po chwili przestała być po prostu postacią. Była to Emily.

Trzymała palec na ustach w dziwnym rytualnym geście, który doprowadził wrażenie nierzeczywistości do szczytu. Stali patrząc na siebie w zupełnym milczeniu. Potem Emily wyciągnęła rękę. John automatycznie ujął jej dłoń. Krzyki otaczały ich teraz ze wszystkich stron i były nie bardziej realne niż dłoń Emily, a nawet jego własna. Poprowadziła go ukradkiem naprzód, omijając po drodze gałęzie. Automatycznie naśladował jej ruchy. Prowadziła go wzdłuż ściany do miejsca, gdzie jałowiec sięgał samej skały. Puściła wówczas jego dłoń, uklękła i znikła wśród gałęzi. John również ukląkł i zaczął iść na czworakach. Znalazł się znów w jałowcowej klatce. W przyćmionym świetle widział niewyraźnie przed sobą Emily. W pewnej chwili skręciła i znikła. Podszedł do tego miejsca i wówczas, z jakiejś dziury wysunęła się jej mała rączka. Zobaczył wtedy niewielki półokrągły otwór o średnicy mniej więcej dwóch stóp. Rozpłaszczył się i wczołgał w mrok. Czuł pod sobą suchy piach. Emily szarpnęła go, dając mu do zrozumienia, że może wstać.

Podniósł się na kolana, a potem ostrożnie wyprostował. Ręka dziewczynki pociągnęła go dalej w głąb jaskini. Teraz, gdy oczy przywykły do ciemności, dostrzegł mgliście ogólny

zarys wnętrza. Nie było zupełnie ciemno. Panował tu półmrok. Uniósłszy głowę dostrzegł wąską szczelinę w skale.

— Nie bój się, John. — Szept Emily brzmiał jak szum muszli. — Nikt nie wie o tej jaskini. Nikt, oprócz mnie i Angeli. Właśnie to jest nasz sekret.

16.

Stał tuż przy niej, jakby jej bliskość na równi z jaskinią oznaczała bezpieczeństwo. Drżał na całym ciele, ale ból w piersi wywołany zmęczeniem stopniowo ustępował. Zewsząd dochodziły ich krzyki. Słyszał te krzyki i kroki ścigających tak wyraźnie, jakby przez arkusz cienkiego papieru.

— Nie bój się — powiedziała Emily. — Oni nie mogą nas tu usłyszeć. Sprawdzałyśmy z Angela. Ta jaskinia jest strasznie śmieszna. Tu, w środku, można krzyczeć, a na zewnątrz nie słychać nic a nic. Zaraz sobie pójdą. Słyszysz? Już odchodzą.

Krzyki i trzaski łamanych gałęzi zaczęły się oddalać. Zdaje się, że gdzieś w prawo.

— Kiedy rozstałam się z tobą — mówiła Emily — przyszłam tutaj, żeby pobyć sama. Usłyszałam krzyki biegnących ludzi i zrozumiałam, co się stało. Wyszłam i nie wiedziałam, co robić, i wtedy znalazłam ciebie.

W miarę jak napięcie ustępowało, zaczął odczuwać wyczerpanie — kolana się pod nim uginały. Emily dotknęła ręką jego dłoni.

— Jesteś zmęczony. Połóż się. Tu... Na moim łóżku. Nie na Angeli. Ona nikomu nie pozwala kłaść się na swoim łóżku.

John dał się poprowadzić w kąt jaskini.

— Tutaj — rzekła Emily. — To nie są prawdziwe łóżka.

To tylko koce położone na szpilkach sosnowych. Ale my nazywamy je łóżkami.

Usiadł i wyciągnął się na ledwo widocznym kocu, zapadając w miękkie łoże z sosnowych igieł. Tak, nagonka jest teraz gdzieś z prawej strony. Idą wzdłuż parowu.

— Mamy tu meble i wszystko — pochwaliła się Emily. — Skrzynki po pomarańczach ze sklepu, świece i różne rzeczy. To nasz dom. Przychodzimy tu prawie co noc i śpimy. Mama wcale o tym nie wie. Wyłazimy przez okno i wracamy o świcie. Właściwie tu mieszkamy. A Luiza mieszka tu przez cały czas.

— Luiza?

Emily odsunęła się od niego, potem usłyszał trzask zapałki i odwracając się gwałtownie ujrzał ją z zapaloną świecą osadzoną w szyjce butelki od coca-coli w jednym ręku i z wielką lalką w kapeluszu od słońca w drugim.

— To jest Luiza. Ona...

— Zgaś świecę, Emily.

— Oni przecież poszli.

— Ale mogą wrócić.

Stała przez chwilę patrząc na niego poważnie, a potem zgasiła świecę.

— Dobrze. Ale to jest właśnie Luiza. Królowa wszystkich lalek Angeli. Ja się nie lubię bawić lalkami, ale nic nie mówię. Bo to właściwie Angela znalazła tę jaskinię. Ja wtedy skłamałam. To jest tak naprawdę jaskinia Angeli i Angela oddała ją Luizie. — Wróciła do niego i usiadła obok' w kucki na podłodze. — Więc tak naprawdę to jest jaskinia Luizy.

Ten dziecięcy świat był dla niego równie nierealny jak jego własna paniczna ucieczka przez las. A ponieważ wstrząs wywołany odkryciem uczynionym w komórce był wciąż jeszcze świeży jak rana, nie czuł się na siłach snuć jakichkolwiek planów. Na razie był bezpieczny — to jedynie wydawało się teraz ważne. Zaczynał jednak po trochu zastanawiać się nad

przyszłością. Uciekł. Wiedział, że tym samym przyznał się do winy. Tak będą tłumaczyli sobie fakt jego ucieczki — bo tak chcieli go sobie tłumaczyć. To, co znalazł w komórce, potępiało go w sposób ostateczny, a teraz doszła jeszcze do tego ucieczka. Cóż więc ma robić? Starać się dostać do Vickie? Zdać się na respekt, jaki motłoch ma dla Careyów, i przeczekać tam do przybycia policji? A potem oddać się w jej ręce? Nie uciekłem, chciałem tylko schronić się u Careyów, bo bałem się tych ludzi...

Z mroku ponad nim wyjrzała twarda, bezkompromisowa twarz kapitana Greena.

Może tak właśnie powinien uczynić? Bo co innego mu pozostało? Ale nie teraz, póki ścigający są jeszcze w lesie i mogą w każdej chwili wrócić.

Odczuł brak jakiejkolwiek odpowiedzialności. Nie robić nic — nic, tylko leżeć tu w ciemności na szpilkach sosnowych, wyzwolony od konieczności podejmowania decyzji.

— John.

— Słucham cię, Emily.

— Czy to był Steve i ludzie z miasta, czy policjanci?

— Steve i ludzie z miasta.

— Przyjechali po ciebie do domu, a ty uciekłeś?

— Tak.

— Co oni chcieli ci zrobić?

— Nie wiem.

— Ale uciekłeś?

— Tak.

— Nienawidzę ich — rzekła Emily. — Nienawidzę ich.

— Tak. Teraz jest jeszcze gorzej.

Musiał jej powiedzieć. Emily musi wiedzieć, co o tym wszystkim sądzić.

— Znaleźli cement na moich dżinsach. Ktoś zadzwonił do jakiegoś sklepu w Pittsfield i zamówił cement na moje nazwisko. Kazał go dostarczyć nad zakręt strumienia za moim domem, że to niby na tamę. Poszedłem tam i znalazłem ślady

taczki i cementu. Prowadziły do komórki, a w komórce…

Jak taką rzecz opowiedzieć dziecku? Nagle stanął mu przed oczami wyobraźni moment, gdy wbiegał do komórki.

— I cement był w komórce? — spytała Emily.

— Ktoś zrobił z niego podłogę w jednej z przegród — nową cementową podłogę.

— Więc ona tam jest — oznajmiła po prostu Emily. — Pani Hamilton jest tam. Nieżywa i zamurowana cementem.

— Chyba tak, Emily.

— Kto to zrobił?

— Nie wiem.

— Ale ktoś to musiał zrobić. Zamurował ją i teraz udaje, że to ty zrobiłeś.

— Tak.

Niewiele mu pomogło, że jej powiedział. Pozwoliło tylko wyraźniej ujrzeć własne położenie. Cement na j e g o dżinsach; zamówienie na j e g o nazwisko; Linda leży pod warstwą świeżego cementu w jego komórce. Potworne poszlaki sfabrykowane przez jakiegoś wroga. Ale kto uwierzy, że tak jest? Kapitan Green? Oskarżyciel publiczny? Sędzia? Sąd przysięgłych? Sąd przysięgłych — dwanaścioro czerstwych, niebieskookich mężczyzn i kobiet siedzących na sali sądowej i patrzących na niego tak samo jak ludzie na zebraniu miejskim, jak wtedy na łące…

— John. Co teraz zrobisz, John?

— Nie wiem.

— Przecież jej nie zabiłeś.

— Nie.

— Ktoś inny ją zabił.

— Tak.

— Chcesz, żebym wyszła i zobaczyła, czy oni już odeszli?

— Jeszcze nie. Zaczekaj chwilę.

— John.

— Słucham.

— Chcesz tu zostać?

— Nie wiem.

— Bo jak chcesz tu zostać, to lada chwila przyjdzie Angela.

Słuchał dotąd tylko jednym uchem, odpowiadał mechanicznie, zaprzątnięty własnymi myślami. Teraz wytężył uwagę.

— Angela?

— Tak. Mówiła, że przyjdzie. Mamy urządzić sobie piknik z Luizą. Boję się, co to będzie, jak cię tu zastanie.

Angela, szarpiąca się i krzycząca w jego rękach: „Nie dowiesz się sekretu. Zbiłeś swoją żonę!"

— Bo rozumiesz, to właśnie jest jej sekret — powiedziała Emily. — Będzie wściekła, że go poznałeś, bo ona mówi o tobie to, co mama i tamci ludzie. Mówi, że to ty...

Z góry zabrzmiało pohukiwanie sowy. Emily chwyciła go za rękę. Dźwięk powtórzył się. Gdzie on go przedtem słyszał? Ach, to ta sowa, która wieczorem odzywała się gdzieś za sadem.

— To Angela — szepnęła mu Emily do ucha. — To nasz sowi znak. Zaraz tu będzie. My tak zawsze robimy. Hukamy i schodzimy na dół.

John zerwał się na nogi. Emily zerwała się również.

— Dokąd idziesz?

— Z powrotem do lasu.

— Ale oni jeszcze są. Nie możesz. A ona i tak cię zobaczy, jak będziesz wychodził.

Ruszył do szczeliny w skale. Emily pobiegła za nim ciągnąc go za rękaw.

— Nie idź, John. Zostań. Już wiem, co zrobimy. Wszystko będzie dobrze. Damy sobie z nią radę. Poradzimy sobie z Angela.

Stał, niepewny, czy iść, czy ulec Emily i zostać.

— Luiza — rzekła Emily. — Rozmawiaj z Luizą.

Odeszła gdzieś w bok. Usłyszał trzask zapałki i za chwilę wróciła z płonącą świecą. W migotliwym świetle widział lalkę ubraną w kapelusz od słońca, siedzącą na skrzynce od pomarańczy i opartą o ścianę jaskini. Emily postawiła świecę obok lalki.

— Usiądź. Siądź koło Luizy. Jak ona przyjdzie, powiedz, że Luiza cię zaprosiła.

— Ale ona mi nie uwierzy...

— Uda, że ci wierzy. Będzie musiała. Powiedz, że ja przyszłam później. Powiedz, że ja ci nie wierzę, że powiedziałam, że Luiza to tylko głupia lalka, która nikogo nie może zaprosić.

Pobiegła z powrotem w sam koniec jaskini. John poczekał chwilę, myśląc mgliście: Czy to już do tego doszło? Bardziej się boję siedmioletniego dziecka niż wszystkich tych ludzi w lesie? Potem siadł w kucki przed lalką. Patrzył na szczelinę w skale. Krąg światła od świecy nie sięgał tak daleko. Odniósł wrażenie, że się coś w szczelinie poruszyło. Coś się wśliznęło do wewnątrz. Torba papierowa? Po chwili ukazała się mała czarna główka, a za nią pulchna figurka. Angela podniosła się z kolan i zaczęła pilnie strzepywać piasek z dżinsów. Potem schyliła się, wzięła torbę papierową i przycisnąwszy ją mocno do siebie, skierowała się w stronę świecy. Zobaczyła Johna i jej okrągłe czarne oczy w pulchnej twarzy błysnęły jak cekiny.

— Jak się masz, Angelo — rzekł John. — Przechodziłem sobie tędy i Luiza zaprosiła mnie do środka. Nie masz mi chyba tego za złe. Emily jest wściekła. Mówi...

— Bo Luiza wcale go nie zaprosiła. — Emily wylazła z kąta i zbliżyła się do Angeli. — Przyszłam i zastałam go tutaj. Wszedł sobie. A teraz udaje, że Luiza... Zupełnie jakby taka stara, głupia lalka mogła kogoś zaprosić.

Angela stała przyciskając do siebie papierową torbę i patrzyła to na Johna, to na Emily. Zamrugała oczyma.

— W lesie jest pełno ludzi. Słyszałam głosy. Przyjechali z miasteczka. Szukają Johna.

— Co to ma z tym wspólnego?! — zawołała Emily. — Chodzi o nasz sekret, a on mówi, że Luiza...

— On był bardzo niedobry — powiedziała Angela. — Bardzo niedobry dla pani Hamilton. Dlatego chcą go złapać.

— To nieprawda — rzekł John. — Oni się mylą. Spytaj Luizy, jak mi nie wierzysz.

— Skąd ona może wiedzieć — odparła Emily drwiąco. — Co taka stara, głupia lalka może wiedzieć?

Powolutku Angela schyliła się i położyła papierową torbę na ziemi. Potem odwróciła się tyłem do obojga i stanęła z szacunkiem przed lalką.

— Dzień dobry, Luizo. Dobrze dziś spałaś? Luizo, prawda, że Emily jest zła, głupia jędza? — Odczekawszy króciutką chwilkę odwróciła z tryumfem do Emily zarumienioną w złośliwym podnieceniu twarz. — Mówi, że tak. Mówi, że jesteś zła i głupia jędza. — Znów odwróciła się do lalki: — Czy zaprosiłaś tutaj Johna, Luizo? Domyśliłaś się, że ci ludzie go szukają, i zaprosiłaś go, bo się mylą, bo to pani Hamilton jest niedobra i fałszywa: „Kochana Angelo, to będzie nasz sekret, prawda? A ja ci za to dam taką samą, tylko z..." — znowu po krótkiej chwili okręciła się na pięcie do Emily i pokazała jej język. — A widzisz — powiedziała — nic nie wiesz. Luiza go zaprosiła. I Luiza mówi...

Nagle John usłyszał dochodzący z zewnątrz głos jakiegoś mężczyzny. Zmartwiał. Niemal natychmiast pierwszemu głosowi odpowiedział drugi. Zabrzmiał on jakby tuż obok i zawibrował echem nad ich głowami, niby jakiś niewidzialny nietoperz.

Emily spojrzała porozumiewawczo na Johna i zaczęła biec w stronę szczeliny w skale.

— Idę po tych ludzi. Powiem im, że John jest tutaj, i...

— Nie! — Angela rzuciła się na siostrę i chwyciwszy ją za warkocz zaczęła okładać pięściami. — Nie. Luiza mówi nie. Luiza mówi nie.

Znowu rozległ się głos:

— Nie ma, Fred. Może przedarł się do szosy.

John stał z kurczowo zaciśniętymi dłońmi. Słyszał trzask suchych gałązek pod stopami człowieka na zewnątrz. Słyszał nawet powolny rzężący oddech.

Z udanym jękiem Emily upadła na ziemię. Angela zwycięsko siadła na niej okrakiem.

— Więc... więc John ma zostać? — spytała Emily.

— Tak, tak, tak.

— Na zawsze? Jak długo zechce?

— Tak.

— I będziemy musiały mu pomagać? Będziemy musiały robić wszystko, co on zechce, bo tak Luiza mówi?

— Tak — powiedziała Angela.

Z zewnątrz doszedł ich trzask pękającej gałązki. Wstrzymując oddech John słyszał szelest gałązek jałowca, przez który ktoś się przedzierał. Angela uśmiechnęła się do niego szeroko.

— Tutaj można wrzeszczeć i wrzeszczeć — powiedziała — a tam nie słychać nic a nic.

Otworzyła usta jak najszerzej i wydała ostry, przenikliwy pisk, który odbił się od ścian wielokrotnym echem. John spróbował przełknąć, ale nie mógł. Angela zamknęła usta i stopniowo zgiełk ucichł. Na zewnątrz ktoś powiedział:

— No, to dobra, Fred. Wracamy do szosy.

Pod Johnem ugięły się nogi. Wyciągnął rękę, żeby się oprzeć o ścianę. Przed nim, oświetlona blaskiem świecy niby święta w niszy, siedziała sztywno Luiza w słonecznym kapeluszu, z głową lekko pochyloną do przodu.

Angela siadła w kucki przy papierowej torbie.

— Teraz zrobimy sobie piknik — powiedziała. — Luiza mówi, że John może zjeść połowę porcji Emily.

17.

Wyjmowała z torby zapasy: paczkę suszonych fig, dwie butelki coca-coli, kanapki zawinięte w serwetki, batonik czekoladowy. Ułożyła wszystko starannie na podłodze przed Luizą — dużą kupkę dla siebie i dwie mniejsza dla Emily i Johna.

— Luiza mówi, że John wypije drugą butelkę coca-coli. Emily nie będzie nic piła.

Emily kręciła się w półmroku, gdzie nie docierało światło świecy, John usiadł na ziemi obok Angeli i zaczął jeść.

„Pani Hamilton jest niedobra i fałszywa, mówiła: «To będzie nasz sekret»…" To były słowa Angeli. Mogą nie mieć żadnego znaczenia, ale tak powiedziała. Może… Ale trzeba z tym zaczekać. Tamci ludzie myślą, że uciekł z powrotem do szosy. W tej chwili to jest najważniejsze. Niech sobie tak myślą. Zyska dzięki temu na czasie.

— Bardzo uprzejmie ze strony Luizy, że pozwoliła mi zostać — rzekł chytrze.

Angela zaczęła jeść batonik czekoladowy.

— Luiza cię lubi. Ja też cię lubię. A może nawet kocham. Tylko mnie złości, że Emily zawsze wtyka nos we wszystkie sprawy.

— Więc Luiza chce mi pomóc?

— Tak.

— Czy każe Emily coś dla mnie zrobić?

Angela zjadła już batonik i właśnie wycierała palce o papierek.

— Luiza mówi, że Emily musi ci pomóc, zanim zacznie jeść.

— Ale Angelo… — protestowała na niby Emily.

John odwrócił się do niej szybko.

— Przyjechałyście tu na rowerach, prawda?

— Tak.

— Gdzie one są?
— Schowane w jałowcach.
— Zrobisz coś dla mnie?
— Jeżeli muszę.

Niechęć w tonie Emily była w odczuciu Johna niebezpiecznie przesadna, ale Angela nie spostrzegła tego. Oświadczyła z zadowoleniem:

— Musisz.

— Znasz tę polną drogę do Fisherów, prawda — rzekł John. — To niedaleko. Weź rower, jedź tą drogą do szosy i zostaw go tam. Tylko uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył. A potem wróć tu piechotą. Później, jak pójdziesz do domu, powiedz, że jechałaś sobie rowerem tą drogą, a ja podbiegłem i poprosiłem, żebyś mi go pożyczyła. Znajdą twój rower przy szosie i pomyślą, że pojechałem dalej autostopem.

Angela patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami.

— Udasz, że wyjechałeś, a naprawdę to będziesz tutaj?

John nie odrywał wzroku od Emily.

— Potrafisz to zrobić?

Uśmiechnęła się z zachwytem.

— Oczywiście. Już idę.

Podbiegła do szczeliny w skale, stanęła na czworakach i wyszła na zewnątrz. Angela nawet nie odwróciła głowy. Siedziała patrząc przez chwilę to na suszone figi, to na kanapki. Wreszcie wybrała figę.

Tak będzie chyba najlepiej — myślał John. Jeżeli mógł komukolwiek zaufać, to właśnie Emily. Skoro tylko podrzuci rower na szosę, będzie na pewien czas bezpieczny tak, jak to tylko możliwe pod dość wątpliwą zresztą opieką Luizy. A jeśli będzie mógł tutaj zostać... Dopiero teraz zaświtała mu nadzieja. Wcale tego nie przewidywał. Wszystko się samo stało. Ale teraz, skoro się stało, czyż nie było mniejszym złem? Wiedział dokładnie, co by było, gdyby się poddał.

Nawet gdyby Vickie zdołała go ochronić do przyjazdu policji, zostałby aresztowany — cały materiał dowodowy był przeciwko niemu. Plan jego wroga zostałby wykonany ściśle według zamierzenia. A teraz, będąc na wolności, może się bronić. Ktoś spośród miejscowych ludzi chce go zniszczyć. Ale kto? Steve Ritter? Gdyby w jakiś sposób... Usłyszał głos Angeli:

— Emily to niewolnica. Tłusta, głupia niewolnica. Podnóżek.

Zachichotała, kiedy na nią spojrzał.

— Ciągle jej mówię, że byłeś niedobry dla pani Hamilton. Ciągle to mówię. Ona się wtedy wścieka. Dlatego właśnie tak mówię. Żeby się wściekała.

Powściągając nadzieję, która była zbyt nikła, aby coś ważyć, rzekł:

— Ale mówisz, że Linda jest też niedobra.

Angela strząsnęła okruchy z paluszków, popatrzyła na kanapkę i zaczęła ją odwijać z serwetki.

— Pani Hamilton jest niedobra. Zła i wścibska.

— Wścibska? Dlaczego wścibska?

— Bo chowa się u Fisherów, jak Fisherów nie ma w domu. To niełądnie. Niełądnie chować się w cudzym domu, jak tam nikogo nie ma.

W blasku świecy jej krągła, pucołowata twarz nad kanapką wyrażała wielką dezaprobatę.

— Była tam i ktoś był z nią. Szłam sobie drogą i zobaczyłam, jak odjechał samochód, a potem ona wyszła z domu i myślała, że jej nie zobaczyłam, i chciała się schować z powrotem, ale ja wiem, że to niełądnie, i podeszłam bliżej, i powiedziałam głośno, żeby usłyszała: „Dzień dobry, pani Hamilton". To ona wtedy przestała się chować i podeszła do mnie, i zaczęła się uśmiechać i uśmiechać. Bardzo niełądnie tak robić.

Przełknęła resztę kanapki i przytknęła szyjkę butelki do ust. John patrzył na nią i krew łomotała mu w skroni. Linda

była z kimś w pustym domu Fisherów. Czy temu wierzyć? Może to tylko nowa złośliwa fantazja Angeli?

— Kiedy to było, Angelo?

Patrzyła na niego swymi czarnymi oczami bez wyrazu.

— Dwa tygodnie i dwa dni temu. Liczyłam. Każdy dzień liczyłam i myślałam: Na pewno dziś mi ją da. Ale nie dała i już minęły dwa tygodnie i dwa dni.

— Co miała ci dać?

— Bransoletkę. — Angela zgięła dłoń w przegubie śmiesznym gestem elegantki. — Złotą bransoletkę z napisem „Angela", każda litera na takiej małej złotej blaszce, co się huśta. A i N, i G, i E, i L, i A.

— Ale dlaczego miała ci dać tę bransoletkę?

— Bo taka sama, jaką ona miała. Stała tam i uśmiechała się, i uśmiechała, a ja powiedziałam: „To niełądnie wchodzić do cudzego domu, jak nikogo nie ma". A ona: „Wiem, że to niełądnie, Angelo, ale państwo Fisherowie poprosili mnie, żebym się zaopiekowała ich domem, i ja właśnie to robię". Ale ja wiedziałam, że ona tylko tak mówi, a to wcale nieprawda, bo tak patrzyła i uśmiechała się, żebym myślała, że ona jest dobra, i wtedy zobaczyłam tę bransoletkę i powiedziałam: „Jaka śliczna bransoletka", a ona pozwoliła mi ją obejrzeć. Cała ze złota z takimi blaszkami, co na niej wiszą i się bujają, i na każdej blaszce były takie litery, żeby razem wyszło „Linda". To ja powiedziałam: „Ach, jaka ładna", a ona schyliła się i pocałowała mnie, i spytała: „Podoba ci się?", to ja powiedziałam: „Tak", to ona powiedziała: „Jesteśmy przyjaciółki, prawda?", to ja powiedziałam: „Nie wiem". I ona powiedziała: „O tak, a jak nie powiesz Johnowi ani nikomu innemu, że widziałaś, jak ja się opiekuję domem państwa Fisherów, to ci dam taką samą bransoletkę, tylko z twoim imieniem". To ja powiedziałam: „Dziękuję pani" i ona sobie poszła. Ale nie dała mi tej bransoletki, a ja czekałam — dwa tygodnie i dwa dni. Dwa tygodnie i trzy dni, bo dziś jest

nowy dzień, tylko ja już nie chcę tej zasmarkanej bransoletki i wiem, co ona tam robiła w domu państwa Fisherów. Na pewno kradła, prawda? Kradła razem z tym, co z nią był i potem odjechał, ale to nie byłeś ty, boby nie mówiła: „Nie mów Johnowi". To bardzo brzydko i pewnie ty się dowiedziałeś; i dlatego ją zbiłeś.

Czy mam temu wierzyć? — myślał. Stopniowo ogarnęło go podniecenie. Tylko podniecenie. Przywołana w ten sposób z przeszłości Linda nie istniała dla niego jako osoba, jako żona, która mogła albo nie mogła go zdradzać. Wszystko to była zamierzchła przeszłość. Ale bransoletka istniała. Była to ta sama bransoletka, którą Linda miała na ręku, kiedy przyszła przywitać się ze Steve'em Ritterem, i którą wsunęła do kieszeni uświadomiwszy sobie, że on jest w pokoju. Więc jeśli Angela mówi prawdę, bransoletka i ów mężczyzna muszą mieć ze sobą jakiś związek. Linda nakładała bransoletkę idąc na spotkanie z nim w domu Fisherów, bo ją od niego dostała.

Steve Ritter — myślał. Czyżby więc to, Co mówiła o Steve'ie, było prawdą? Spotykał się z nią potajemnie czasami w domu, a czasami u Fisherów. Dumny. Don Juan dołączył do swoich podbojów Lindę i odkrył zbyt późno, że chwycił za ogon tygrysa...

Ukryty wróg przybrał wreszcie kształty i odsłonił przyłbicę. John doznał wrażenia, że bezsensowny koszmar rozwiewa się i sytuacja zaczyna być jasna. Mógł ją teraz zrozumieć jako logiczny plan człowieka postanawiającego zamordować i zrzucić winę na podstawioną ofiarę. Wreszcie mógł zacząć walczyć z czymś namacalnym.

— Nie widziałaś, kto odjechał tym samochodem?

— Nie. Ale on jest też niedobry, prawda? Oboje są źli. I dlatego ona uciekła. Bo kradła w domu Fisherów i wiedziała, że ją złapią. Uciekła i teraz wszyscy mówią, że to ty zrobiłeś jej coś złego. Ale oni są głuptasy, niemądre stare głuptasy. Nie wiedzą nawet, co mówią. — Zerwała się i wziąwszy w

ramiona Luizą, zaczęła ją z czułością kołysać. — Prawda, Luizo? Luiza mówi, że pani Hamilton jest paskudna, i Luiza skazuje ją na śmierć, bo nie dała bransoletki.

Z rosnącym podnieceniem myślał o bransoletce. Z wyjątkiem tej jednej chwili w saloniku nigdy jej nie widział. Gdzie Linda ją trzymała? Na pewno nie w domu z resztą swojej skromnej biżuterii. Nie tylko dlatego, że zostawiała kasetkę z biżuterią na toaletce. Znał Lindę na tyle dobrze, by wiedzieć, że instynktownie starałaby się ukryć rzecz tak wiele mówiącą jak prezent od kochanka. Ukryłaby ją, tak jak chowała butelki z dżinem i pocztówkę od Billa MacAllistera. A skoro miała ten prezent, mogła mieć i inne. Może listy? Jeżeli miała listy, jeżeli miała jakąś skrytkę…

Angela bujała Luizę w ramionach, nucąc jakąś monotonną kołysankę.

Czy to nie podobne do Lindy? Gdyby Steve był jej kochankiem, to czy nie postarałaby się jakoś, żeby się dostał w jej władzę? Tak też oczywiście musiało być, skoro ją zamordował. Mógł ją jedynie dlatego zabić, że postawiła mu jakieś żądanie, którego nie mógł spełnić, a jak była w stanie żądać nie mając w rękach potężnej broni? Listy! Czy nowa nadzieja nie popycha go za daleko w dziedzinę fantazji? Gdyby istniały jakieś listy, Steve zniszczyłby je, kiedy ją zamordował. Ale wydaje się bardziej prawdopodobne, że była na tyle sprytna, by je dobrze ukryć.

Tajemniczy schowek? Gdyby udało mu się go odnaleźć, może potrafiłby rozerwać sieć lub, jeszcze lepiej, zarzucić ją na tego, kto ją utkał. Właściwie jest więźniem w tej jaskini. Potrzebna mu będzie pomoc, ale…

Usłyszawszy jakieś szuranie odwrócił się gwałtownie. W otworze ukazała się najpierw głowa, a potem ramiona Emily. Wśliznęła się do środka i podbiegła do niego mówiąc z ożywieniem:

— Udało się. Nikt mnie nie widział. Dojechałam do szosy i zostawiłam rower, gdzie każdy go może zauważyć.

Nagle pomyślał: dzieci. Czemu nie? Nie sama Emily i ten mały tyran, Angela, ale wszystkie dzieci — jego sprzymierzeńcy.

W jednej chwili zdecydował się. Zwrócił się do Emily, która siedziała w kucki na ziemi i łapczywie zajadała kanapkę.

— Czy mogłabyś przyprowadzić tutaj inne dzieci?

Gdy tylko to powiedział, zaraz zrozumiał swój błąd. Obejrzał się na Angelę i zobaczył na jej twarzy wyraz niechęci.

Nim jednak zdołał cokolwiek zrobić, by naprawić błąd, Emily powiedziała ze zgrozą:

— Sprowadzić ich do jaskini? Luiza nigdy, nigdy, ale to nigdy się nie zgodzi. Nie będzie chciała. Luiza...

— A właśnie, że tak. — Angela przycisnęła Luizę do piersi i schyliła głowę, jakby nasłuchując głosu wydobywającego się spod kapelusza lalki. Potem spojrzała złym wzrokiem na Emily. — Luiza mówi, że się zgadza. Mówi, że Timmie może przyjść do jaskini, a Leroy i Buck też. Luiza się zgadza, mówi: „Tak, tak, tak".

— Więc — John uśmiechnął się pokornie do Angeli — myślisz, że Emily może teraz iść do miasteczka, żeby powiedzieć o rowerze i przyprowadzić dzieci?

Angela podeszła do skrzynki od pomarańczy, ostrożnie posadziła na niej Luizę i wykonała przed nią uroczysty dyg. Potem odwróciła się znowu do Johna.

— Obie teraz pójdziemy. Ja będę jechała rowerem, a Emily pójdzie piechotą.

Emily wymieniła z Johnem szybkie spojrzenie, dając mu do zrozumienia, że wszystko w porządku.

— Powiem, że spotkałam cię na polnej drodze i pożyczyłeś ode mnie rower. A potem wrócimy tu z dziećmi.

— I dowiedz się, co tylko będziesz mogła.

— Oczywiście.

Angela podniosła z ziemi gałązkę i uderzyła nią Emily po nogach.

— Marsz. Idź pierwsza, niewolnico.

Emily pośpieszyła ku otworowi w skale. Angela ruszyła za nią, ale zatrzymała się i odwróciła do Johna.

— Dlaczego idziemy do Timmie'ego, Bucka i Leroya? Czy to taka zabawa?

— Tak — rzekł John. — To taka zabawa.

— To ja się też bawię — powiedziała Angela. — Jeżeli to taka zabawa, to ja się też bawię. Ale będę najważniejsza. Luiza tak chce. Będę pierwsza, najważniejsza w tej zabawie. — Uśmiechnęła się przebiegle. — A jak nie, to wiesz, co zrobię? Pójdę do nich i powiem: „Szukacie tego starego głuptaka Johna? Ja wiem, gdzie on jest". Tak im powiem. „Wiem, gdzie się ten stary głuptas schował".

Przebiegły uśmiech zamienił się w chichot. Tanecznym krokiem Angela podbiegła do otworu w skale, stanęła na czworakach i wyczołgała się z siostrą — na zewnątrz.

Przez chwilę John stał nieruchomo, z rękami bezwładnie zwieszonymi. W migotliwym blasku świecy usadowiona na drewnianej skrzynce Luiza patrzyła na niego złowrogo, jak pogański bożek. Powróciło brutalne skojarzenie z motylem szamocącym się w zakurzonych pajęczynach okienka nad nową podłogą z cementu. Czuł się, jakby go wciąż otaczała wilgotna, stęchła atmosfera komórki. Potem oczyma wyobraźni ujrzał ludzi biegnących zboczem i ujadających jak psy. Wciąż jeszcze brzmiał mu w uszach chichot Angeli — jaskinia nie była już schronieniem, lecz pułapką.

Chwile minionej grozy były zbyt bliskie, by mógł w pełni panować nad nerwami. Czuł paniczny strach, który go gnał do ucieczki, zanim Angela Jones zdąży go zdradzić.

Ale myśl o Emily stopniowo go uspokoiła. Emily poradzi sobie z Angela. Dzięki Emily wszystko będzie dobrze.

Wyczerpanie powaliło go. Wyciągnął się na jednym z

łóżek z igieł sosnowych, a potem, zdając sobie sprawę, że to posłanie Angeli, przeniósł się na łóżko Emily.

Musi tu zostać. Bo to jedyna droga do ocalenia — zostać, zaufać Emily, uwierzyć, że z pomocą dzieci...

Zapadł w głęboki sen.

18.

Zbudził się nagle. Świeca zgasła. Wysoko w górze, poprzez wąską szczelinę, wdzierało się światło dnia, siejąc szarawy półmrok. Jak długo spał? Czy prędko przyjdą dzieci?

Myśl o dzieciach wywołała w nim mdlące wrażenie lęku. Czy nie postąpił zbyt pochopnie? Teraz te pięć nieobliczalnych istot będzie znało jego kryjówkę i możliwość zdrady wzrośnie. Może nieumyślnie...

Żeby się uspokoić, zaczął myśleć o domniemanej skrytce Lindy. Jeśli ona istnieje, jeśli uda mu się ją odnaleźć, jeżeli jego domysły okażą się prawdziwe, uda mu się uratować. Pomyślał o komórce. Gdyby Linda miała do ukrycia coś niezmiernie ważnego, nigdy by nie trzymała tego w samym domu, ale w komórce, gdzie były jej narzędzia i dokąd on prawie nigdy nie zaglądał. Więc tam? Ale gdzie? Oprócz starej lodówki nie było tam nic. W lodówce? Czemu nie? Była od dawna nie używana i stała przy drzwiach. Po co miała się starać o bardziej wymyślną skrytkę, skoro lodówka tak idealnie mogła służyć jej celom?

Pośle jedno z dzieci, żeby tam zajrzało. Na pewno policjanci będą pilnowali domu. Ale... dziecko... po ciemku!...

Tak, dzieci są mu potrzebne. To oczywiste. Z ich pomocą może mu się udać.

Wkrótce przyszły. Usłyszał odgłos szurania na piasku, gdy wczołgiwały się do środka przez otwór w skale, a potem ujrzał niewyraźne cienie poruszające się w mroku.

— John — usłyszał głos Emily, cichy, konspiracyjny.

— Świeca się wypaliła — rzekł.

Przesunęła się obok niego, w głąb jaskini, i zaraz zabłysło światło. Podeszła ze świecą bliżej i wtedy zobaczył ich wszystkich. Angela siedziała na podłodze przy skrzynce Luizy. Chłopcy stali szeregiem: tłusty i rumiany Buck, cienki jak pęd olchy Timmie, mały Leroy, złotobrązowy, śliczny — wszyscy tak różni i wszyscy z identycznym wyrazem nabożnej czci w szeroko rozwartych oczach.

— Powiedziałyśmy im — rzekła Emily. — Kazałyśmy im złożyć przysięgę. Przysięgnijcie jeszcze raz, przysięgnijcie przed Johnem.

Leroy otworzył usta, ukazując lśniące, białe zęby.

— Przysięgamy — zaczął i dwaj pozostali chłopcy przyłączyli się do niego, szepcząc: — ...że będziemy zawsze z Johnem, choćby nie wiadomo co, a kto go zdradzi, niech go dunder świśnie i niech zginie marnie. Przysięgamy, że zrobimy wszystko, co nam każe John, i nikomu nie powiemy, choćby nas pieczono i palono w smole. I że Angela będzie wodzem bandy.

Angela, siedząc z Luizą na kolanach, spojrzała na Johna rada z siebie.

— Kazałam im to dodać. Zmusiłam ich, żeby przysięgli.

Chłopcy przestępowali w zakłopotaniu z nogi na nogę.

— To jest śliczna jaskinia — rzekł Leroy. — Śliczny jest ten sekret.

— Szukali cię w całym lesie — powiedział Buck — i figę znaleźli.

— Tak — potwierdził John.

— Tata był z nimi — wypaplał Timmie Moreland i zmieszał się. — Tata biegał z nimi po lesie, a potem zadzwonił do mamy i powiedział, że uciekłeś. Że przedostałeś się do szosy i ktoś cię pewnie zabrał do samochodu, i uciekłeś.

Johnowi stanął przed oczyma obraz Gordona Morelanda,

pedantycznego, bystrookiego, niezmiernie dystyngowanego, jak biega w dżinsach po lesie z farmerami.

— Załatwione, John — rzekła Emily. — Powiedziałam im o rowerze. Buck słyszał. Powiedziałam ojcu Bucka, a koło niego stali jeszcze inni ludzie na stacji benzynowej, i wszyscy wskoczyli do samochodu, i pojechali po mój rower. Niedługo znajdą go i wszystko będzie dobrze.

Angela wstała przyciskając do siebie Luizę.

— Znaleźli panią Hamilton — obwieściła. — Znaleźli panią Hamilton. Była pod cementem... Wykopali ją.

Zaczęła gwałtownie kołysać Luizę. Pozostałe dzieci, nawet Emily, patrzyły na nią przerażone, że ośmieliła się sformułować to, co one wszystkie wiedziały, a czego nie mogły wypowiedzieć. Angela, czując, że stała się ośrodkiem ich uwagi, zaczęła tańczyć. Dzieci, przejęte grozą, nie odrywały od niej oczu.

— Wykopali ją. Wykopali. I pewnie wyglądała strasznie — takie strasznie wytrzeszczone oczy, strasznie otworzone usta, strasznie...

— I krew — wtrącił Buck Ritter, starając się niezręcznie zwrócić na siebie uwagę. — Wszędzie krew. Krew na ubraniu, krew...

— Krew — zapiszczał Timmie, choć twarz miał popielatą.

— Nie! — krzyknęła Angela zdjęta grozą, którą sama wywołała. — Nie, nie. Nie mówcie takich złych, paskudnych rzeczy. Nie mówcie...

Przyciskając Luizę do siebie, upadła na ziemię. Zabawa skończyła się. Wszyscy byli wystraszeni i niespokojni. John, dla którego ta okropność była rzeczywistością, spytał cicho Emily:

— Naprawdę ją znaleźli?

— Tak. Policjanci. Przyjechali zaraz za tamtymi ludźmi i zaczęli szukać najpierw w piwnicy, a potem w komórce i zobaczyli nową podłogę, i...

Urwała. Już od kilku godzin John wiedział, że Linda nie żyje, wiedział to z pewnością, która powinna osłabić wstrząs,

ale nie osłabiła. Linda nie żyje. Naprawdę nie żyje. Starał się przypomnieć sobie jej wygląd za życia, miał przed oczami tylko ten okropny obraz, który nakreśliły dzieci: strasznie wytrzeszczone oczy, krew na sukni...

Chłopcy skupili się wokół niego. Emily przyglądała mu się niespokojnym, matczynym wzrokiem. Przypomniał sobie o ich obecności i o palących potrzebach chwili.

— Zabrali ją, Emily?

— Nie wiem.

— Tak — rzekł Timmie. — Tata mówił, że tak. Zabrali ją ambulansem i już jej nie ma.

— Ale policja jest jeszcze w domu?

— Nie mam pojęcia. Ja...

John poczuł lekkie szarpnięcie za rękaw. Spojrzał w dół. Leroy ciągnął go delikatnie za rękaw koszuli.

— John, czy mogę tam iść? Zobaczyć, czy są policjanci? — Wstydliwie spuścił oczy. — A potem mogę wrócić i powiedzieć, i będziesz wiedział.

— Nie — wtrącił się podniecony Timmie, — Ja. Ja pójdę, John. Ja pójdę.

Dla nich to była zabawa. Nie zastanawiali się, czy on zabił Lindę, czy nie. Żaden z nich nawet o to nie spytał. Ta sprawa dla nich nie istniała. Dla nich to była po prostu zabawa — jak jedna z tych, które wymyślał w lesie. „Jakbyście byli zwierzętami, ilekroć ujrzycie człowieka, wstrząśnijcie się i powiedzcie »Wróg!«". Dobrze więc, będzie postępował z nimi jak w zabawach, z zachowaniem zasad i etyki gry.

Popatrzył w błagalne oczy Timmie'ego.

— Nie, Timmie. Leroy pierwszy powiedział. To jego pomysł. On musi iść.

— Ale ja chcę. Ja też chcę coś zrobić.

— Później, Timmie. To był pomysł Leroya.

— To ja mogę iść? — Leroy błysnął w uśmiechu bielą zębów. — Mogę się tam zakraść? Teraz, zaraz?

— Tak, Leroy. Ale uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył.

— Nie zobaczy. I wrócę powiedzieć.

Leroy zaczął biec w stronę otworu w ścianie. Nie zdążył jednak wyjść, kiedy Angela krzyknęła:

— Co ty robisz!? Nie wolno ci nic zrobić, póki mnie nie spytasz. Ja jestem wodzem.

Leroy zawahał się i spojrzał na Johna. John zwrócił się z szacunkiem do Angeli.

— Angelo, można posłać Leroya do mojego domu?

Angela popatrzyła na niego oczyma, w których błysnęła dziecięca złośliwość. Potem, pokiwawszy głową, powiedziała:

— Rozkazuję Leroyowi iść do domu Johna.

Przede wszystkim musi im włożyć w głowy, że całą rzecz trzeba utrzymać w zupełnej tajemnicy.

— Która godzina? — spytał.

— Wpół do piątej — rzekła Emily.

— Kiedy musicie być w domu na kolacji?

— O szóstej — powiedział Buck.

— Ja o wpół do szóstej — rzekł Timmie. — Mama mi każe być w domu o wpół do szóstej, żeby umyć ręce i tak dalej, i żeby poleżeć przed kolacją, bo ja jestem nerwowy, a to mi robi dobrze na nerwy, jak kładę się na trochę przed jedzeniem.

— My z Angela musimy być na szóstą — powiedziała Emily. — Muszę przygotować kolację, zanim mama wróci z poczty.

— Wszyscy rozumiecie, jakie to ważne, żeby nikt się o tym nie dowiedział, prawda?

— Wiemy — powiedziała Emily. — Wszyscy o tym wiemy.

— Tak, tak — rzekł Buck i Timmie.

— To najważniejsza rzecz. Żeby nikt się o tym nie dowiedział, najlepiej nie robić nic, więc nie wolno wam nic robić.

— Ale ja chcę... — zaczął Timmie i urwał zawstydzony.

John patrzył w ich poważne twarze, jaśniejące w migotliwym blasku świecy. Gdy Leroy wróci i zda sprawę z sytuacji, jedno z tych dzieci będzie musiało iść do komórki. Wiedział, jaka atmosfera grozy musi w ich odczuciu otaczać komórkę. Czy wolno żądać od dziecka, żeby tam poszło — w dodatku po ciemku? A może, jak zwykle dorośli, przypisuje dzieciom zbytnią wrażliwość? Czyż nie wykazały przed chwilą, że wszystko, co się stało, było dla nich jedynie w części realne, niby jakaś straszna bajka? Nie wie. Ale to nieważne, bo i tak będzie musiał to zrobić. Jeśli nie zacznie się bronić tym orężem, jaki ma, nie uratuje się, lecz tylko odwlecze nieuchronną klęskę.

— Kto z was może się wymknąć tutaj po kolacji, nie wzbudzając podejrzeń? Bo jeśli jest możliwość, że rodzice zauważą, to nie wolno wam się ruszać z domu.

— Ja — rzekł Buck. — Nikt się mną nie przejmuje, bo mama jest w lodziarni, a tata... na służbie i w ogóle.

— My możemy przyjść — powiedziała Emily. — Mama wraca na pocztę i siedzi tam od siódmej do ósmej, a ja kładę Angelę o ósmej i potem siedzę z mamą, gdy mama przychodzi, ale nie dłużej jak do dziesiątej, bo wtedy mama się kładzie, żeby móc rano wcześniej wstać. Więc pò dziesiątej mogę przyjść. My prawie co noc i tak wykradamy się z Angela z domu i przychodzimy tutaj, a mama o niczym nie wie.

— Ja też mogę przyjść — rzekł Timmie. — Mogę. Zupełnie łatwo. Naprawdę mogę. — Oczy błyszczały mu z podniecenia, ale widać w nich było również niepokój. Nagle posmutniał. — Ale chyba nie mogę, boby zaczęli coś podejrzewać. Jak jesteśmy w domu, to tatuś zawsze po kolacji nastawia mi płyty i mówi, że ja je lubię, a jak się kładę do łóżka, mamusia mi czyta różne książki. No, to chyba masz rację, nie uda mi się wymknąć. Więc niech już puszczają te płyty i czytają książki, a ja będę sobie myślał, że mam tajemnicę,

a oni o niczym nie wiedzą, i że biorę cały czas udział w grze, i że robię coś strasznie ważnego, i...

Za ich plecami rozległ się nagle jakiś szmer. Odwrócili się i zobaczyli Leroya wczołgującego się przez otwór. Podskoczył do nich promieniejący z dumy.

— Biegłem. — Dyszał ciężko. — Biegłem cały czas w tamtą stronę i z powrotem i nikt mnie nie widział, i zakradłem się pod dom, i tam jest policjant. Jeden policjant z samochodem. Siedział w tym samochodzie, a potem wysiadł i obszedł dookoła dom. Ale nikogo więcej nie ma. Tylko on. Tylko ten jeden policjant.

A zatem dali się nabrać na historyjkę z rowerem Emily. Naprawdę wierzą, że nie ma go w okolicy. Postawili dla formalności jednego policjanta. Więc da się przeprowadzić plan z łatwością.

— Dziękuję ci, Leroy.

— Dobrze to zrobiłem?

— Tak, świetnie się spisałeś.

Które więc z nich wysłać? Timmie ze swymi „nerwami", które trzeba uspokajać przed każdym jedzeniem, zdecydowanie odpada. Buck? Buck nie ma „nerwów" i ze względu na stosunki domowe może się wymknąć, kiedy tylko zechce. Ale Buck jest synem Steve'a Rittera. Nie, o ile to możliwe, lepiej nie wysyłać Bucka. Trzeba więc będzie wysłać Emily, mimo że to oznacza odwleczenie całej sprawy do godziny dziesiątej.

Wszystkie dzieci, prócz Angeli, stłoczyły się wokół niego wyczekująco.

— Dobra, więc zrobimy tak — powiedział. — Wszyscy pójdziecie teraz na kolację i wszyscy, tak jak mówiłem, będziecie siedzieć spokojnie aż do jutra, tylko że — spojrzał na Bucka — muszę mieć coś do jedzenia. Co ty na to, Buck? Mógłbyś coś zwędzić z lodziarni?

Buck uśmiechnął się z zachwytem.

— Jasne. Co tylko pan zechce. Oni mi pozwalają jeść,

kiedy chcę. Nie zwracają na to uwagi. Mogę przynieść lody, batoniki czekoladowe, kawę — przyniosę kawę w dzbanku i...

— Dobrze, Buck. Ale po kolacji, jak będzie to można zrobić zupełnie bezpiecznie. — Zwrócił się do Emily: — Mogłabyś zrobić coś bardzo dla mnie ważnego?

— O tak, John, oczywiście.

— Możesz tu przyjść, jak mama pójdzie spać? Weź ze sobą latarkę... Tylko że... może będziesz się bała. Trzeba iść do komórki.

— Do komórki! — Emily aż poczerwieniała. — Do komórki, gdzie...

— Tak. Tam musi być coś, co mi jest bardzo potrzebne. Chcę, żebyś tego poszukała.

— Ja to zrobię — wtrącił się Buck. — Ona jest dziewczyna. Ja tam pójdę.

— Nie, Buck. Chcę, żeby poszła Emily. Emily, pójdziesz?

Wtedy podbiegła do nich Angela. Rzuciła Luizę na ziemię.

Twarz miała purpurową z wściekłości.

— Ja tam pójdę. Nie pozwolę iść tej głupiej Emily. Sama pójdę. Sama pójdę do komórki. Jestem wodzem bandy.

Stała przed nimi na szeroko rozstawionych nogach, patrząc na Johna wyzywająco. Angela! Zawsze musi się wtrącić Angela — nieubłagana furia, wieczna groźba. Czuł, jak pewność siebie go opuszcza, jak jego plany stają się nierealne. Ta niemądra konspiracja z dziećmi nie da żadnych wyników. Czeka go nieuchronna zguba. Jak mógł się łudzić, że będzie inaczej?

Wszystkie dzieci patrzyły na Angelę. Nagle Emily powiedziała:

— Dobrze, John. Niech idzie Angela. Każ jej iść, bo ja się boję. Tam w komórce będzie strasznie po ciemku. Ciemno i krew na podłodze, i nietoperze, i duch pani Hamilton. Biały jak prześcieradło z rękami jak szpony i strasznie

wytrzeszczonymi oczami... Zaczai się w kącie i nagle wyskoczy. Wyskoczy i...

Angela wciąż stała przed Johnem. Usta zaczęły jej drgać.

— Duch — mówiła Emily. — Każ Angeli iść do ducha. Niech ją ten biały, sunący po ziemi...

Angela zaczęła krzyczeć. Skakała, tupiąc tłustymi nóżkami.

— Nie! — wrzasnęła. — Nie, nie. Nie pójdę do tej paskudnej komórki. Nie pójdę... Nie pójdę. Niech idzie Emily. Niech Emily idzie do tego ducha. — Rzuciła się na łóżko wrzeszcząc jak opętana. — Emily musi tam iść! Musi iść Emily!

Oczy Emily i Johna spotkały się. Dziewczynka mrugnęła. Było to dojrzałe, dorosłe, ogromnie śmieszne mrugnięcie. John uśmiechnął się do niej.

— Dobrze. Więc Emily pójdzie do komórki. Załatwione. Timmie, Leroy, będziecie mieli coś ważnego do załatwienia, ale nie dzisiaj, jutro. Przyjdźcie jutro rano jak najwcześniej. Teraz — wszyscy do domu. Wiecie, co robić. Wiecie, że...

— Powtórzcie przysięgę — przerwała mu Emily. — Powtórzcie wszyscy przysięgę.

Od ścian jaskini odbił się echem chór głosów dziecięcych.

— Przysięgamy, że będziemy zawsze z Johnem, choćby nie wiadomo co...

Kiedy to mówiły, John podszedł do Angeli i usiadł na podłodze przy jej łóżku.

— Angelo.

— Idź sobie.

— Angelo, kochanie, zrobisz coś dla mnie? Przyjdziesz tu później z Emily, żeby pobyć ze mną, jak Emily pójdzie do komórki? Żeby mi dotrzymać towarzystwa.

Tak będzie lepiej. Gdyby została sama w domu, mogłaby mu narobić kłopotów. Poruszyła się na łóżku, patrząc na niego spod oka.

— Będziemy tylko we dwoje?

— Tak.

— Bez tej głupiej Emily. Emily musi iść do komórki. Tam ją duch pożre.

— Może.

— Będziemy sami — powiedziała głosem przymilnym jak mruczenie kota. — Kochasz mnie, prawda?

— Tak.

— Mnie i Luizę. Mnie i Luizę. — Wstała wygładzając nogawki dżinsów. — Dobrze, przyjdę. Wyślemy głupią Emily do komórki i będziemy sami.

Emily szła w ich stronę, W chwili gdy podchodziła do nich, Angela spojrzała na Johna rozmarzonymi oczyma.

— Podnieś mnie, John. Podnieś mnie.

Schylił się i podniósł ją. Objęła go za szyję i pocałowała mocno w policzek, rzucając jednocześnie złośliwe spojrzenie Emily.

— Kocham Johna — powiedziała. — Kocham go i on mnie kocha. I nienawidzi Emily. Powiedz to, John. Powiedz, że nienawidzisz Emily.

Sponad jej czarnej główki John popatrzył na Emily. Ku jego zdumieniu miała zaciśnięte usta i na jej twarzy malowała się zazdrość.

— To nieprawda — powiedziała.

— A właśnie że prawda — rzekła Angela. — Powiedz, John. Powiedz, że nie cierpisz Emily.

— Nie cierpię Emily — powiedział.

Starał się pochwycić spojrzenie Emily, ale gdy wypowiedział te słowa, odwróciła się nagle do niego tyłem.

Chłopcy po kolei wyczołgiwali się przez otwór w skale. Pomyślał niespokojnie: chyba Emily nie sądzi, że powiedziałem to, co myślę. Tak świetnie radziła sobie z Angela, że wydawało się nieprawdopodobne, by była taka dziecinna, aby go źle zrozumieć.

Opuścił Angelę na ziemię.

— Emily... — zaczął, ale Emily już wyczołgiwała się z jaskini.

— Jest wściekła. — Angela zachichotała. — Jest okropnie wściekła. Teraz nienawidzi mnie i ciebie.

Podreptała w stronę wyjścia i zanim wsunęła się w otwór, odwróciła się i pomachała mu tłustą rączką.

— Do widzenia, John. Do widzenia, kochany, najukochańszy!

Zginęła w otworze jaskini.

19.

Było wpół do siódmej, kiedy Buck przyszedł z jedzeniem. Po odejściu dzieci John nie mógł wysiedzieć na miejscu. Prześliznął się przez otwór między jałowcami i ostrożnie zbadał okoliczny teren. Chłodne powietrze wieczoru orzeźwiło go, a promienie zachodzącego słońca przedzierające się ukośnie poprzez drzewa, połyskując na skałach, paprociach i kobiercach babimoru, sprawiły, że w tym spokojnym świecie dziecięce zabawy wydawały się bardziej realne niż okropności, które zaszły w jego życiu. Leżał na trawie przy ścianie jałowca. Wysoko nad nim, gdzieś w koronie buka, drozd śpiewał swoją melodyjną i liryczną pieśń," jak odległy szmer i plusk wody w strumyku. Nagle usłyszał ostry, ostrzegawczy głos wiewiórki, a potem trzask gałązki pękającej pod czyjąś stopą. Dał nura w jałowiec i wyjrzawszy ukradkiem zobaczył biegnącego Bucka.

Wyszedł z ukrycia, Buck podbiegł do niego. Był obładowany pudełkami i paczkami.

— Hura, John, hura! — krzyknął wesoło, a John aż się wzdrygnął.

— Cicho, Buck. Tu głos daleko niesie. Mogą usłyszeć koło domu.

— Ojej. Przepraszam. — Zniżył głos do konspiracyjnego

szeptu. — Spytałem, czy mogę sobie zrobić z Leroyem piknik. Powiedziałem, że rodzice mu pozwolili, i czy mogą wziąć jedzenie dla nas dwóch, a mama się ucieszyła, że nie będzie musiała przygotowywać mi kolacji, i powiedziała „dobrze", i żebym sobie wziął, co mi potrzeba, no to ja przyniosłem...

Usiadł obok Johna na babimorze i zaczął układać paczki.

— Przyniosłem lody truskawkowe i pistacjowe, i kawę dla ciebie, i mleko, i kilka batoników, i... o, całe mnóstwo tego wszystkiego i możemy razem jeść. Zrobimy sobie piknik. — Spojrzał na Johna. — Możemy już zaczynać? Jestem strasznie głodny. Możemy?

— Oczywiście.

— Już jest o tym w gazetach. — Pożerał z pudełka lody truskawkowe tekturową łyżeczką. — Na całej pierwszej stronie „Eagle". Szkoda, że nie widziałeś. „Mieszkanka Stoneville zamordowana w komórce; mąż, artysta malarz, zbiegł". Jest twój opis i wszystko, i ma być wszędzie rozesłany. „Ktokolwiek wiózł samochodem odpowiadającego następującemu opisowi mężczyznę..." A o całym zebraniu rady miejskiej, o budowie tego hotelu nad jeziorem, o który jest tyle krzyku, napisali tylko parę słów — że stary pan Carey chciał, żeby głosowali przeciwko, a oni głosowali za. Reszta jest o tobie. „Nieoczekiwane przybycie Johna Hamiltona na posiedzenie rady..." A tata zupełnie oszalał. Szkoda, że go nie widziałeś. Wszyscy w Stoneville powariowali. Nic, tylko biegają i wrzeszczą. Dom wariatów.

Znad łyżeczki lodów uśmiechała się do Johna krągła, miła buzia.

— Ojej, co by to było, gdyby wiedzieli, że ty jesteś tutaj. Toby dopiero była heca!

— Jest jeszcze policjant koło domu?

— Ojciec mówi, że tak. Muszą tam trzymać policjanta. Takie jest prawo, mówi. Ale oni nic nie wiedzą. Im się zdaje,

że jesteś gdzieś indziej. — Cisnął puste pudełko po lodach na ziemię i powiedział z błaganiem w oczach: — John, pozwól mi iść po tę rzecz do komórki. Mogę się tam łatwo przekraść, a jak mnie zobaczą, to i tak nic nie szkodzi. Ja ich wszystkich znam — tych policjantów. Mogę po prostu podejść do każdego z nich i powiedzieć: „Sie masz, Bill, co słychać? Można zwiedzić ten dom grozy?" Mogę tam wejść jak nic. Daję słowo. To dla mnie drobiazg.

Słuchając John myślał: Czemu nie? Wiedział, że to jego własna niecierpliwość czyniła propozycję Bucka tak kuszącą. Ale czy to nie byłoby rozsądne? Buck, jako syn Steve'a, był w uprzywilejowanej sytuacji. Mogliby go nawet zobaczyć. Mógłby przejść przed nosem policjanta. Jego poprzednie skrupuły wydawały mu się teraz nieuzasadnione. Dlaczego ma się bać Steve'a Rittera? Nie szkodzi, że przedtem zlecił to zadanie Emily, nie powinien wiązać sobie rąk dziecinnym protokołem. Emily nie weźmie mu tego za złe. Na pewno odetchnie z ulgą, że nie będzie musiała sama po ciemku iść do komórki.

— Wiesz, gdzie jest komórka? Za pracownią, z tyłu.

— Pewnie, że wiem. Znaczy, że mogę iść?

— Jeśli uważasz, że ci to ujdzie bezkarnie...

— Do komórki! „Mieszkanka Stoneville zamordowana w komórce..."

— Słuchaj, Buck. Zaraz za drzwiami stoi stara lodówka...

Wyjaśnił chłopcu, czego ma szukać: że może to być jakieś pudełko, a jak nie pudełko, to coś innego, w każdym razie chodzi o bransoletkę — złotą bransoletkę ze złotymi wisiorkami.

— Może to wcale nie będzie w lodówce, Buck. Ale zdaje mi się, że tak. Zajrzyj najpierw tam, a jak nic nie znajdziesz, to poszukaj gdzie indziej. Dasz radę na pewno?

— Na pewno. — Buck zerwał się z miejsca. — Nie przejmuj się. Załatwione. Ja jestem z tym policjantem o tak. —

Zgiął rękę w łokciu. — Tak z nim jestem. Mogę sobie wejść, jakby nigdy nic... No, do zobaczenia, szefie.

Ruszył w drogę, ale przypomniał sobie o jedzeniu, więc zawrócił, porwał batonik i znikł wśród drzew.

Przez chwilę po odejściu Bucka John pozostawał w nastroju optymizmu. Wszystko będzie dobrze. Buck poradzi sobie z policjantem. Znajdzie, co trzeba. Za kilka minut może wszystko się odmieni.

Ale gdy tak siedział, słuchając śpiewu drozda i szmeru strumienia, stopniowo las zaczął zatracać swą pogodę i przybierać groźne oblicze. Odżył w nim lęk, do głowy cisnęły mu się chorobliwe podejrzenia. Czy mądrze zrobił ufając synowi Steve'a Rittera? Co on naprawdę wie o Bucku? A jeżeli Buck już powiedział ojcu, jeżeli to jest nowa pułapka?... Wróciło wspomnienie ucieczki przez las przed ścigającymi go ludźmi i coraz bliższy paniki, poczuł nieodpartą chęć, by wstać i biec, by rzucić tę ryzykowną kryjówkę. Powinien porozumieć się z Vickie. To najrozsądniejsze, co mógł zrobić. Dlaczego nie...

Właśnie wtedy, gdy to dręczące niezdecydowanie sięgało szczytu, wśród drzew ukazał się, idący nonszalanckim krokiem, Buck. Na twarzy miał swój zwykły, szczery uśmiech, a pod pachą — nie do wiary! — płaskie pudełko z czerwonej skóry.

Chłopak podszedł do niego i podał mu pudełko z obojętnością bohatera komiksów. .

— O to ci chodziło? Było w lodówce. Z początku go nie zauważyłem. Patrzyłem wszędzie i nie mogłem znaleźć. Była tylko butelka z jakimś alkoholem. Potem zobaczyłem metalową ściankę w górnej części, a w ściance otwór. Wsadziłem rękę do otworu i znalazłem. W środku jest bransoletka i jakieś inne drobiazgi. Nie masz pojęcia, jak łatwo mi poszło. Przyszedłem sobie, jakby nigdy nic. Policjant siedział w aucie. Znam go. To mój kumpel, George, stary Georgie-Porgie, zajadał kolację i nawet mnie nie zauważył. Przekradłem się

na tyły domu i do komórki, a to leżało właśnie w lodówce, tak jak mówiłeś. — Przejechał dłonią po ostrzyżonych na jeża włosach. — Poszło mi jak po maśle.

John wziął od niego pudełko. Drżącymi z niecierpliwości palcami otworzył złoty zameczek i podniósł wieczko. Najpierw uwagę jego przyciągnęła złota bransoletka. Była dokładnie taka, jak ją opisała Angela: szeroki złoty pasek z pięcioma wisiorkami. Niektóre wisiorki leżały literkami do góry. Zobaczył „I...D...A...” Była też inna biżuteria. Kolczyki, naszyjnik, złoty pierścionek z wielkim lśniącym kamieniem. Diament?. Ale nie to go interesowało, zainteresowała go inna rzecz leżąca w pudełku. Była to szpula taśmy magnetofonowej.

Odwrócił ją na drugą stronę. Ujrzał przyklejoną do taśmy karteczkę, a na niej wypisane jego własnym pismem: „Mendelssohn — »Sen nocy letniej« — Klecki”.

Przez chwilę patrzył tępo, myśląc: To jest ta taśma, której nie mogłem znaleźć w salonie. Potem stopniowo zaczęło go ogarniać podniecenie. Była to jego najnowsza taśma. Czas jej odgrywania wynosi trzydzieści minut. Uwertura Mendelssohna trwa najwyżej dziesięć. Zatem pozostawało jeszcze ze dwadzieścia minut do końca taśmy.

Nie mylił się więc prawie w swojej znajomości Lindy. Nie listy miłosne, lecz zapis na taśmie. Zapis czego? Jakiejś kompromitującej rozmowy? Na pewno. Kiedy nagrał tego Mendelssohna? Mniej więcej tydzień temu. A więc gdzieś w zeszłym tygodniu, po ukazaniu się recenzji z jego wystawy...

— Ojeja! — doszedł go głos Bucka. — A co to takiego? Taśma od maszyny do pisania czy co?

Czyż teraz wszystko nie jest jasne? Linda miała kochanka. (Kogo? Steve'a Rittera? Przypuśćmy, że Steve'a). Po niepowodzeniu wystawy pomyślała sobie: „John nie nadaje się na męża dla mnie; znalazłam sobie kogoś innego, kto byłby dużo odpowiedniejszy — gdyby mi się udało to załatwić”.

A że była sobą, zaaranżowała kompromitującą scenę w saloniku i ukradkiem puściła magnetofon.

Huczało mu w głowie od natłoku myśli. Przyjrzał się pierścionkowi. Przecież ten kwadratowy kamień to prawdziwy diament! A czyż te perły w naszyjniku nie są prawdziwe albo przynajmniej kultywowane? A skoro tak, jakże Steve Ritter mógł sobie pozwolić na tak ekstrawaganckie prezenty? Jeśli się nie myli co do intencji Lindy, to Steve nie wchodzi w grę. Bo czy Linda mogła sądzić, że otworzy sobie drogę, do lepszego życia poprzez Steve'a Rittera?

Nie. Steve Ritter nie był jej kochankiem. Bo w przeciwnym razie nigdy by tego nie powiedziała. Owo wyznanie było kłamstwem — raczej półkłamstwem, przyznaniem się, że ma kochanka, którym jednak nie był Steve.

Więc kto? Ktoś z towarzystwa Careyów? Z pewnością. Gdyby to był ktoś spoza ich grona, wiedziałby przynajmniej o jego istnieniu. Brad? Nie, nie Brad. Brad był z nim w Nowym Jorku w czasie, gdy dokonano morderstwa. Pan Carey? Pan Carey leżał ostatnio w szpitalu, a romans najwyraźniej już wtedy trwał. Zatem Gordon Moreland?

Gordon Moreland, biegający po lesie razem z innymi mieszkańcami miasteczka! Nieubłaganie wrogi Gordon, który podsuwał Steve'owi coraz to nowe podejrzenia!

Był jak odurzony odkryciem. Oto trzyma w dłoni taśmę. Wystarczy postarać się tylko o magnetofon i przegrać ją, a będzie wiedział. Gdzie ją przegra? U Fisherów. Magnetofon jest zniszczony, ale da się naprawić. Tak, rano wyśle któreś z dzieci do Pittsfield. A jak już przegra taśmę, jak będzie wiedział...

Nagle wszystkie otaczające go niebezpieczeństwa wydały mu się nieprawdziwe, papierowe — nawet obecność policjanta koło jego domu.

— Słuchaj, Buck, potrafiłbyś jakoś namówić policjanta, żeby cię wpuścił do mego domu?

Twarz chłopca rozpromieniła się z radości.

— Chcesz, żebym poszedł tam jeszcze raz Ï dostał się do domu?

— Sądzisz, że ci się uda?

— Mnie się nie uda? Z Georgie-Porgie? Chyba żartujesz? Ja bym go chyba potrafił namówić, żeby kupił ode mnie skafander kosmonauty za dwadzieścia pięć dolarów, choć kosztuje tylko dziewiętnaście osiemdziesiąt pięć.

— Więc słuchaj. Postaraj się, żeby cię wpuścił do domu. Wiesz, jak wygląda magnetofon?

— Magnetofon?

— Zobaczysz go na szafce z płytami w saloniku, tuż obok wzmacniacza adaptera. Wygląda jak przenośny adapter w skrzynce obciągniętej skórą. Nie możesz go przegapić. Jak wejdziesz, otwórz okno i rzuć magnetofon na grządkę kwiatów, a potem wyjdź frontowymi drzwiami. Później wybierz odpowiedni moment, żeby się przekraść za dom, złap magnetofon i biegnij z nim tutaj.

— Dobra — rzekł Buck. — Lecę. Mów tylko, co robić. Więcej nic nie trzeba. Super-Buck Ritter wykona każde zadanie w mgnieniu oka.

Uśmiechnął się, walnął pięścią w pierś i — zniknął pośród drzew.

20.

Gordon Moreland? Czekając John siedział w słońcu przy jałowcach i rozmyślał o swoim potencjalnym wrogu. Nie miał już wątpliwości Linda zawsze była pod wrażeniem Gordona Morelanda. Był znakomitością, jaką John wbrew jej oczekiwaniom się nie stał. A poza tym był podwójnie uzależniony od Roz — jako żony i współpracowniczki. Ileż satysfakcji miałaby Linda kradnąc męża eleganckiej damie spędzającej zimy w Europie. Znów sytuacja jak z Rainesami i Parkinsonami — paląca konieczność współzawodnictwa

ponad siły. Łapie w swoje sidła Gordona Morelanda, wyłudza od niego podarki, tajemnicą niezwykłego romansu podnieca swoją próżność, a potem, gdy jej marzenia o łatwym sukcesie Johna upadają wraz z wystawą w Galeriach Denhama, myśli: „Zmuszę Gordona, żeby się ze mną ożenił".

Jak łatwo teraz to wszystko sobie odtworzyć. Przed przyjściem listu z firmy „Raines i Raines" szantażuje Gordona taśmą. „Rozwiedź się z Roz i ożeń się ze mną, bo inaczej..." Może by się to udało z niektórymi mężczyznami, takimi jak na przykład Brad, ale nie z Gordonem Morelandem. Gordon jest z granitu, jak pan Carey. Nawet Linda nie mogłaby spowodować, żeby rzucił żonę, której współpraca daje mu takie zyski i pozycję człowieka szanowanego, bożyszcza środowiska Careyów, i wziął sobie kobietę bez grosza przy duszy, w dodatku nerwowo chorą. Czy prosił, by dała mu trochę czasu? Zapewne. A potem... Oczywiście! Widowisko, jakie Linda zrobiła na przyjęciu urodzinowym u Vickie, nie miało na celu jedynie upokorzenia go. Powinien był już dawniej o tym pomyśleć, przecież w wypadku Lindy wszystko jest dużo bardziej skomplikowane, niż się z pozoru wydaje. To była tylko zewnętrzna powłoczka ostatecznej groźby. Opowiadając Careyom o jego decyzji odrzucenia propozycji firmy „Raines i Raines", mówiła do Gordona Morelanda.

„Widzisz? John ostatecznie udowodnił, że nie nadaje się na męża dla mnie. Skoro nie chce mnie posłuchać i zmienić decyzji, niech ma. Przygotuj się".

Więc się przygotował. Wiedział od Lindy o gwałtownej kłótni, w której John ją uderzył, i o wyjeździe Johna nazajutrz do Nowego Jorku. Wspaniały zbieg okoliczności. Doskonała okazja dla Gordona! Mógł ją zabić i zrzucić winę na Johna. Mógł zamówić cement wczesnym rankiem, gdy John był jeszcze w Stoneville, a potem, po jego wyjeździe do Nowego Jorku...

Tak to było. Teraz trzeba tylko ściągnąć tu magnetofon, naprawić go i będzie po wszystkim.

Za niespełna pół godziny wrócił Buck niosąc magnetofon i pogwizdując zawadiacko. Nagle przypomniał sobie, że trzeba być cicho, zrobił skruszoną minkę i wyszeptał:

— Ale się spisałem, mówię ci. Cóż to za głuptas z tego starego Georgie-Porgie! Siedział w samochodzie i palił papierosa. Więc powiedziałem: „Kazali ci pilnować tego domu". A on: „Że też musiało paść na mnie. Tkwić tu do północy..." To ja powiedziałem: „Nie masz pietra, jak tak siedzisz tutaj koło miejsca, gdzie ją zamordowano?" A on na to: „Czy ja jestem mały chłopak?" A ja: „Chłopak by się nie bał". A on: „Odważny jesteś, ale w buzi". A ja: „Chcesz się założyć? Stawiasz dziesięć centów? Mogę obejść cały dom, zajrzeć do wszystkich pokoi, nie boję się nic a nic.

Założę się z tobą o dziesięć centów, Georgie-Porgie". To on się roześmiał, rzucił mi klucz i powiedział: „Dobra, zakładam się o dziesięć centów, że za niecałą minutę wypadniesz stamtąd jak z procy". No to wziąłem klucz...

John otworzył futerał magnetofonu. Podczas gdy Buck trajkotał jak nakręcony, pilnie zbadał cały mechanizm. Tak, lampy są do niczego. Ale poza tym magnetofon jest dobry. Miał w kieszeni portfel, kiedy uciekał z domu. Wystarczy mu pieniędzy na lampy. Jutro wyśle któreś z dzieci autostopem do Pittsfield po lampy. Czy w domu Fisherów jest światło? Chyba tak, bo przecież wyjechali do Kalifornii tylko na kilka miesięcy. Ale któreś z dzieci może tam jutro iść i sprawdzić. Tak, przy odrobinie szczęścia będzie mógł jutro przegrać taśmę u Fisherów i dowiedzieć się wszystkiego. A gdy się dowie...

— ...No to wystawiłem magnetofon przez okno, jak mi powiedziałeś, zamknąłem okno i wyszedłem przez frontowe drzwi do starego Georgie-Porgie, i powiedziałem: „No i co, Georgie-Porgie? Siedziałem prawie pięć minut. Byłem na górze i wszędzie. Gdzie dziesięć centów?" I dał mi te dziesięć

centów. Widzisz, jak się spisałem? — Krągłą, rumianą twarz Bucka rozjaśnił uśmiech triumfu. — Chcesz, żebym poszedł jeszcze raz? Mogę iść. To dla mnie nic.

— Nie, Buck. Już nic mi nie trzeba. — John spojrzał na zegarek. Zbliżała się ósma. — Zmykaj do domu. Lepiej nie ryzykować.

— Ale, John...

— Nie, Buck. Stokrotne dzięki. Świetnie się spisałeś. Jesteś równy chłop. Ale teraz zmykaj. Przyjdź tu zaraz z rana i przynieś mi coś na śniadanie, jeżeli możesz.

Teraz już Emily nie będzie mu potrzebna. Czy poprosić Bucka, by zaszedł do Jonesów i powiedział dziewczętom, żeby nie przychodziły? Nie — myślał. Lepiej, żeby przyszły. Bezpieczniej będzie mieć Angelę na oku, a poza tym trzeba udobruchać Emily.

Po odejściu Bucka zaniósł magnetofon i pudełko Lindy do jaskini. Świeca znów się wypaliła. Schował magnetofon i pudełko w najdalszy kąt i położył się na łóżku Emily.

Myśl, że musi czekać do jutra, żeby naprawić magnetofon, wydawała mu się przy jego stanie nerwów nie do zniesienia. Tak jednak musiało być. Ale jak go tylko naprawi... Ale czy to prawda? Teraz minęło już początkowe podniecenie i zaczął myśleć trzeźwiej; Czy mając wszystkie dowody przeciwko sobie zdoła się oczyścić przedstawiając po prostu policji taśmę? Czego w ten sposób dowiedzie? Że Linda miała romans z Gordonem. Ale czy to, jak wszystko inne, nie może się obrócić przeciwko niemu? Co przeszkodzi kapitanowi Greenowi zinterpretować ten fakt jako jeszcze jeden motyw popełnionej na żonie zbrodni? Dawny lęk zaczął powracać. Daleko mu jeszcze do uwolnienia się z matni. Będzie musiał pomyśleć o czymś jeszcze — o czymś bardziej obciążającym...

Myśli tłoczyły się, ścierały ze sobą. Musi znaleźć jakiś sposób. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Po jakimś

czasie usłyszał słaby krzyk sowy, a następnie szmer u wejścia do jaskini i przymilny głos Angeli:

— John? Kochany. Kochany, najmilszy, najmilszy. Jesteś, John?

— Jestem.

Było teraz zupełnie ciemno w jaskini i wcale nie widział dziewczynek.

— Emily, zapal świecę — rzekła Angela.

Emily nie odpowiedziała.

— Emily! — głos Angeli zabrzmiał władczo. — Słyszałaś? Zapal w tej chwili świecę. John, Luiza, Miki, Krowa i ja chcemy światła. Zapal świecę, ty wielka, gruba, głupia niewolnico.

Emily nadal nie odpowiadała, ale John usłyszał, jak przechodzi obok niego po omacku. Wkrótce rozległ się trzask zapałki i zamigotało światło. Angela stała przy wejściu mrużąc oczy. W jednej ręce trzymała zniszczoną Myszkę Miki, drugą przyciskała do piersi dużą łaciatą krowę. Uśmiechnęła się do Johna, a potem odwracając się do skrzynki po pomarańczach złożyła niski pokłon Luizie i postawiła Miki i Krowę obok niej.

— Przyszłyśmy spędzić noc z tobą i Luizą. Miki, Krowa i ja. Będziemy sobie tu spać, a Emily pójdzie do komórki i tam ją pożre duch. — Podbiegła do Johna, objęła go w pasie i uśmiechnęła się do niego przymilnie. — Och, jak ja ciebie kocham. Kocham cię. Kocham.

Emily podeszła ze świecą osadzoną w butelce po cocacoli. Schyliła się i postawiła ją na ziemi. John spojrzał na nią z niepokojem. Miała chłodną minę i celowo unikała jego spojrzenia.

— Chcesz, żebym zaraz poszła do komórki? — spytała. — Przyniosłam latarkę.

— Tak — rzekła Angela. — Idź zaraz. Już.

— Nie, Emily — powiedział John. — Już nie trzeba. Buck był tutaj, żeby mi przynieść coś do jedzenia, i okazało się,

że zna tego policjanta. Pomyślałem więc, że będzie lepiej, jak on pójdzie. Posłałem go i zrobił, co chciałem.

Wciąż jeszcze nie patrząc na niego Emily powiedziała:

— Ale mówiłeś, że ja mam iść.

— Tak. Bardzo cię przepraszam. Ale pomyślałem, że się ucieszysz, jak nie będziesz musiała.

— Powiedziałeś, że ja pójdę. Wybrałeś mnie.

— Kochanie... — zaczął.

— Nie mów do niej „kochanie"! — wrzasnęła Angela. — Nie mów! Nie mów! Nie mów!

— Emily...

— Nie mów do niej „kochanie". Nienawidzę jej. Wszyscy jej nienawidzimy. Ona nie może iść do komórki, do tego ducha, bo jest za głupia. Nie potrafiłaby tego zrobić. Prawda, John? Dlatego kazałeś iść Buckowi, bo ona jest na to za głupia. — Angela zaczęła tańczyć wkoło jak szalona. — Tra la la la!

Nagle maska chłodu z twarzy Emily opadła. Usta zaczęły jej drżeć i łzy trysnęły z oczu.

— Nie mogę tego znieść — powiedziała. — Próbowałam i próbowałam, ale nie mogę. Wolałabym... wolałabym umrzeć.

Przycisnęła piąstki do ust, obróciła się na pięcie, podrzucając gwałtownie warkoczykiem, i pobiegła do otworu w skale.

— Emily...

John ruszył za nią. Nim jednak zdołał ją dopędzić, wysunęła się przez otwór i zniknęła. Angela tańczyła dalej.

— O, poszła sobie. Stara Emily sobie poszła.

John podszedł do otworu i położył się na ziemi, żeby przecisnąć się na zewnątrz. Z tyłu, za sobą, usłyszał groźnie podniecony głos Angeli.

— Ty nie możesz iść. Nie wolno ci iść do Emily. Jeżeli pójdziesz do niej, to powiem!

Ignorując ją zaczął wyczołgiwać się przez otwór.

— Powiem. Pójdę do nich i powiem. Spytam: „Chcecie wiedzieć, gdzie jest ten wstrętny, niedobry John?" Zacznę krzyczeć. Przy domu jest policjant. Krzyknę i on usłyszy. Będę wrzeszczeć i krzyczeć...

Jej głos urwał się nagle, gdy John wyczołgał się między jałowce. Stanął na nogi. W gęstwinie drzew było ciemno jak w jaskini. Z wyciągniętymi przed siebie rękami przedzierał się przez gałęzie. Gdzieś przed sobą usłyszał cichy brzęk. Rower Emily?

— Emily! — zawołał szeptem. — Emily! Zaczekaj.

Nagle znalazł się poza jałowcami. W lesie prześwitywało srebrne światło księżyca. Dojrzał słaby metaliczny połysk. Rower. Pobiegł naprzód. Widział teraz Emily zupełnie wyraźnie, jak prowadziła rower pomiędzy drzewami. Dogonił ją i wziął za ramię. Odsunęła się gwałtownie od niego.

— Nie dotykaj mnie.

— Emily. Kochanie...

Zabrał jej delikatnie rower i kładąc go na ziemi przytulił do siebie drżącą dziewczynkę.

— Emily, chyba nie wierzysz w te bzdury. Wiesz przecież, że cię bardzo kocham. Wiesz, że tylko dlatego posłałem Bucka, że tak było łatwiej. Dlaczego zwracasz na nią uwagę?

— Ty mnie nienawidzisz. — Emily łkała rozpaczliwie. — Sam powiedziałeś. Powiedziałeś, że mnie nienawidzisz. A ja tak chcę ci pomóc. Tak się staram, żeby wszystko wyszło dobrze.

Przytulił ją mocniej.

— Wiesz, czemu tak powiedziałem. Ze względu na Angelę. Musimy robić, co ona chce. Czy nie rozumiesz? Może o wszystkim donieść i świetnie sobie z tego zdaje sprawę.

— Nienawidzę jej. — Emily przycisnęła twarz do jego piersi. — Nie, chyba ją kocham. Wiem, że ją kocham, ale także nienawidzę. Cały czas gada: „John cię nienawidzi John nienawidzi ciebie. Głupia, tłusta, stara niewolnica". Cały czas mi tak gada. Nienawidzę jej. Mogłabym ją zabić.

— Ale to nie potrwa długo, Emily. Proszę cię, wszystko zależy od ciebie. Jeszcze tylko chwilka. Przyrzekam ci. Niech sobie robi, co chce. Jutro wszystko się skończy. Wiem, oczywiście, że to paskudny, zepsuty, zazdrosny brzdąc, ale...

Urwał i szybko odwrócił się słysząc za sobą trzask pękającej gałązki. Dostrzegł zarys skradającej się ku nim postaci i odskakując od Emily usłyszał głośny, rozdzierający pisk, który poniósł się echem po lesie.

Johnowi wystąpił na czoło pot. Skoczył i przycisnął Angelę do ziemi. Słyszał, jak wciąga głęboko powietrze. Chce jeszcze raz wrzasnąć. W samą porę zdążył jej zakryć dłonią usta. Zaczęła się szarpać i wyrywać.

— Szybko, Emily — powiedział. — Biegnij do jaskini.

— Ale policjant! Na pewno usłyszał.

— Wiem, ale w jaskini...

Kiedy podnosił szamoczącą się Angelę, rozległ się nowy dźwięk — przeciągłe, żałosne pohukiwanie sowy. Było ono tak realistyczne, że upłynęło parę sekund, zanim się zorientował, że wydała je Emily.

— Nie martw się John. Teraz usłyszał sowę. Pomyśli, że to był królik i sowa. Już wszystko dobrze. Idź za mną, wracamy do jaskini.

Jej głos był radosny i podniecony — ocaliła go. Emily znów była sobą. John tak się z tego ucieszył, że nawet wściekłe wierzganie Angeli wydało mu się mniej groźne. Emily wśliznęła się w gęstwę jałowca. Poszedł za nią. Znikła w otworze groty; za chwilę wysunęła rękę ze świecą i szepnęła:

— Wsuń ją nogami do środka. Zatkaj jej usta ręką. Wciągnę ją. Jak już będzie w jaskini, może sobie krzyczeć.

Wepchnęli Angelę do środka. John przecisnął się za nią. Angela biła Emily pięściami. Kiedy ją odciągnął, odwróciła

się i zaczęła młócić z kolei jego. Twarz miała czerwoną z wściekłości.

— Słyszałam — jej pięści nie przestawały go grzmocić — słyszałam, co powiedziałeś. Że ja jestem brzdąc. Paskudny, zepsuty, zazdrosny brzdąc. Tak powiedziałeś. Słyszałam. Słyszałam. Luiza też słyszała. Wszyscy słyszeliśmy.

Nagle odwróciła się, upadła na łóżko i w przystępie szału zaczęła bić nogami o ziemię.

— Jutro. Jutro powiem. Nie możecie mi przeszkodzić. Nikt mi nie może przeszkodzić. Muszę wrócić do domu. Jak nie wrócę do domu, mama się dowie. Muszę wrócić do domu, a jak wrócę, to powiem. Powiem wszystko. Emily ukrywa Johna! Emily ukrywa Johna w jaskini!

John patrzył na nią i czuł, jak go opuszcza odwaga. Ona naprawdę zamierza to zrobić — myślał. Dziewczynka była nieubłagana w swojej furii — bardziej przerażającej niż napady wściekłości Lindy. Zrobił sobie z Angeli na zawsze wroga. Nie mógł jej przeszkodzić. Wiedział tak dobrze jak ona, że nie będą mogli zatrzymać jej tu siłą. Choćby Emily nie wiem co znalazła na usprawiedliwienie, pani Jones nie pogodzi się ze zniknięciem siedmioletniej córki. Nie, ta konspiracja z dziećmi okazała się jednak beznadziejna. Jutro odtrącona Angela pójdzie do miasteczka i na tym się skończy.

— Powiem! — Wrzaskliwy głos Angeli jeszcze niósł się echem po jaskini. — Powiem!

Emily stała spokojnie obok niego. Nagle rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie i podeszła do Angeli.

— Nie powiesz — rzekła. — Myślisz, że jesteś taka sprytna, ale nie powiesz.

— Powiem, powiem. — Angela podniosła do góry zapłakaną i nabrzmiałą twarzyczkę. — Pójdziecie oboje do więzienia. Zamkną was i będziecie siedzieli długo, długo, całe lata.

— Wcale nie. Nie pójdziemy do więzienia. — Emily

roześmiała się i okręciwszy się na pięcie podbiegła do skrzynki od pomarańczy.

Chwyciła Luizę, Miki i Krowę i wetknęła je Johnowi w ręce.

— Trzymaj. Nie oddawaj jej.

— Luiza! — Angela zerwała się na nogi.

Emily dopadła jej i wykręciła jej rękę.

— Jutro, jak zrobi się jasno, pójdziemy do domu, ale nic nie powiesz, bo John zatrzyma Luizę, Miki i Krowę. A jeżeli powiesz, jeśli szepniesz chociaż jedno słówko, on je pozabija. Rozerwie, rozszarpie, pogniecie, wydłubie im oczy. Pozabija.

— Nie! — Oczy Angeli aż wyszły na wierzch z przerażenia. — Nie, nie! Oddaj mi Luizę. Oddaj mi Luizę!

— On je pozabija. Naprawdę. Więc lepiej przysięgnij! No! Przysięgnij na Luizę. Niech mnie dunder świśnie... No, mów. Mów!

Wrzask Angeli przeszedł w słabe popłakiwanie. Jeszcze raz szarpnęła się rozpaczliwie, żeby uwolnić rękę, i wreszcie z jękiem uznała swą klęskę.

— Przysięgam. Przysięgam na Luizę.

— To przysięgaj.

— Przysięgam na Luizę i niech mnie dunder świśnie, i niech zginę marnie, jeśli... jeśli powiem.

— Że nigdy nie powiem.

— Że nigdy nie powiem. Przysięgam.

— I zostawisz Luizę i Krowę, i Miki tu, z Johnem. W ten sposób będziesz wiedziała, że jeżeli złamiesz przysięgę, to on je pozabija.

— Dobrze. Dobrze.

Angela płakała żałośliwie. Emily puściła jej rękę. Dziewczynka w tej samej chwili rzuciła się na łóżko.

— No. — Emily zwróciła do Johna twarz promieniejącą rozkoszą zemsty. — To ją uspokoi. Teraz chodźmy spać. Ty się połóż przy wyjściu — tak, żeby nie mogła uciec.

Dopiero teraz, patrząc na Emily, John odczuł ulgę. Potrafiła tego dokonać. Cudowna Emily dokazała tego. Wreszcie chwila wytchnienia. Jutro naprawi magnetofon i wtedy coś wymyśli. Gdyby udało się urządzić jakąś pułapkę...

— Pójdziemy już spać, John?

— Tak, Emily.

— Możesz wziąć połowę łóżka Angeli. Wyciągniemy spod niej szpilki sosnowe...

— Nie — rzekł John. — Nie trzeba.

— Będzie ci lepiej. — Zwróciła się do Angeli rozkazująco: — Weź połowę swoich szpilek i przynieś je tu, żeby zrobić Johnowi łóżko.

Pokornie, pociągając nosem, Angela wstała i zaczęła ściągać koc. Dobrze — myślał John. Niech Emily raduje się zwycięstwem, a Angela pozna gorycz klęski.

Ale Emily podbiegła do Angeli.

— Nie, ja tylko żartowałam. John zajmie moje łóżko, a my będziemy spały razem na twoim.

— Ale, Emily...

Angela spojrzała na siostrę zapuchniętymi od płaczu oczami i nagle objęła ją i przytuliła twarzyczkę do jej twarzy.

— Emily, Emily, on nie zrobi krzywdy Luizie?

— Nie, kochanie, bo ty nic nie powiesz.

— Nie, nie powiem. Nie powiem. Och, ja wcale nie chcę być taka niedobra. Naprawdę.

— Dobrze już. Angela. Połóż się. Ja pościelę Johnowi i zaraz do ciebie przyjdę.

Angela położyła się. Emily podeszła do drugiego posłania, ściągnęła koc i ułożyła sosnowe igły u wejścia do jaskini.

— Trzymaj lepiej Luizę, Miki i Krowę. Ona teraz chce być dobra, ale z nią nigdy nie wiadomo — powiedziała Johnowi.

Podniosła z ziemi świecę.

— Zgasić już, John?

— Zgaś.

Kiedy zapadły ciemności, John położył się na sosnowych szpilkach, kładąc lalki pomiędzy sobą a ścianą jaskini. Wszystko będzie dobrze. Jakoś to zdoła przeprowadzić. Pułapka. Nic innego. Wymyśli pułapkę. Emily wciąż stała koło niego. Nie widział jej, ale czuł jej obecność.

— John — szepnęła.

— Słucham, Emily.

Kucnęła i poszukała dłonią jego ręki.

— Przepraszam cię. Wcale nie chciałam się tak zachować jak dziecko. Ale nie mogłam się powstrzymać. Było mi tak okropnie.

Uścisnął jej rękę.

— Moja mała. — John.

— Co, Emily?

— Ja ciebie kocham, John.

21.

Zbudziło go lekkie szturchnięcie w ramię.

— Już jasno — powiedziała Emily. — Wypuść nas, John, i weź lalki. Nie pozwól jej ich zabrać. Wrócimy, jak tylko będziemy mogły.

Długo jeszcze po wyjściu dziewczynek leżał z lalkami w ramionach, snując jałowe rozmyślania. Później zostawił lalki i wyczołgał się z jaskini. W lesie panował jeszcze chłód i mrok, ale już tu i ówdzie zaczynało przeświwywać słońce i powietrze było cudownie orzeźwiające. Przedarł się przez jałowce i, ośmielając się coraz bardziej, poszedł nad strumyk. Ukląkł nad wodą i obmył sobie twarz.

Nagle strzelił mu do głowy pewien pomysł. Pułapka wymaga przynęty, a on tę przynętę ma. Gordon Moreland mógł sądzić, że zniszczył kompromitującą taśmę razem z innymi,

ale — co bardziej prawdopodobne — może też podejrzewać, że ocalała gdzieś w ukryciu. Gdyby mu podsunąć gdzie, na pewno skwapliwie starałby się do niej dostać. Trzeba mu więc dać do zrozumienia, że taśma ocalała. Ale jak?

Z wody spoglądało ku niemu jego własne odbicie. Twarz miał wychudłą, z jednodniowym zarostem. Szkoda, że nie kazał Buckowi przynieść maszynki do golenia.

Buck — dzieci! Oczywiście. Da znać Gordonowi przez dzieci. Podsunie Timmie'emu jakąś historyjkę, że dzieci znalazły pudełko z biżuterią i czymś takim jak taśma do maszyny. Timmie wypapla to ojcu. Timmie? Znów ojciec i syn. Czy to ma znaczenie? Tak, ale...

Za strumieniem spostrzegł coś białego przemykającego między sosnami. Skrył się wśród paproci: w dżinsach i w białej sportowej koszulce nadbiegł Buck z pełnymi rękami paczek. John wstał i zawołał cicho:

— Buck.

Chłopiec zobaczył go i podszedł ciężko sapiąc.

— Jak się masz, John. Przyniosłem śniadanie.

— Co nowego?

— Powiedz, czy to nie dom wariatów? Tata się rzuca jak dziki. A pan Moreland! Cały wieczór dzwonił. „Co słychać? Dlaczego nic nie robicie?" Im wszystkim trzeba by nałożyć kaftany bezpieczeństwa. Gdyby wiedzieli! Chłopie, gdyby wiedzieli...

John poczuł wilczy apetyt i chwycił pierwszą z brzegu paczuszkę.

Niechby Timmie opowiedział, że dzieci znalazły pudełko. Gdzie? Może u Fisherów? Gdzieś w garażu albo pod schodami ganku? Gordon i Linda spotykali się w domu Fisherów; Gordon powinien wiedzieć, że Linda nie chowałaby tych rzeczy u siebie w domu... Tak, gdyby Timmie powiedział, że znaleźli kasetkę, a „w niej różne cenne rzeczy, i dlatego jej nie wzięli. Gordon popędziłby od razu do Fisherów,

a gdyby tam był John, nie sam, tylko z jakimś świadkiem, pułapka by się zamknęła. Vickie mogłaby posłużyć za świadka. Przecież opowiedziała się po jego stronie. Posłałby do niej któreś z dzieci. Kasetka, oczywiście, byłaby schowana w jakimś z góry określonym miejscu jako przynęta. Niekoniecznie z tą taśmą w środku, ale... Zwrócił się do Bucka:

— Widziałeś tę taśmę w pudełku — tę, co myślałeś, że to jest taśma do maszyny? Przy ścianie mojej pracowni leży stos śmieci — potłuczone płyty, poniszczone obrazy. Jest w tej kupie sześć czy siedem takich taśm. Mógłbyś skoczyć i przynieść mi jedną, tak żeby nikt nie zauważył?

— Teraz zaraz?

— Tak.

Z uśmiechem radości Buck przeskoczył po kamieniach przez strumień i pobiegł ku sosnom.

Wszystko trzeba będzie dobrze zaplanować w czasie. Ponieważ musi sam iść do domu Fisherów, bezpieczniej odłożyć całą rzecz do zmroku, a nawet do wieczora. Tak, do tej pory magnetofon będzie gotowy. Najpierw przegra taśmę u Fisherów z Vickie i później, jak Gordon przyjdzie po kasetkę, będą już wszystko wiedzieli. Musi ustawić Timmie'ego, żeby późno, jak najpóźniejszym wieczorem, opowiedział Gordonowi o kasetce. Ale czy można zaufać Timmie'emu? Miał wątpliwości. Taki nerwowy malec! I tak łatwo wypaplał swój „sekret" Angeli! Wszystko będzie zależało od Timmie'ego, a...

Usłyszał głośny trzask gałązki. Buck jeszcze nie zdążyłby wrócić. Znów skrył się w paprocie i wyglądając spoza nich ujrzał biegnącego ku strumieniowi Leroya z paczką w ręku. Usiadł. Leroy spostrzegłszy go uśmiechnął się promiennie i podbiegł skacząc po kamieniach.

— Jestem — oznajmił.

— Witaj, Leroy.

— Spóźniłem się, wiem, że to źle, ale byłem po Timmiego. Zaszedłem najpierw po niego, żeby przyjść razem, ale on nie może. Jego mama tak powiedziała. Rozmawiała ze mną. Powiedziała, że on ma gorączkę, bo się wczoraj za bardzo podniecał. Teraz leży w łóżku. — Spuścił długie rzęsy i zaraz podniósł je znowu. — Więc on nie może przyjść, a jego mama powiedziała, żebym przyszedł go odwiedzić o piątej, na herbatę, bo wtedy będzie się czuł lepiej i ja go rozweselę, powiedziała. — Podał Johnowi paczkę. — I przyniosłem to. To kanapka z masłem i z marmoladą, i z białym serem, i... i ja ją sam zrobiłem. Dla ciebie.

John zmartwił się, ale tylko na chwilę. Tak będzie lepiej. Uniknie przynajmniej ryzyka z tym małym nerwusem. Leroy zastąpi Timmiego, jak pójdzie do niego w odwiedziny o piątej. Może opowiedzieć o kasetce z biżuterią i taśmą do maszyny w obecności Gordona. Albo jeszcze lepiej... Znowu ogarnęło go podniecenie. Wisiorki przy bransoletce! Można będzie powiedzieć, że dzieci niechcący złamały bransoletkę i każde wzięło sobie jeden wisiorek do zabawy. Leroy może zanieść wisiorek Timmiemu. Gdy Gordon zobaczy u Leroya na przykład literkę L, N albo D, zainteresuje się natychmiast, gdzie chłopiec to znalazł. A więc można załatwić wszystko bez Timmiego. Pudełko z zamienioną taśmą, Leroy jako naprowadzający na przynętę i Vickie...

— Leroy, widziałeś dziś panią Carey?

— Tak, już wstała. Przyszła do kuchni i widziała, jak robię kanapkę.

— Mówiła może, czy się gdzieś wybiera dzisiaj?

— Spytała, co robię, a ja powiedziałem, że idę do lasu. To wtedy ona: „Co za energia, Leroy. Ja nawet palcem nie ruszę. Będę cały czas siedziała i czytała". Tak mówiła.

Więc załatwione. Vickie będzie świadkiem. Pułapka.

Niebawem powrócił Buck z taśmą i pochwalił się, że nowy policjant pełniący służbę przy domu nawet go nie zauważył. Poszli do jaskini, a za chwilę przyszły Emily i Angela

niosąc papierowe torby z prowiantem. Angela, poskromiona i milcząca, poszła prosto do lalek i zaczęła otrzepywać je z kurzu. Wygładziła spódnicę Luizy, posadziła ją na skrzynce po pomarańczach i sama usiadła obok.

Teraz, kiedy wiedział dokładnie, co ma robić, bez trudu rozdzielił dzieciom zadania. Sprawdził numery zepsutych lamp, spisał je na karteczce, dał Buckowi pieniądze i wysłał go z Leroyem autostopem do Pittsfield.

— Po prostu podaj kartkę i powiedz, że ojciec cię przysłał, Buck.

Po odejściu chłopców wyjął taśmę z czerwonej skórzanej kasetki i włożył do kieszeni. Emily przypatrywała się pilnie tej czynności. Przewinął jak najstaranniej splątaną taśmę, którą przyniósł Buck, włożył do pudełka, oderwał pięć wisiorków od bransoletki i wrzucił je do kieszeni. Uznał, że byłoby bardziej przekonujące, gdyby skrytka Lindy była gdzieś na zewnątrz domu Fisherów. Na przykład za drewnianymi schodkami werandy.

Wybrał Emily do podłożenia przynęty i dokładnie jej wytłumaczył, co ma robić: wsunąć kasetkę za drewniane schodki wiodące na werandę, a potem wejść jakoś do domu i sprawdzić, czy jest elektryczność.

Powtórzywszy z powagą jego instrukcję wzięła kasetkę i wyśliznęła się z jaskini.

Póki były inne dzieci, Angela nie zwracała na niego uwagi, ale w chwili gdy zostali sami, zostawiła lalki i podeszła nieśmiało.

— Nie jesteś na mnie wściekły?

— Nie, Angelo.

— Ja nie jestem taka najważniejsza w zabawie, co? Emily jest najważniejsza, prawda?

— Ty też możesz być najważniejsza, jak zechcesz.

— Mogę? Mogę? — Na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech. — I też mogę coś zrobić? Tak samo jak inni? Wszyscy coś robią.

— Ty będziesz mnie towarzyszyła. Wyjdziemy, usiądziemy nad strumieniem i będziemy czekać, aż inni wrócą.

— Dobrze — powiedziała z zapałem. — Dobrze.

Wyszli i usiedli na skale nad strumieniem. Słońce przedzierało się ukośnie przez gałęzie drzew, rzucając na ziemię wielkie złote plamy. Angela przytuliła się do niego.

— Ja ciebie naprawdę kocham.

— Cieszę się.

— I nikomu nie powiedziałam, i nie gniewam się, że rzuciłeś Luizę i Krowę, i Miki na ziemię.

— Przepraszam cię, Angelo.

Teraz, gdy był niemal pewien sukcesu, mógł nawet Angelę traktować z czułością. Popatrzył z uśmiechem na jej przymilną twarzyczkę.

— John.

— Słucham cię, Angelo.

— Czy mogę przynieść Luizę i Miki, i Krowę? Żeby też posiedziały sobie na słońcu?

— Oczywiście.

Wstała i pobiegła do jaskini. Chłopcy powinni wrócić koło południa — myślał. Powie Leroyowi, co ma zrobić, a potem — kiedy? — o czwartej pośle Emily do Vickie, żeby ich umówiła u Fisherów. Przemknę się z magnetofonem przez las i zaczekam na nią. Wtedy Leroy może iść do Morelandów i zastawić pułapkę. Będzie jeszcze jasno, ale inaczej nie da się zrobić, jeśli mają mu pomóc dzieci. Właściwie to nieważne. Kto go spostrzeże, gdy będzie się przekradał przez las...

Nagle zdał sobie sprawę, że Angela nie wróciła. Skoczył do jaskini. Nie było jej. Lalki też zniknęły.

Wyczołgał się i z lękiem graniczącym z paniką przedarłszy się przez jałowce z powrotem pobiegł nad strumień. Angela znikała właśnie wśród sosen za wodą.

Z łomocącym sercem rzucił się za nią na drugą stronę strumienia. Za sosnami już tylko zarośnięte zbocze dzieliło

go od policjanta przy domu. Nie zważał na to jednak. Przebiegł pas sosen nie usiłując się nawet kryć. Angela była zaledwie parę metrów przed nim — biegła ciężko w górę zbocza, ku domowi.

W parę sekund złapał ją, lecz nim zdołał ją schwytać, wrzasnęła przeraźliwie. Porwał ją na ręce i zatkał jej dłonią usta. Wypuściła z rąk lalki, porzucając je wśród chwastów. Zdyszany niósł ją z powrotem do jaskini.

Kilka minut później, gdy się z nią jeszcze szarpał, wróciła Emily.

— W porządku, jest światło. Zostawiłam otwarte okno i zrobiłam, jak...

— Emily, Angela chciała uciec z lalkami. Złapałem ją na zboczu przed domem, ale zdążyła wrzasnąć. Policjant na pewno usłyszał i lalki tam zostały.

— Pozwoliłeś jej? Mówiłam ci. Ostrzegałam.

— Szybko, Emily. Idź, pozbieraj lalki, a jeżeli będzie tam policjant, wymyśl coś, byle co...

— Dobrze, biegnę.

Zniknęła w otworze i za jakieś dziesięć minut wróciła z lalkami.

— W porządku. — Cisnęła pogardliwie lalki na ziemię, a Angela wrzasnęła. — Był przy nich policjant. Stał i patrzył, a jak zobaczył mnie, spytał: „Co się tu dzieje?" Więc powiedziałam, żeśmy się pobiły z Angela o lalki, i w porządku. Uwierzył mi.

O wpół do pierwszej wrócili chłopcy z lampami. John wstawił je do magnetofonu. Nabrał nadziei, że mu się powiedzie. Nawet Angela siedząca ponuro z lalkami w kącie — zdeklarowany wróg — nie mogła mu już zaszkodzić. Uwięzi się ją tutaj aż do zakończenia sprawy. Zjedli obiad, a potem John zaczął pouczać Leroya. Ze względu na sytuację musiał się zdać na niego co do szczegółów zadania, ale dobrze wbił mu w głowę zasadnicze punkty. Emily postanowiła zostać i pilnować Angeli, więc Buck miał pójść za nią do Careyów.

John powiedział mu, co ma przekazać Vickie, i wysłał go punkt czwarta.

— Dobrze, Emily, pilnuj Angeli. A ty, Leroy, wiesz, co masz robić. Wyjdziesz stąd o wpół do piątej według zegarka Emily. Tak, żeby o piątej być u państwa Morelandów. Jeżeli otworzy ci pani Moreland, powiedz, że państwo Careyowie przysłali cię z interesem do pana Morelanda.

— Żeby przyjechał jutro na ryby.

— Tak jest. A jak mu to będziesz mówił, nie zapomnij wyjąć z kieszeni wisiorków i bawić się nimi, tak żeby je na pewno zobaczył. Trzymaj je w ręku. Dobra?

— Dobra. — Leroy uśmiechnął się z dumą i spojrzał na lśniący wisiorek z literą L, który trzymał na dłoni. — Prawda, że to ważne zadanie? Najważniejsze ze wszystkich.

— Tak, Leroy.

John stał patrząc na dzieci. Czy wszystko jest w porządku? Czy niczego nie zapomniał? Czy powierzone im zadania nie przerastają ich możliwości?

Popychając przed sobą magnetofon wyczołgał się z jaskini.

Gdy szedł lasem do Fisherów, opadły go znów wątpliwości. Czy dobrze zgrał wszystko w czasie? Careyowie mieszkają bliżej Fisherów niż Morelandowie. Vickie powinna być na miejscu co najmniej pół godziny przed Gordonem, nawet jeżeli Gordon przyjedzie od razu. Tak, dobrze sobie obliczył. Będzie mógł najpierw przegrać taśmę z Vickie. Już samo to wystarczy, a jeżeli później złapią jeszcze Gordona na gorącym uczynku...

Droga do Fisherów zajęła mu więcej czasu, niż sobie „wyliczył. Nie koszony trawnik nadawał domowi wygląd takiego zaniedbania, jakby był od lat opuszczony. Podszedł prosto do schodków werandy, ukląkł i zajrzał pod nie. Tak, pudełko jest. Emily zostawiła uchylone prawe okno salonu. Kiedy je pchnął i wdrapał się do pokoju, jego napięcie sięgnęło szczytu. Vickie jeszcze nie ma, ale przegra taśmę i tak. Frontowe

okna domu wychodziły wprost na polną drogę. To było niebezpieczne. Każdy przejeżdżający mógł usłyszeć muzykę. Ale trzeba zaryzykować. To nie potrwa długo.

Postawił magnetofon na pianinie i włączył. Aż go mdliło z podniecenia, gdy wyjmował taśmę z kieszeni, zakładał szpulę i przekręcał gałkę. Lampy żarzyły się, taśma się przesuwała.

Ale żaden glos nie wydobył się z głośnika.

Zaklął pod nosem. Lampy były w porządku. Więc co? Wzmacniacz? Wyjął wtyczkę z gniazdka, postawił aparat na podłodze i zaczął go badać ze wzrastającym napięciem. Może przy upadku zerwało się jakieś połączenie? Potrzebny mu będzie śrubokręt. Fisherowie muszą gdzieś przecież mieć śrubokręt.

Poszedł do kuchni, starając się za wszelką cenę opanować podniecenie. Gdzie oni trzymają narzędzia? Wyciągał po kolei wszystkie szuflady. Nic. Zbiegł do piwnicy. W końcu gdzieś w kącie znalazł skrzynkę z narzędziami. Wziął śrubokręt i cążki i pobiegł z powrotem do salonu.

Spojrzał na zegarek. Było już piętnaście po piątej. Vickie przyjedzie lada chwila. Nic na to nie poradzi. Jeśli nie naprawi magnetofonu w porę... Zaczął pracować gorączkowo. Palce poruszały się niezgrabnie. Rozkręcając aparaturę stale spoglądał na zegarek. Dwadzieścia pięć po piątej. Wpó} do szóstej. Leroy już pół godziny temu zastawił pułapkę u Morelandów. Co się stało z Buckiem i Vickie? Co będzie, jeśli Vickie zmieniła plany i gdzieś wyjechała? Na czoło wystąpiły mu krople potu. Czemu nie upewnił się co do Vickie przedtem? Bez świadka pułapka w ogóle nie ma sensu.

Co będzie, jeśli Gordon przyjedzie pierwszy?

Za dwadzieścia szóstą znalazł uszkodzenie. Z histeryczną sprawnością zrodzoną z paniki naprawił połączenie i zaczął skręcać aparat. Teraz cały plan wydał mu się bezsensowny.

A jeżeli straciła w niego wiarę i przeszła na stronę wroga? A jeżeli przyjedzie, gdzie staną, żeby widzieć Gordona, nie będąc widziani przez niego? To proste. Za firanką, przy oknie wychodzącym na tyły domu. Doskonale stamtąd widać schody. Ale...

Była za kwadrans szósta. Z Vickie coś się musiało stać. Nie miał już teraz wątpliwości. Coś...

Z głębi lasu za domem doszedł go jakiś dźwięk, który się za chwilę powtórzył. Czy to ludzki krzyk? Podbiegł do okna. Tak, teraz słychać wyraźnie. Gdzieś po prawej stronie, w okolicy jego domu, ktoś krzyknął. Ktoś inny odpowiedział.

Znowu miasteczko? Steve i mieszkańcy miasteczka? Znowu ten koszmar?

— Panie Hamilton! Panie Hamilton!

Rozległo się dudnienie stóp. Chowając się za firankę ujrzał wybiegającego zza rogu Leroya.

— Panie Hamilton!

Pokazał się chłopcu w oknie. Leroy przypadł do niego ciężko dysząc, zrozpaczony.

— Panie Hamilton, John, wszystko na nic!

Zaczął wdrapywać się przez okno. John wychylił się i wciągnął go do środka.

— Przyszedłem i pani Moreland mi otworzyła drzwi, ale zanim zdążyłem powiedzieć, że mam interes do pana Morelanda, zaczęła mówić: „Chodź, chodź. Jesteśmy już wszyscy i pijemy herbatę" i zaprowadziła mnie do salonu, i tam był Timmie, i pan Carey, i pani Carey, i rodzice pana Careya.

Siedzieli i pili herbatę. I trzymałem tę złotą blaszkę w ręku, jak trzeba, i nie wiedziałem, co robić, ale pomyślałem, że powinienem powiedzieć to, co pan kazał, więc podszedłem do Timmie'ego i pan Moreland był koło niego, to dałem Timmie'emu blaszkę i powiedziałem, że to dla niego, bo my znaleźliśmy pudełko pod schodkami u Fisherów, a w pudełku były różne drogie rzeczy i taśma do maszyny i oni

wszyscy słuchali, a Timmie wziął blaszkę i był strasznie podniecony, i powiedział: „Naprawdę znaleźliście czy tylko tak musi być w naszej zabawie?" Aż dostał wypieków i potem znów powiedział: „Ja też biorę udział. Siedzę w domu i nic nie mówię. Tak jak John kazał..." I wtedy pan Moreland podskoczył i spytał: „John? Powiedziałeś: John? Co to wszystko znaczy?" I Timmie się przestraszył, i... Leroy nie odrywał pełnych wstydu oczu od twarzy Johna.

— To nie moja wina. Ja zrobiłem, jak trzeba. Słowo daje. Ale Timmie się wystraszył. Wszyscy go otoczyli i zaczęli pytać: „John? Jaki John?" I on się rozpłakał. Siedział i płakał, a oni męczyli go i męczyli, aż nie wytrzymał.

„John jest w jaskini — powiedział. — W jaskini Angeli".

Wszyscy zaczęli biegać w kółko, a starszy pan Carey podszedł do telefonu i zadzwonił do ojca Bucka. Słyszałem. Timmie płakał, a pan Carey mówił do słuchawki: „Natychmiast zorganizować obławę, John Hamilton jest w lasach..." i już nie czekałem. Uciekłem. Nie zwracali na mnie uwagi, więc wskoczyłem na rower i przyjechałem...

Daleko w lesie zabrzmiał znów okrzyk. Tak, koszmar powrócił. Vickie nie przyjedzie. Steve i jego ludzie są w drodze do jaskini, a w jaskini znajdą Angelę — wroga. Angela skieruje ich do Fisherów.

Ale Gordon słyszał, co powiedział Leroy. Na pewno więc wymknie się w zamieszaniu i przyjedzie tak czy owak. A świadek jest. Leroy będzie świadkiem.

Tak, jeżeli Gordon przyjedzie, to może...

Po lesie niosło się echo. John siadł na podłodze i dokręcił ostatnie śrubki.

— John, czy ja dobrze zrobiłem?

— Tak, Leroy. To nie była twoja wina.

Postawił magnetofon z powrotem na pianinie. Schylając się, żeby wsadzić wtyczkę do gniazdka w ścianie, zamarł nagle w bezruchu.

Nadjeżdżał jakiś samochód.

22.

Podbiegli z Leroyem do okna; John pociągnął chłopca za firankę.

— Patrz uważnie, co on będzie robił, Leroy. To ogromnie ważne.

Warkot nadjeżdżającego samochodu był coraz głośniejszy. Potem zza klonów przy drodze wyłoniło się auto. Był to stary kabriolet Careyów. Samochód zatrzymał się i wyskoczyli z niego Buck i Vickie. Co za ulga. Wybiegł ku nim przez frontowe drzwi.

— Złapałem ją — rzekł Buck. — Jechała do Morelandów, ale ją złapałem.

— John! — Vickie aż poczerwieniała.

— Szybko zaparkuj samochód gdzieś dalej, żeby go nie było widać, i wracaj tu.

Stała patrząc na niego badawczo przez chwilę, a potem podbiegła do samochodu i odjechała. Wszedł z dziećmi do domu. Wkrótce przybiegła Vickie i zamknęła za sobą drzwi frontowe.

— Schowałam samochód za drzewami. John, oni poszli do jaskini.

— Wiem. Leroy mi powiedział.

— A ty byłeś tam z dziećmi przez cały czas?

Opowiedział jej szybko, jak sprawa wygląda, a ona nie odrywała od niego oczu słuchając z uwagą. Odgłosy obławy, teraz już bliższe, dźwięczały po lesie. Czy doszli już do jaskini? Czy Angela już ich skierowała tutaj?

— ...Więc będzie musiał przyjść po kasetkę. A jak ty poświadczysz...

— Gordon!

— Na pewno Gordon. A gdy zobaczymy...

— Cicho — przerwała mu ostro. — Jedzie samochód.

John usłyszał go również.

— Szybko, Buck, Leroy, stańcie przy oknie od frontu. Tylko się nie pokazywać. Szybko.

Ustawił Vickie przy oknie, z którego widać było schodki na werandę. Podniecenie zagłuszało strach przed ludźmi w lesie. Vickie nareszcie przyjechała. A Gordon właśnie nadjeżdża.

Jeszcze przez kilka sekund słyszeli warkot samochodu; potem nastała cisza. Więc Gordon nie zajeżdżał pod sam dom? Nie, jasne, że nie zrobiłby tego. Zostawił samochód przy drodze — że niby przyłącza się do obławy, a potem przemknie pomiędzy drzewami. Kiedy tak czekali jak porażeni przy oknie, cisza panująca wokół domu potęgowała dźwięki rozbrzmiewające w lesie.

— Buck, widzisz coś? — spytał John szeptem.

— Nie, samochód się zatrzymał.

— Jest — rozległ się wysoki śpiewny głos Leroya. — Jest. Idzie między tymi drzewami po lewej stronie. O, już teraz go nie widzę. Ale widziałem. Jest za domem.

John zostawił Vickie, podszedł do drugiego okna i wyjrzał zza firanki. Widział go teraz zupełnie wyraźnie. Biegł przez trawnik do werandy.

Ale to nie był Gordon, to był Brad.

Zrobiło mu się słabo. Przekradł się z powrotem do okna Vickie i objął ją. Uśmiechnęła się do niego. Usta miała suche z podniecenia. Uścisnął ją ramieniem. Za oknem, o parę stóp od nich, ukazał się Brad. Vickie zesztywniała. Brad zawahał się chwilę i rozejrzał ukradkiem na wszystkie strony; potem poszedł prosto do schodków werandy, ukląkł i sięgnął pod nie ręką. Wyciągnął kasetkę i otworzył ją stojąc w pełnym słońcu. Wyjął taśmę, wsunął do kieszeni i włożył kasetkę z powrotem na miejsce.

Pobiegł przez trawnik w kierunku głosów rozbrzmiewających w lesie, a John stał i patrzył za nim osłupiały.

Brad! — myślał. Oczywiście, wszystko, co sobie wyobraził o Lindzie i Gordonie, mogło z równym powodzeniem, a nawet

jeszcze lepszym, odnosić się do Lindy i Brada. Ale Brad był z nim cały czas w Nowym Jorku. Brad nie mógł jej zamordować...

Odwrócił się do Vickie, zdjęty wstydem za to, na co ją naraził. Stała jak porażona. Wydawała się jakaś stara, zniszczona. Chłopcy podbiegli do nich onieśmieleni, poważni, cisi.

Nagle zdecydowanym głosem Vickie powiedziała:

— Przegraj taśmę.

— Ale, Vickie...

— Przegraj taśmę. Wtedy będziemy wiedzieli. Podszedł do magnetofonu, wsadził wtyczkę do gniazdka i przekręcił gałkę. Taśma zaczęła się przesuwać, lampy rozżarzyły się i pogodne takty uwertury Mendelssohna wypełniły pokój. Przez chwilę stał patrząc Vickie w oczy i nagle usłyszał krzyk Bucka, stojącego przy oknie wychodzącym na tyły domu.

— Idą! Idą przez trawnik. Jest tata i pan Carey, i George Hatch... Rany! Mają karabiny...

John zrobił ruch, żeby zgasić magnetofon, ale Vickie go powstrzymała.

— Nie. Niech gra.

Wzięła go za rękę i podbiegli razem do dzieci wyglądających zza firanki. Z lasu na trawnik szło około dwudziestu ludzi, na czele ze Steve'em Ritterem, starszym panem Careyem i mężczyzną w dżinsach. Wszyscy trzej mieli karabiny. Za nimi szła cała grupa, w której John rozróżnił Gordona Morelanda, Brada i biegnącą wśród nich Emily. Ale widok ten już nie wzbudzał w nim grozy. Dręczyła go jedynie myśl o Vickie. Ludzie ustawili się w falangę za Steve'em i panem Careyem.

— Hamilton! — krzyknął Steve Ritter, a inni podjęli ten okrzyk wywołując echo dawnego koszmaru.

— Hamilton!... Hamilton!...

— Wychodzę — powiedział John.

— Zwariowałeś? Będą strzelać. Ja wyjdę. Tak, John, ty zostań. Ja wyjdę.

Ścisnęła go za rękę i wybiegła na werandę. Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i zaraz zobaczył, jak biegnie do stojących na trawniku ludzi. Za jego plecami rozbrzmiewało solo fletowe, prowadzące orkiestrę do centralnej części uwertury. Vickie podeszła prosto do Steve'a i do teścia. Przybiegł do nich spiesznie Gordon Moreland, a za nim wolno, od niechcenia, podszedł Brad.

— Ojej, John — powiedział Buck. — Złapią cię! Ojej, co my teraz zrobimy?

— Nie martw się, Buck.

Vickie mówiła coś szybko do Steve'a. Z głośnika dochodził jakiś fragment „Snu nocy letniej". Po chwili, oglądając się przez ramię, ruszyła w stronę domu. Za nią szli Steve, pan Carey, Gordon Moreland, Brad i paru ludzi z miasteczka. John widział, jak Emily z zakłopotaniem patrzy na dom, a potem biegnie za nimi i jak jeden z mężczyzn chwyta ją i ciągnie z powrotem.

Vickie i towarzyszący jej mężczyźni weszli do salonu rozbrzmiewającego teraz muzyką. Gordon patrzył chciwie, starszy pan Carey miał na twarzy wyraz wielkiego niezadowolenia, a Brad stał z oczami wbitymi w ziemię. Steve Ritter uśmiechał się swoim sardonicznym uśmiechem.

— Wykiwaliście nas — ty i dzieci. No i co? — Wskazał magnetofon. — Czy to taśma, o której Vickie mówi?

— Tak.

— Co to daje? Vickie mówi, że to ma być jakiś dowód. Nic nie rozumiem. Muzyka. Co muzyka może udowodnić?

Grzmiały bębny. Uwertura zbliżała się do finału. Za chwilę... John spojrzał na Vickie. Czy powiedziała im o Bradzie? Napotkał jej wzrok, w którym malował się śmiertelny wysiłek.

— Poczekaj — powiedziała. — Niech gra, Steve. Zaraz będziemy wiedzieli.

Orkiestra ścichła i znowu powrócił temat ze „Snu nocy letniej". John stał wbijając sobie paznokcie w dłonie. Nic dla niego teraz nie istniało, tylko ta muzyka i oczy, błyszczące, czujne, wpatrzone w niego oczy.

Muzyka urwała się. Słychać było tylko szmer przesuwającej się taśmy. Potem, nagle, rozległ się krótki śmiech. Zabrzmiał on tak realistycznie, jakby to tu, w salonie, ktoś się śmiał, ale to był śmiech Lindy, a potem cicho, pieszczotliwie jej głos zaczął mówić:

— Bądź spokojny, kochanie. On nieprędko wróci. Zawsze tak jest, kiedy spotyka się z dziećmi, zapóźniony w rozwoju mąż też ma swoje zalety... Kochany, ten pierścionek jest cudny, ale nie powinieneś mi go kupować. Jesteś szalony, że wydajesz na mnie tyle pieniędzy.

A potem przez leciutki szmer taśmy przebił się głos Brada:

— To drobiazg. Wiesz dobrze, Lindo. Jeśli sprawia ci trochę radości... Boże, gdy pomyślę, co ty musisz znosić!

— Nie jest tak źle. Naprawdę. Teraz, kiedy mam ciebie. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo cię potrzebuję.

— Nie tak, jak ja ciebie.

— Kochany mój, naprawdę? Naprawdę mnie potrzebujesz?

— Naprawdę, Lindo.

Linda zaśmiała się znowu. Było coś strasznego w zwodniczej intymności tego śmiechu. Omijając wzrokiem Steve'a, John patrzył prosto na Brada.

— Ale z tobą jest inaczej. Ty masz Vickie. Ty...

— Nie mów mi o Vickie.

— Ale czyż mogę nie mówić o niej, skoro jest twoją żoną?

— Lindo, proszę cię. Mówiłem ci, jak jest z Vickie.

— Och, wiem, że jestem głupia, ale powiedz mi jeszcze raz. Kochany, to mi tak pomaga, kiedy o tym mówisz, dodaje mi siły. Czy to prawda, co powiedziałeś? Nie kochasz jej?

— Czy jej nie kocham? Muszę ci to mówić? Nigdy jej nie kochałem. Od początku była dla mnie niczym. Mówiłem ci. Wszystko się stało za sprawą ojca. Fabryka była w rozpaczliwej sytuacji, długi, Bóg wie co jeszcze. Ojciec robił, co tylko można i nie można, żeby ją uratować. Wtedy właśnie zjawiła się Vickie ze swymi pieniędzmi. Ojciec powiedział, że to dar z nieba. Jeżeli się z nią ożenię, uratuję fabrykę. Jeżeli nie, pewnie obaj znajdziemy się za kratkami. Lindo, musisz mi wierzyć. Co miałem robić? Była mi obojętna. Ale skoro ojcu tak bardzo zależało...

Gwałtownym skokiem Vickie znalazła się przy magnetofonie. Przekręciła gałkę. Obróciła się na pięcie. Jej błyszczące oczy w śmiertelnie bladej twarzy spoczęły na chwilę na Bradzie, a potem przeniosły się na Steve'a Rittera.

— Słyszałeś. Teraz już wiesz. John zastawił na niego pułapkę z podstawioną taśmą. I on wpadł w tę pułapkę. Widzieliśmy oboje, jak wyjmował pudełko.

Przebiegła przez pokój, wsunęła rękę do kieszeni marynarki Brada i wyjęła taśmę.

— Masz. — Rzuciła ją Steve'ovi. — Teraz już wiesz.

Przyglądając się temu wszystkiemu John myślał o Lindzie — kanibalu pożerającym nieszczęsnego Brada, tak jak chciała pożreć jego, Lindzie nieomylnej w swoich krętackich planach, nastawiającej magnetofon i wyciągającej z Brada wyznanie, które miało na zawsze oddać go w jej ręce — wyznanie o nieuczciwym przedsiębiorstwie i o jeszcze bardziej nieuczciwym małżeństwie.

Wszyscy stali w przykuwającym milczeniu patrząc to na Vickie, to na Brada. Wreszcie Steve Ritter zwilżył wargi i powiedział:

— Więc mówisz, Vickie, że to było tak. Brad zaplątał się w romans z Lindą i jak nie mógł się z tego wywikłać...

Pan Carey poruszył się. Dotychczas stał zupełnie nieruchomo. Teraz zwrócił swoją władczą twarz do Steve'a.

— Słyszał pan to niedorzeczne oskarżenie, które ona stara

się rzucić na mojego syna. Jak mój syn mógł zabić panią Hamilton i zamurować ją pod tą podłogą? Rano? Kiedy Hamilton był w domu? Nonsens. A potem był w Nowym Jorku. Sam go wysłałem w interesach. Był cały czas w Nowym Jorku. Hamilton świadkiem. — Spojrzał na Johna. — Czy to nieprawda? Czyż Brad nie był przez cały czas z panem? John patrzył na Brada, który stał przy oknie ze zwieszonymi rękami i wzrokiem wbitym w ziemię.

— Tak, Brad był ze mną w Nowym Jorku.

— Ale przyszedł po taśmę! — wybuchnęła Vickie.

— A ty możesz im powiedzieć dlaczego. — Pan Carey odwrócił się i spojrzał na nią ze złością. — Może nie, Vickie? Czy wolisz, żebym ja powiedział?

Stali patrząc na siebie wrogo. Vickie powiedziała bardzo cicho:

— Nie mam pojęcia, o czym ojciec mówi.

— Nie, nie masz. Bo nie wiesz, że cię podsłuchałem u Morelandów. Nie wiesz, że słyszałem, jak mówiłaś po cichu do Brada: „Idź do Fisherów i przynieś to pudełko". — Wymierzył w nią oskarżająco palec. — Musiało ci to sprawić radość. Musiałaś być zadowolona mogąc nie tylko zabić kobietę, , która wkroczyła między ciebie a twego męża, ale także, kiedy plan twój zawiódł, obwinić mego syna o morderstwo...

We wrzawie, która wynikła, John czuł wzrastające podniecenie. Doskonale. Wszystko będzie dobrze.

Steve Ritter wpatrywał się w Vickie. Stała bardzo sztywno, z twarzą wyrażającą zdumienie i gniew.

— Steve, pora już z tym skończyć — rzekł John.

— Skończyć? Z czym?...

— Ten, kto zamawiał w składzie cement posługując się moim nazwiskiem, musi być mordercą, prawda?

— Tak. Jasne, że tak.

— Dzwonił o dziewiątej rano. Sprzedawca pamięta to dobrze. Nawet gdyby Vickie potrafiła naśladować męski

głos, to nie mogła to być ona. Była tego dnia od świtu na rybach z Leroyem. Wrócili dopiero o dziesiątej. — Rozejrzał się za Leroyem, który wraz z Buckiem stał za Gordonem Morelandem. — Tak było, Leroy?

— Tak — rzekł chłopiec. — Byliśmy na rybach.

— Tyle więc co do fantastycznego oskarżenia Vickie. Ale ty już wiesz, kto jest mordercą, prawda? Wszyscy wiedzą. Teraz już nie ma wątpliwości.

Powoli, rozkoszując się tą chwilą, która wbrew wszelkim oczekiwaniom wreszcie nadeszła, John zwrócił się do Brada:

— Czy aż do tego stopnia jesteś pod pantoflem ojca? Będziesz stał i pozwalał mu oskarżać Vickie? Linda postanowiła wyjść za ciebie za mąż. Dlatego nagrała tę taśmę. Zaczęła ci nią grozić i ty się przestraszyłeś, za bardzo się przestraszyłeś, żeby samemu wypić piwo, którego nawarzyłeś. Ale zawsze miałeś przy boku tatusia. Tatusia, który załatwił ci bogaty ożenek, tatusia, który miał cię wyrwać ze szponów Lindy. Poszedłeś do niego. Gdy Linda postawiła sprawę kategorycznie na przyjęciu urodzinowym Vickie, odbyliście z nim długą „służbową" konferencję. Wyznałeś mu wszystko. „Jestem w potwornych tarapatach. Chodzi nie tylko o moje małżeństwo. Chodzi o fabrykę. Powiedziałem jej o różnych naszych machlojkach i że wykorzystałeś pieniądze Vickie, by się wykaraskać"... Byłeś przerażony, prawda? Ale tatuś nie. „Zostaw to mnie, Brad. Jedź sobie do Nowego Jorku, żebyś nie zawadzał, a gdy wrócisz"...

Do jego podniecenia, dołączyły się gniew i pogarda.

— A potem już nie wiedziałeś. Nie byłeś pewien po powrocie, czy to nie ja cię wyręczyłem. Może w jakiś cudowny sposób zrobiłem właśnie to, co ty chciałeś zrobić, i to właśnie wtedy, kiedy chciałeś. Tak ci powiedział tatuś, prawda? On nic nie zrobił. Nie ma pojęcia, co się stało z Lindą. Ale ty nie miałeś pewności. Czy tatuś mógł ją rzeczywiście zlikwidować — bezlitośnie usunąć tę groźbę wiszącą nad rodziną i firmą? Czy nie mógł tego zrobić? Był czy nie był do tego

zdolny? Dlatego zadzwonił do mnie nakłaniając, żebym przyszedł głosować. Może miał nadzieję, że mnie zlinczują na zebraniu miejskim i sprawa będzie skończona, zanim policja zacznie dochodzenie? A dziś, u Morelandów, już wiedziałeś. Musiałeś wiedzieć. Chwycił Brada za ramię.

— Powiedz im. Mów. Bo jak nie powiesz, Bóg wie, co z tobą będzie. A ty jesteś niewinny. Możesz wykazać w sądzie niezbicie, że nie masz z tym nic wspólnego. Więc mów. Kto cię wysłał od Morelandów, żebyś wyjął taśmę z kasetki?

Brad podniósł oczy. Twarz miał żałosną. Wysunął język i zwilżył wargi.

— Ja nie wiedziałem, John. Naprawdę nie wiedziałem...

— Brad! — ryknął Carey chrapliwym głosem. — Brad, nie daj mu się...

— Kto cię posłał po taśmę?

Przez chwilę wzrok Brada wędrował od ojca do Johna. Potem Brad zwiesił głowę i wyszeptał:

— Ojciec. Ojciec mnie posłał. Sam musiał czekać na Steve'a Rittera. Kazał iść mnie. Ale nie wiedziałem. Nie powiedział mi dlaczego. „Idź, przynieś tę taśmę" — powiedział. Ja...

Steve Ritter i jego ludzie otoczyli Careya. Brad odwrócił się do żony i nieśmiało wyciągnął do niej rękę.

— Vickie...

Ale ona odskoczyła od niego i podbiegła do okna, odwracając się do wszystkich plecami.

Skończone — myślał John. Mając takiego świadka przeciwko sobie jak Brad, pan Carey był ostatecznie pogrążony.

Wszyscy kręcili się podnieceni, ale John czuł się im zupełnie obcy. Podszedł do Vickie. Stała wciąż przy oknie, patrząc ponad głowami rozchodzących się mężczyzn na las. Delikatnie dotknął jej ramienia i gdy zwróciła ku niemu twarz, poczuł, jak litość i sympatia dla niej przeradzają się

w uczucie jakiejś więzi. Linda... stary Carey... Padł ofiarą tego potwora; Vickie też. Oboje spotkał ten sam los, a teraz...

— John...

Ktoś pociągnął go lekko za rękaw. Obejrzał się i zobaczył Emily patrzącą na niego czarnymi, udręczonymi oczami.

— Angela powiedziała. Starałam się, ale nie mogłam jej przeszkodzić. Zaraz im powiedziała, jak tylko przyszli. Och, John, to już nie szkodzi?...

Wciąż trzymając dłoń na ramieniu Vickie, drugą ręką przyciągnął Emily do siebie.

— To nic, Emily — powiedział. — To nic.